

III  
+  
CORNAN DOYLE.

---

# SPISKOWCY.

POWIEŚĆ Z CZASÓW NAPOLEONA I.

Z ANGIELSKIEGO.

[Broszka s. 71-72]

---

LWÓW.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

1902.



T. 236. 422

Z drukarni M. Schmita i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.

I.

Wybrzeże Francji.

Sto razy co najmniej przeczytałem list, otrzymany od wuja: nauczyłem się go na pamięć. Jednak wyjąłem go jeszcze z kieszeni i wsparty na parapecie trzymaszowca, odczytałem z taką uwagą, jak po raz pierwszy.

Pismo wyraźne, litery podłużne, grube, prawdziwe pismo prawnika, a na kopercie adres do „Ludwika de Laval”u Williama Hargreaves, oberża pod „Zielonym człowiekiem”, Ashford, Kent”.

Właściciel „Zielonego człowieka” otrzymał właśnie z Francji transport wódki przemywanej i moja korespondencja przysłała tą samą drogą.

List był w tych słowach:

„Kochany mój siostrzeńcze!

„Dowiaduję się, że ojciec twój umarł. Sam więc zostałeś na świecie. Mam nadzieję, iż nie będziesz chciał utrzymywać dalszego rozdwojenia w rodzinie. W początkach rewolucji ojciec twój przyłączył się do stronnictwa króla, ja zaś do stronnictwa ludu. Jak się te rzeczy skończyły, wiesz zapewne. Ojciec twój poszedł na wygnanie, ja objąłem w posiadanie dawne wasze dobra Grobois. Ach! ciężko wam było bez wątpienia znaleźć się w położeniu o tyle niższem, niż wasi przodkowie; lecz, zważywszy, lepiej, że waszego majątku został wła-

ściacielem Bernac, niż jaki zupełnie obcy; byliście pewni przynajmniej, że znajdziecie u brata matki waszej sympatję i poważanie.

„A teraz, kochany Ludwiku, posłuchaj rady zdrowej i życzliwej. Znasz moje przekonania republikańskie; zaprawdę, były one zawsze jak najszczersze.

„Jednak, kiedy spostrzegłem, że władza Napoleona rośnie i potężnieje, postanowiłem losy moje związać z jego losami: trudno, trzeba śpiewać piosnkę silniejszego.

„Odtąd miałem sposobność oddać mu tyle ważnych przysług, że w chwili obecnej nie mi odmówić nie może.

„Jest on teraz z armią w Boulogne, o kilka godzin za ledwie od Grobois. Przybywaj zatem, cesarz bezwątpienia przebaczy nieżyczliwość ojca, przez wzgląd na oddanie się i wierną służbę wuja twojego.

„Prawda, nazwisko twoje stoi jeszcze na czele listy proskrypcyjnej, lecz niech cię to nie wstrzymuje; dosyć mam na to wpływu u cesarza, aby zdjęto z ciebie tę klątwę.

„To też, powtarzam, przybywaj natychmiast, przybywaj z całem zaufaniem,

„Twój wuj

„K. Bernac”.

Zawartość listu była dobra, lecz adres wprawiał mnie w okrutny kłopot. Na czterech rogach koperty wuj przyłożył pieczęcie z czerwonego laku — zamiast pieczętki do przycięcia musiał używać palca, gdyż widoczne były na laku ślady skóry grubej i chropowatej — a po nad jedną pieczęcią były dwa słowa po angielsku: „Don't come” (nie przyjeżdżaj), nakreślone dorywczo. Lecz przez kogo?.. Czy wuj dodał je w następstwie nagłej zmiany zamiarów?..

W takim razie, dlaczego przysłał wezwanie?..

Czy napisano je, aby przeszkodzić w przyjęciu ofiarowanej gościnności?..

Pieczęcie jednak były nienaruszone, zatem nikt nie wie-

dział, co jest w liście. Ale te dwa słowa pociągały mnie, hypnotyzowały, pod ich wrażeniem powstawały w mej duszy dziwne i złowrogie przeczuca.

Kołysany monotonnem pluskaniem wody, zacząłem rozmyślać o wszystkim, co opowiadano mi o wuju Bernac.

Ojciec mój, ostatni spadkobierca jednej z najstarszych i najarystokratyczniejszych rodzin Francji, ożenił się dla jej piękności i cnoty z panną Bernac.

Nie miał nigdy powodu żalowania tego mezaliansu, matka moja bowiem była zawsze dla niego aniołem dobroci i siodyczy; w zamian bardzo często miał powód być niezadowolonym z postępowania szwagra, prokuratora, Karola Bernac.

Ten ostatni maskował fałszywą uniżonością, zawziętą nienawiść dla moich rodziców; uczucia jego zjadliwe wybuchnęły od pierwszych dni zamieszek 89 r. Podburzał chłopów do buntu do takiego stopnia, iż byliśmy zmuszeni uciekać z kraju.

Później, pomagając Robespierowi w najgorszych jego nadużyciach, kazał sobie nadać, tytułem nagrody, nasz zamek rodzinny i dobra Grobois.

Po upadku Robespiera, udało mu się zdobyć zaufanie Barras'a; wreszcie, pomimo różnych następujących po sobie zmian rządu, otrzymywał zawsze nowe prawa własności do naszych dóbr. Obecnie utrzymywał, że jest w łaskach Napoleona I-go. Jakich usług mógł żądać cesarz od tak zażartego republikanina, jakim był mój wuj?

Zapytacie bezwątpienia, dlaczego przyjąłem zaproszenie człowieka, którego ojciec mój nie przestawał nazywać zdrajcą i uzurpatorem.

Boże mój! bo my, należący do nowej generacji, uważaliśmy za niedorzeczną i niepotrzebną zawziętość generacji poprzedniej.

Dla tych starych emigrantów, z rokiem 1792, wszystko się zatrzymało; niczem niewzruszeni, zachowali w głębi duszy

przywiązania i wstręty z przeszłości. Lecz my, którzy wzrosliśmy na obcej ziemi, my zrozumieliśmy idee postępu, nowe pojęcia i wierzenia; my przeciwnie, chcieliśmy zapomnieć przeszłości, a myśleć tylko o przyszłości.

Francja nie wydawała nam się już krwawą ziemią, sankiulotów i gilotyny, ona była królowa na polu bitwy, dzielną wojownicą, atakowaną przez wszystkich i tryumfującą nad wszystkimi, lecz, niestety! tak ze wszech stron szarpaną, że dzieci jej rozprószone po całym świecie, słyszały rozlegający się krzyk rozpaczny i nawoływanie do broni. Ten to krzyk rozpaczny i nawoływanie, raczej niż list wuja, zdecydowały mnie do opuszczenia Anglii.

Oddawna już serce moje interesowało się okrutną walką, jaką moja ojczyzna podtrzymywała sama przeciw całej Europie; pragnąłbym był zaciągnąć się do ochotników, którzy ze wzniosłem poświęceniem biegli bronić jej granic...

Lecz czyżby ojciec mój pozwolił?.. On, który służył pod Konduszem i walczył w Quiberon, czy nie obwiniałby mnie o nikiemność? Ojciec bowiem nie znał nigdy moich uczuć.

Dziś, po śmierci ojca, nic nie opierało się powrotowi do Francji. A co najwięcej podniecało mnie do tego, to, że Eugenia, ta, która później została moją żoną, podzielała moje pragnienia.]

Rodzice jej pochodzili z młodszej linii de Choiseul, przesady ich przeto bardziej jeszcze były zakorzenione, niż u mego ojca, a kiedy ona cieszyła się razem ze mną z jakiego nowego zwycięstwa Francji, rodziny nasze, zebrane w salonie, rozplywały się w próżnych żalach i przekleństwach.

Ach! my bardzo kochaliśmy się oboje, ale sądzę, że to wspólne ukochanie ojczyzny takiej, jaką była, które w pewien sposób dzieliło nas od otoczenia, czyniło nas za to jeszcze droższymi sobie.

W rogu naszego *cottage'u* było niskie okno, zasłonięte prawie zwojami róży pnącej: okno pokoju Eugenji. Siadała

ona w tem oknie wieczorami po kolacji. Ja siadałem na dużym kamieniu, wystającym z muru i rozdzieleni tylko pachnącymi pękami kwiatów, rozmawialiśmy. Mówilem o moich zamiarach; Eugenia zachęcała mnie i dodawała odwagi. Szczęśliwe czasy!

Wreszcie, zmusił mnie do przyspieszenia wyjazdu pojedynek ze szlachcicem z Kent, nazywającym się Fairley. Był to rodzaj junaka, który nigdy nie omieszkał, zszedłszy się z nami, głosić zniewag nietylko przeciw Napoleonowi, co możnaby wybaczyć ze strony Anglika, lecz przeciwko samej Francji i przeciwko Francuzom.

Oddajmy sprawiedliwość narodowi angielskiemu, że był zawsze szlachetny w postępowaniu z emigrantami. Lecz nigdzie nie można uniknąć spotkania głupców i fanfaronów, nawet w drzemiacem Asbford dawali nam się we znaki.

Udawaliśmy najczęściej, że nie słyszymy Fairleya, jednak w końcu impertynencja jego doszła do tego stopnia, iż przysiągłem dać mu surową naukę.

Pewnej nocy byliśmy zgromadzeni w sali oberży pod „Zielonym człowiekiem;“ Fairley był także nawpół pijany i jak zawsze siejący zniewagi przeciw Francuzom. Od czasu do czasu spoglądał w moją stronę, aby zobaczyć, jakie wrażenie robią na mnie słowa jego.

Ja zaś pozostałem obojętny.

— Panie de Laval! — krzyknął naraz, kładąc szeroką swoją rękę na mojem ramieniu. — Oto, co panu proponuję, wypijemy: „Na cześć ręki Nelsona, która zwyciężyła Francuzów!“

Zatrzymał się z oczyma zmaconemi, z ustami wykrzywionemi ohydny śmiechem.

— Wzniosę ten toast — odpowiedziałem chłodno — jeżeli zgodzisz się pan wznieść mój...

— Dobrze! — rzekł Fairley.

I wypiliśmy.

— Teraz na pana kolej! — krzyknął Anglik głosem ochryplym.

— Nie, wpieryw napelnij pan swoj szklanke.

— Ju!...

— A wiery „na cze kuli armatniej, ktra urwala rk Nelsona!...”

W tej chwili dostalem szklanke porto w sam twarz, nazajutrz biliemy si z Fairleyem. Zraniem go w ramie.

Kiedy wieczorem stanalem przy małym okienku, Eugenia narwala lici laurowych, zrobila wianek i wloyla na moj glowe nazywajac swoim rycerzem.

Mój pojedynek nie naraal mnie na adne śledztwo sdowe, lecz nie wolno mi bylo mieszkac dluzej w Ashford.

Jeeli wuj Bernac mial rzeczywiscie na tyle wplywu, aby nazwisko moje kazac wykreslic z listy wygnancw, jedyna przeszkoda, jaka zamykala kraj przedemna ju nie istniala.

W tej chwili marzenia moje przerwal patron statku szarpniciem brutalnym.

— He! przyjacielu! — krzyknal — trzeba przejsc do lodzi.

Odepchnalem natreta i zrobilem uwage, ze byliemy jeszcze w znacznej odleglosci od brzegu.

— Jak si wam podoba! — mruknal. — Siadajcie do lodzi, albo plyniec az do wybrzea; co do mnie nie rusze si z tego miejca.

Naprono przedstawialem, ze zaplacony jest za to, ze mnie na ld wysadzi.

— Ah! tak, suto zaplacony! — drwil wilk morski.

Nastepnie zwrcil si do jednego z majtkw:

— Jim, zwi agle, mj chlopcze.

A kiedy pytalem, jakie ma zamiary:

— „Vixen” za godzin wyrusza z powrotem — odpo-



wiedział. — Wracajcie z nami do Duwru, jeżeli się wam podoba!...

— Więc odmawiasz stanowczo odstawienia mnie na ląd? — pytałem.

— Stanowczo! — rzekł. — Nigdy w życiu podczas tego strasznego wiatru południowo-zachodniego „Vixen“ nie zbliży się do raf podwodnych w Ambleuteuse.

— Dobrze zatem! — rzekłem. — Wsiądę do łodzi.

— Napewno nie wyjdiesz żywym z tej przeprawy! — powiedział, spluwając na moje buty czarną śliną z prymki.

Trzęsąc się ze złości już miałem rzucić się na niego, lecz rozważyłem, iż jestem sam przeciw sześciu i bez broni, powstrzymałem się tedy i przekroczywszy parapet, wskoczyłem do łodzi.

Rzucono za mną mój pakunek, to jest trochę bielizny, związanej w chustkę; dwóch majtków wskoczyło także, łódź oddepchnięto i zaczęliśmy płynąć w kierunku wybrzeża.

Noc zapadła, ah! jaka straszna noc!... Ciężkie chmury rozwichrzone, poszarpane sunęły z jednego na drugi koniec horyzontu. Na zachodzie zapadało słońce czerwone, lecz już osnute mgłą szarą: możnaby rzec potworny słup dymu, wznoszący się z olbrzymiego pożaru. Miejscami z pomiędzy chmur widniały długie pasy szkarłatne.

Ocean cały otaczała obręcz ognista. A tam, za nami, raz podniesiony na falach, to znów zapadający, mały trzymaszłowiec nił z oczu powoli.

Dwaj marynarze trzymali się ostro. Od czasu do czasu patrzyli na niebo i na brzeg daleki jeszcze.

W obawie, aby nie cofnęli się wobec gwałtowności burzy, pytałem dla odwrócenia ich uwagi, co to za światła błyszczą w cieniu na prawo i na lewo.

— To jest Bologne na północ, a Etaples na południe— odrzekł grzecznie jeden z marynarzy.

Boulogne!... Etaples!... Ileż wspomnień wywołały te

dwie nazwy!... W Bologne, kiedy byłem dzieckiem, spędza-  
liśmy lato. Widziałem się małym chłopcem, spacerującym  
razem z ojcem na wybrzeżu. Wszyscy odkrywali głowy za  
naszem zbliżeniem. Etaples!... Stamtąd uciekaliśmy.

Lud zebrany na bulwarku wyl, przeklinał kiedyśmy  
przechodzili, rzucano w nas kamieniami.

Matka moja została zraniona w kolano. Pamiętam prze-  
kleństwa ojca, mój krzyk przerażenia, wściekłość nas wszystkich...  
Boulogne na północ, Etaples na południe, a pomiędzy tem  
w środku, zamek mój, zamek de Grobois!..

...Wpatrywałem się w ciemności, starałem się wzrokiem  
je przebić, próbując dojrzeć sylwetkę starej wieżycy i zębate  
blanki na murach...

— Cała ta strona, widzicie — ciągnął majtek — jest  
tylko strasznie pustym wybrzeżem. Ach! pierwszy to raz wy-  
sadam tu zwierzynę waszego gatunku!..

— Za kogoż mnie zatem bierzesz?.. — rzekłem...

— Oh! nie moja sprawa! Są rzeczy, o których lepiej  
nie mówić...

— Myślisz, że jestem spiskowcem?

— Powiedzieliście... Wreszcie, Boże dopomóż! myśmy  
do tego przyzwyczajeni.

— Daję wam słowo honoru, że nim nie jestem.

— A więc więziń uciekający?

— Ani to...

Majtek pochylił się nad wiosłem i zobaczyłem, że utkwil  
oczy w twarz moją.

— Czy przypadkiem bylibyście szpiegiem Boneya?\*)

— Ja... szpiegiem!... — krzyknąłem oburzony.

— Dobrze, dobrze! Nie gniewajcie się — rzekł.— Wszystko  
jedno, niech mnie djabli wezmą, jeżeli wiem, kim jesteście!..  
W każdym razie, gdybyście byli szpiegiem Boneya, nie ru-

\*) Przewisko, nadane Bonapartemu w Anglii.

szybłym palcem, żeby was odwieźć, pomimo wszystko, coby na to kapitan powiedział.

— No, no, nie mówmy źle o Boneyu — mruknął drugi majtek — to przyjaciel marynarzy.

— Zdziwiło mnie takie odezwanie, gdyż nienawiść Anglików przeciw nowemu cesarzowi przechodziła wszystko, co można było sobie wyobrazić. Arystokracja i lud łączył by się w tem jako dla człowieka i jego polityki.

— Jeżeli można przemycać trochę kawy i wódki, to dzięki tylko łasce Boneya — dodał majtek.

Przypomniałem sobie wtedy, że Bonaparte bardzo był popularny u przemysłników, odkąd zniósł przywilej handlu na kanale la Manche.

Majtek wioskował jedną ręką, a drugą pokazał na szarą i wzburzoną wodę:

— Ta woda, to jest Boney... — rzekł pomiędzy zębami.

Wy, którzy żyjecie w czasach spokojnych, nie potrafiłbyście pojąć, jakie wzruszenie sprawiło mi tych kilka słów prostych. Zaledwie od lat dziesięciu znano tego człowieka, Bonapartego, z pochodzenia Włocha. Szczęście wzniosło go w górę z szybkością nie do uwierzenia. Podczas kiedy zadawano sobie pytania, kto on jest, on już spadł jak piorun na Włochy, gromił Austrjaków, podpisywał preliminarja pokojowe w Leoben, onieśmielał generałów na polu bitwy, wprowadzał w kłopot mężów stanu w radzie.

Z niesłychaną zuchwałością zapuszczał się na Wschód i kiedy jeszcze podziwiano sposób, w jaki zrobił Egipt departamentem francuskim, on ukazał się powtórnie we Włoszech i gromił Austrię po raz drugi. Szedł naprzód tak prędko, jak odgłos jego sławy. Wszędzie, gdzie się pokazał, nowe zwycięstwa, przewrót rządów, zmiana granic.

Holandja, Szwajcarja, istniały już tylko z nazwiska na mapie świata.

Francja pechłaniała Europę. Ten gołowąsy oficer arty-

lerji, namaszczony cesarz z woli ludu, zmiażdżył bez wysiłku dzikich jakobinów, przed którymi najwięksi królowie i najdumniejsza szlachta pochylali głowy.

My, którzy obserwowaliśmy nawet jego najdrobniejsze czyny, skończyliśmy na uważaniu go za coś nadziemskiego, jakby za bóstwo opiekuńcze Francji.

Jego świetne czyny pozostawiły w moim umyśle tak wielkie wrażenie, że kiedy marynarz angielski wskazał na wodę tajemniczą, mówiąc: „To jest Boney!” — wstrzymałem oddech w szalonym oczekiwaniu, iż ujrzę wychodzącą z fal i bujającą po nad la Manche istotę olbrzymią o kształtach strasznych i groźnych.

Lecz to, co miałem przed oczyma, nie podobne było zupełnie do tej wizji wyobraźni. Na północ wystawał przylądek bardzo długi, bardzo wąski, którego nazwy zapomniałem obecnie.

Zrazu ginący w szarem otoczeniu, w miarę jak przebijaliśmy mgłę, miejscami błyskały nad nim światła, a niebawem był to już tylko wielki pas ognia ciemno-czerwonych.

Wskazałem te ognie jednemu z majtków.

— Co to jest? — zapytałem.

— Obóz Boneya. Zobaczycie takich samych dwanaście stąd do Ostendy. Ach! ten mały Boney, on był gotów przebyć kanał, gdyby mógł ujść wzroku Nelsona, tylko...

— Jakim sposobem Nelson wie, co robi Napoleon? — przerwałem.

Majtek pokazał po przez moje ramię trzy światła błyszczące w oddali.

— Pies na straży! — rzekł.

— „Andromeda” — dodał jego towarzysz.

Ileż razy, potem myślałem o tych ogniskach obozu Napoleona i o tych trzech światłach, drgających na okręcie Nelsona!

Dwóch rywali stało naprzeciw siebie. Walka wieków minionych miała się ciągnąć w przyszłości...

Lecz, niestety! czyż nie wiem, że wszystko jest już spełnione?..

Posuwaliśmy się naprzód gwałtownie. Ziemia ukazywała się teraz wyraźniej po nad falami. Naraz statek jakiś wynurzył się z cienia i ku nam się zbliżał.

— Straż nadbrzeżna! — zawołał jeden z majtków.

— Bill, mój stary źle z nami! — rzekł drugi, wsuwając coś za cholewę grubego buta.

Statek jednak, spostrzegłszy nas, oddalił się w przeciwnym kierunku. Dwaj majtkowie spojrzeli na siebie, ocierając rękami pot z czoła.

— Zdaje się, że ich sumienie nie jest od naszego spokojniejsze — przemówił pierwszy. — A ja byłbym szedł o zakład, że to są strażnicy.

— Widocznie nie my jedni dziś wieczór przewozimy towar zakazany — zauważył drugi. Lecz, do wszystkich djabłów, co to może być za statek?.. Niech mnie powiesz, jeżeli wiem! Kiedy go zobaczyłem, schowałem w but rulon tabaki z Trinidad. He, Bill, puszczaj... skończmy raz!

W minutę dno stuknęło o piasek wybrzeża. Wziąłem zawiniątko i wyskoczyłem z łodzi. Nie było już widać na niebie ani czerwonych smug zachodu, ani poszarpanych obłoków; wszystko osłaniał mrok głęboki.

Chciałem ostatni raz spojrzeć na łódź, lecz już znikła!.. Nic, tylko huk grzmotów, wycie wichrów!..

W taki to sposób, w pierwszych dniach r. 1805, powróciłem po trzynastu latach wygnania, do kraju, którego rodzina moja była przez kilkanaście wieków chwałą i podporą. Kraj ten surowo się z nami obszedł, usługi nasze wynagrodził zniewagami, wygnaniem i konfiskatą majątków; zapomniałem jednak o wszystkim, kiedy kłęcząc na wilgotnym żwirze, całowałem ziemię błogostawioną.

## II.

**Trzęsawisko.**

Przy schyłku dnia zmęczony podróżnik zatrzymuje się i ze szczytu wysokiego wzgórza patrzy na drogę, którą przebiegl.. Nie widzi już na niej ani zawrotów, ani przeszkód. Spadziścioci, na które musiał się wdrapywać, przepaście, jakie otwierały się pod jego nogami, ciernie na których zostawił strzępy własnego ciała, wszystko to zlewa się w jedno i ginie pod osłoną nocy. I dziwi się teraz, kiedy dobija do celu, że tak się wahał przy drogach rozstajnych, że czuł się niekiedy tak bardzo znużonym, tak strasznie zniechęconym.

Człowiek, przy schyłku życia, widzi już tylko jak we mgle wypadki swej młodości. Napróżno w pewnych chwilach stara się wskrzesić w umyśle wspomnienie cierpień, zwątpień, namiętności; wszystko się rozpada, wszystko zacierą w mroczkach przeszłości.

I dziwi się teraz, kiedy już otrzymał, jakby ciche ostrzeżenie śmierci, że tak bardzo cierpiał, płakał dla rzeczy zapomnianych, skończonych...

Jest jednak okoliczność w życiu mojem, którą pamiętam z jasnością zadziwiającą, a jest nią ta noc burzliwa, w której powróciłem do Francji.

Dziś jeszcze, skoro tylko odetchnę ostro i słonem powietrzem morza, przenoszę się myślą na to puste wybrzeże, po którym nogi moje stąpały z radością, gdyż to była ziemia drogiej mojej ojczyzny.

Podnosząc się z ziemi, schowałem najpierw woreczek z pieniędzmi do wewnętrznej kieszeni ubrania.

Wynająłem go przed chwilą, chcąc wynagrodzić marynarza, który pomógł mi na ląd wysiąść. Wyznaję szczerze, iż długo wahałem się zanim dałem mu jedną z monet złotych, miałem bowiem wewnętrzne przekonanie, że był on bogatszy odemnie. Zacząłem od wyjęcia pół korony, potem schowałem

i znów wyjąłem, w końcu nie mogąc się zdecydować na ofiarowanie jej, dałem suwerena, to jest dziesiątą część tego, co posiadałem.

Schowawszy mój majątek bezpiecznie, usiadłem na wystającej skale nad wodą i starałem się odzyskać równowagę, rozpatrzeć spokojnie położenie.

Bylem sam, głodny, zziębnięty, deszcz ciał mnie w twarz; lecz byłem u siebie, we Francji, nie zależałem już od litości nieprzyjaciół i na tę myśl serce drżało mi z radości. Co teraz zrobię? Pójdę dalej zapewne. Lecz czy pójdę prosto do Grosbois?...

Zamek, o ile zdolny byłem przypomnieć sobie, oddalony jeszcze był o jakie mil dwanaście\*). Obejrzałem na sobie ubranie; przemokłe było nawskróś, włosy splecione, ręce powalane. Czy miałem przedstawić się tak temu wujowi, którego znałem zaledwie?...

Duma moja oburzyła się, kiedy wyobraziłem sobie służbę, mierzącą mnie oczyma i może odmawiającą wprowadzenia tego włóczęgi zabłoconego przed oblicze pana domu... W dodatku, trzebaż to mówić? uczułem rodzaj wstydu w powracaniu nocą, ukradkiem prawie, do dawnego domu mojego ojca...

— Nie! — zawołałem — poczekać do jutra!

Tylko niepodobna zostać na miejscu, trzeba za jakąbądź cenę znaleźć schronienie.

Dlaczego, powiecie, nie starałem się dostać do Etaples lub do Boulogne?

Otóż z tego samego powodu, dla którego tajemnie wysiadłem na brzeg niegościny, dlatego, że nazwisko de Laval było jeszcze na czele listy wygnańców, ojciec mój bowiem był jednym z najzagorzalszych przywódców stronnictwa, ma-

\*) Mile francuskie.



lego wprowadzie, lecz bardzo wpływowego, nierozzerwalnie przywiązanego do sprawy dawnego rządu.

Zanim dalej posunę opowiadanie, chodzi mi o przekonanie czytelników o szacunku i uwielbieniu, jakie miałem dla tych ludzi, którzy wszystko poświęcili swoim zasadom, choć moje przekonania były zupełnie przeciwne. Zastanawiałem się często nad tą osobliwą stroną ludzkiego charakteru, która pcha nas do tego, co wymaga od nas największego poświęcenia.

Gdyby obrona partji królewskiej nie była tak niebezpieczną, Bourboni nie mieliby może tak szlachetnych i wiernych obrońców.

Niema słów na określenie abnegacji przedstawicieli najświetniejszych rodzin Francji. Pamiętam jednego wieczora siedziało u ojca dokoła stołu ośmiu mężczyzn. Dwóch z nich dawało lekcje fechtunku, trzech profesorów języka francuskiego, dwóch ogrodników i jeden tłumacz; ten ostatni trzymał ciągle w ręce pole ubrania, ażeby zakryć ogromną dziurę. Otóż z tych ośmiu mężczyzn, jedni pochodzili z krwi królewskiej, drudzy zajmowali przedtem wysokie stanowisko bądź na dworze królewskim, bądź w armji.

Mogliby odzyskać stanowiska, gdyby się zgodzili, nie żeby wyrzec się dawnych bogów, lecz pokłonić się wschodzącej młodej sławie Napoleona.

Ale oni woleli poddać się władzy najslabszego i najnieudolniejszego z monarchów. Skupieni w Hartwell dokoła Ludwika XVIII-go, Montmorency, Rohanowie, Choiseul'e, oświadczyli głośno, iż podzielając przedtem wielkość swego monarchy, chcieli teraz dzielić z nim niedolę.

W ponurych apartamentach króla wygnańca, było coś cenniejszego nad sewrskie porcelany i gobeliny, a było to poświęcenie tych walecznych, których oczyma duszy widzę jeszcze ubrania wytarte, postacie słodkie i poważne i przed



którymi pochylam głowy, jak przed najszlachetniejszymi z pomiędzy szlachetnych w naszej historii.

Dostać się do jednego z miast nadbrzeżnych, nie zapewniwszy się wpięrow o protekcji mojego wuja, było to narażeniem się na wpadnięcie w ręce przednich straży, aresztowanie, stawienie przed cesarzem jako skazanego na wygnanie lub co gorzej, jak szpiega. A o ile wydawało mi się zaszczytnem iść i z własnej woli ofiarować cesarzowi moją szpadę i ramię, o tyle czulbym się poniżonym, gdybym musiał stanąć przed nim obarczony choćby najlżejszem podejrzeniem.

Słowem, nie miałem nic lepszego do zrobienia, jak na los szczęścia iść dalej i szukać jakiej stodoly lub szopy, ażeby w niej noc przepędzić.

Przez ten czas wiatr się jeszcze oziębził; tak czarno było, że białe grzbiety fal zaledwie się rysowały na ciemnej masie oceanu. Od strony ziemi była tylko linja niewyraźna wyniosłości nieregularnych.

Skoro się przybliżyłem, spostrzegłem, że oddalenie powiększało ich kształty i że to, co brałem zdaleka za góry, były tylko zwykłe piaszczyste wzgórza, pokryte miejscami karłowatymi krzakami i mechm.

Z zawiniątkiem na ramieniu szedłem odważnie, lecz po godzinie byłem już wyczerpany, gdyż nogami zapadałem w ruchomy piasek, a przemokłe ubranie zaczęło mi ciężać. „Czy nigdy nie wyjdę z tych piasków?” — powtarzałem do siebie.

Naraz skończyły się i znalazłem się na gruncie miękkim, błotnistym, w którym nogi żłobiły ślady głębokie; grunt wydzieliał woń zgnilizny, podobną do cmentarnej...

— Gdzie jestem?... — zacząłem instynktownie wołać...

Nic nie odpowiedziało tylko ryk fal i huk grzmotów... a błoto dochodziło aż do kostek... Chciałem wracać ku piaskom... niepodobieństwo; ciemność nie przebita wzrokiem... Szedłem dalej, błoto miałem już prawie do kolan...

Przerażony, zdyszany, z grubemi kroplami potu na czo-

le, z gardłem ściśniętem jak w żelaznej obręczy... bałem się... też, bałem się umrzeć w tem ohydnych trzęsawisku, ja, który marzyłem o pięknej śmierci na polu bitwy!...

W tej chwili biała błyskawica rozdarła chmury i przy świetle nikaćem zobaczyłem — przed sobą, po za sobą, wszędzie — coś naksztalt błękitnawego błyskotania: podobne to było do obrusa ze stali mieniaćego się w kolory tęczy.

— Trzęsawisko!... — krzyknąłem.

Zabłąkałem się w jedno z tych trzęsawisk słonych, które otaczają wybrzeża, zwilżane słoną wodą morską.

Leć one kończyć się gdzieś muszą te trzęsawiska! Jeżeli zdolam je przejść, spotkam być może jaką drogę, szlafia pastuszy!...

Kiedy chodziłem do szkółki w Ahasford, profesor geografji uczył nas kierowania się obserwując gwiazdy; niestety! ani jedna nie świeciła po przez olowiane chmury!... Wreszcie, czy byłbym zdolny zastosować w praktyce lekcje mojego staroego nauczyciela?

To brodząc w błocie, to sunąc się w miejscach twardzych, uszedłem zapewne dwie do trzech mil. Naraz krew mi zamarła w żyłach...

Te krzaki tam, naprzeciw mnie, czyż ich już nie zauważyłem? Nie, to nie był miraż, ani złudzenie, poznałem nędzne liście, kształty karłowate... A jednak nie dowodziło także, że to nie są inne, podobne do tamtych!... W jaki sposób się przekonać?...

Jak zorientować się w tej piekielnej ciemnicy? Aha! krzemień i hubka, o których nie pomyślałem...

Przysiadłem na piętach, skrzesałem iskrę i sprawdziłem z przerażeniem, obok świeżych śladów nóg, dawniejsze ślady zaciągające się powoli wodą... A więc kręciłem się jak w kole zaczarowanym!...

Jak długo?... Prawdziwa rozpacz mnie ogarnęła, co

zwiększyło jeszcze zmęczenie. Wtedy pochyliłem się nad tą tenią cuchnącą i miałem ochotę zanurzyć się w niej, pozwolić, żeby mnie pochłonięła... Lecz bezwiednie wzniosłem oczy w niebo, szepejąc nie wiem już jaką modlitwę i to natchnienie ocaliło mnie...

Zauważyłem na tle bladego księżyca, przeświecającego słabo z poza chmur, szpic V olbrzymiej, której dwie odnogi rozciągały się ciągle, ginąc aż po za widnokręgiem.

Był to tylko znak chwilowy, prawie nie rzeczywisty, coś tak jak myśl szybkiego, lecz co wyrwało mnie nagle z fatalnej martwoty, w jakiej byłem pogrążony; stado dzikich kaczek, wygnane burzą, leciało ponad trzęsawiskiem. Dawniej, w Kent, zauważyłem, że te ptaki podczas burzy opuszczają brzeg morski i lecą w głąb lądu. Zatem, idąc za kierunkiem ich lotu, oddałem się także od morza.

Dusza moja otrząsnęła się z martwoty i uczepiony tej wątłej nadziei, począłem znów iść, o ile można prosto przed siebie.

Po półgodzinnych usiłowaniach dojrzałem nareszcie małeńkie światełko w mrokach, błyszczące jak oczko brylantowe.

Nikło i znów się ukazywało, a było ono dla mnie ulgą niewypowiedzianą, w tej ciemnicy grobowej, w której tylko rozlegało się krakanie kruków burzą gnanych. To światełko było odpoczynkiem, życiem dla mnie, biednego tułacza zmordowanego!...

Podniecałem się do biegu, tak pilno mi było dotrzeć do celu. Ah! pilno mi było naprawdę otrząsnąć się z tej miazgi cuchnącej!...

— Nie odmówią gościnności — mówiłem do siebie — ponieważ mam pieniądze!

I konwulsyjnym ruchem przyciskałem do piersi woreczek ukryty w ubraniu.

— Oh! tak, co tylko zażądają za trochę pożywienia, za kilka chwil snu na jakiej desce!

Jednak w miarę zbliżania, wydało mi się niepodobieństwem, ażeby istota ludzka mieszkała w tem miejscu złowrogiem, skąd nawet szczekanie psa nie dochodziło.

Bagnisko zmieniło się w staw, którego drzemiące wody otaczały nędzną chatę z zapadłym dachem. Światło błogostawione było w tej chacie, widziałem je teraz błyszczące po przez wąskie okienko.

Zgarbiony, smagany dzikim wichrem, zacząłem oddychać, gdy naraz światło znikło, a głowa mężczyzny ukazała się w ramie okiennej.

Głowa pozostała minutę, usunęła się odkrywając światło i niebawem znów powróciła. Powtórzyło się to kilka razy i zaniepokoiło mnie nieco.

Wygląd chaty wcale nie był zabcęcający, podejrzane ruchy mężczyzny zdradzały obawę jakiej niespodzianki lub napadu.

— A jeżeli wpadnę w gniazdo złodziei?... Ah! nie, lepiej już trzęsawisko i wściekłość huraganu; byłem przynajmniej wolny... miałem przestrzeń dokoła siebie!

Lecz tak byłem zmęczony, nogi miałem posztywniałe, w głowie czulem zawrót, potykałem się przy najmniejszej przeszkodzie.

W końcu znużony wahaniem przebyłem przestrzeń dzielącą mnie od chaty i wzdłuż ściany posunąłem się aż do okna. To, co zobaczyłem, wpłynęło na moje uspokojenie.

Przy dużym kominie, na którym paliło się drzewo, siedział młody człowiek uderzająco piękny. Ponieważ czytał z grubej książki, mogłem swobodnie go podziwiać. Twarz miał klasycznie owalną, pleć matową, włosy czarne związane w barcap jedwabną wstążką. Jedno trochę go tylko szpeciło; bardzo gruba warga dolna, opadająca; lecz cała twarz wyrażała niezwykłą słodycz i poezję, co odrazu brało za serce.

Przeziębły, zgłodniały, pozbawiony wszelkiej życzliwości ludzkiej, rozkoszowałem się chwilę widokiem izby ogrzanej, nadzieją dobrej kolacji, długiej pogawędki przyjemnej...

Naraz młody człowiek położył książkę na stole, zbliżył się do okna i stanął przy nim, zanim zdążyłem cofnąć się pod ścianę.

Ujrawszy mnie, wykrzyknął i poruszał rękami na znak powitania, potem pobiegł drzwi otworzyć. Stanął na progu, a wykwintna jego sylwetka wyraźnie się rysowała w ramach oświetlonych.

— Ah! przyjaciele! — zawołał — tak długo na siebie każecie czekać!... Już się was nie spodziewałem!

— Przepraszam pana — rzekłem wylaniając się z cieniu. Nie dawszy mi dokończyć, odepchnął mnie silnym uderzeniem pięści, jednym susem jak tygrys, cofnął się do chaty i zatrzasnął drzwi za sobą.

Oszlupiałem. Postępowanie tego człowieka nie licowało z jego wyglądem, z pięknoscią twarzy. Jaki mógł być powód tego gniewu?

— Mam do czynienia z warjatem — pomyślałem.

Miałem już odejść, kiedy nowe zdumienie przykuło mnie do mniejsza. Mówiłem już, że chata, do której los kroki moje skierował, była nędzna i zrujnowana. Cegły rozsypywały się, tynk odpadał kawałami, drzwi ze szparami od góry do dołu przepuszczały światło z wewnątrz.

Nie zauważyłem zrazu dużej dziury przy zawiasie, jak gdyby spróchniałe drzewo wypadło pod naciskiem żelaza, lecz obróciwszy się zobaczyłem, przez dziurę, w jasnym oświetleniu młodego człowieka, szukającego czegoś z pośpiechem w ubraniu.

Strył się niebawem pod okapem komina i widziałem już tylko nogi jego w czarnych pończochach stojące na trzonie.

Szybkie to było jak mgnienie oka; w tej samej chwili

zeskoczył na ziemię i rzucił się do drzwi, które otworzył z powrotem.

— Kto pan jesteś? — odezwał się głosem drżącym ze wzruszenia.

Pomyślał trochę i dodał:

— Dlaczego pan chcesz wejść tutaj?... Dom nie wygląda zachęcająco.

— Panie — rzekłem zniecierpliwiony — jestem śmiertelnie zmęczony, nie odmawiaj schronienia. Od dwóch godzin błąkam się po tych strasznych trzęsawiskach!

— Nie spotkałeś pan nikogo? — zapytał z żywością.

— Nie, panie, nie spotkałem.

— Odsuń się pan trochę — rzekł — w tak ustronnem miejscu nie można nigdy być dość ostrożnym.

Uśluhałem, a on uchylił drzwi w ten sposób, że mógł wysunąć się do połowy. Nic nie mówił, lecz patrzył na mnie tak badawczo, iż pomimo woli mieszałem się.

— Jak się pan nazywa? — zaczął.

— Ludwik Laval — odpowiedziałem, nie dodając umyślnie de do nazwiska.

— Dokąd pan idzie?

— Szukam dachu, żeby odpocząć.

— Pan z Anglii przybywa?

— Przybywam z wybrzeża morskiego.

Pokręcił głową. Widocznie odpowiedzi moje nie zadowolaly go.

— A więc nie — zawołał — nie mogę pana wpuścić.

— Jednak...

— Nie, nie, nie, to niemożliwe!

— Zechciej pan zatem wskazać mi sposób wydostania się z tego trzęsawiska — błagałem.

Wskazał na światelka błyszczące po lewej stronie.

— Wioska — rzekł — dostaniesz się pan tam w kilka minut.

Mówiąc to, mimowolnie zbliżył się i stanął obok.

Odchodziłem już, kiedy ku wielkiemu mojemu zdziwieniu zatrzymał mnie i głosem zupełnie innym przemówił:

— Wróć się, panie Laval, rzeczywiście, nie mogę pana zostawić pod gołym niebem na taką straszną burzę. Ogrzejesz się pan, napijesz trochę wódki, to ci przynajmniej sił doda.

Znużony śmiertelnie, głodny, oszolomiony przeróżnymi wzruszeniami, nie spierałem się, choć nie mogłem wcale zrozumieć takiej nagłej zmiany.

— Dziękuję panu — mrucnąłem tylko i poszedłem za młodym człowiekiem.

### III.

#### R u d e r a.

Pobiegłem najpierw do ognia. Grzałem kolejno ręce zgrabiałe, buty przesiąknięte wodą. Ah! jak przyjemnie było patrzeć na rozżarzone węgle, na drzewo z trzaskiem się palące...

Ciepło rozeszło mi się po wszystkich członkach, uczulem nieprzeciętną chęć do snu. Lecz nie poddawałem się, gdyż ciekawy byłem, co dalej nastąpi.

Kto był ten młody człowiek? Co robił w tej budzie na pustkowi strasznem? Jakich gości mógł oczekiwać o tej godzinie i w taką pogodę? Dlaczego odprawiwszy mnie w tak brutalny sposób, potem inaczej się rozmyślił?... A przede wszystkim, co takiego ukrył w kominie?..

Zadając sobie takie pytania, badałem wzrokiem na prawo i na lewo jedyną izbę składającą całą chatę.

Nikt w niej nie mieszkał widocznie; musiała służyć tylko za miejsce schadzki młodemu człowiekowi i jemu podobnym.

Ściany ociekaly wilgocią, czarna, cuchnąca; po kątach porastała pleśń zielona; ramy drzwi i okien spróchniały i powykrzywiane, cały budynek wydawał się zgniły, stoczony przez robaki.

Meble składały się z kulawego stołu, trzech dużych skrzyń zamiast siedzeń zapewne i z kupy starych sieci rybackich, wydających wstrętną woń zepsutej ryby i błota.

W jednym kącie zauważyłem czwartą skrzynię rozbita i siskierę; wyjaśniło mi to skąd młody człowiek dostarczał sobie drzewa dla podtrzymania ognia.

Lecz co moją uwagę zwracało najczęściej, to stojący na stole obok książki i lampy koszyk, a w nim wspaniała szynka, duży bochenek chleba i butelka.

Jeżeli mój towarzysz okazał się zrazu niełaskawym, wyznaję, że nagradzał teraz swoje wybryki przesadną uprzejmością, jaką mniej jeszcze rozumiałem, niż złe początkowe przyjęcie.

Rozwodząc się nad smutnym moim stanem po przebyciu trzęsawiska, dokończył rąbać skrzyni napoczętej i wrzucił kilka desek na ogień. Następnie prosił, żebym usiadł; podał mi kawał chleba z szynką, nalał wódki w szklankę. Pochłaniałem to, co mi dał, nie przestając go obserwować.

Wydał mi się piękniejszym jeszcze, niż na pierwsze spojrzenie. Oczy miał czarne, aksamitne, bardzo słodkie, ocienione długimi rzęsami, zagiętymi w górę przy brzegu; tylko, jak już mówiłem, usta kłam zadawały oczom, zdradzały tajny niepokój, przymus jakiś, niepewność, a uśmiech przelotny miał wyraz fałszywy, zły prawie.

Czulem, iż bada mnie, waży najmniej znaczące moje słowa; to też miałem się na ostrożności i odpowiadałem wymijająco na jego zapytania.

Wysilał się, chcąc docięć, jakie sprawy sprowadziły mnie w te strony.

— Ah! zaręczam panu — rzekł tonem poufnym — iż ciężko jest uczciwym kupcom, jak ja i moi koledzy, otrzymywać towary tylko przez wchodzenie w zażyłość z nędznymi przemytnikami!... Dopóki cesarz, którego niech Bóg zachowa, nie postanowi w swojej wysokiej mądrości wolnej wymiany



pomiędzy Francją i Anglią, będziemy skazani na tę ukrytą grę, na pozostawanie pod władzą pośredników oszukańców. Gdyż, wierz mi pan, nie brakuje kawy ani tytoniu i tabaki w Tuileries. Cesarz sam najmniej dziesięć filiżanek mokki pije na dzień; jednak wie dobrze, że ten artykuł nie rośnie w cieplarniach Malmaison... Cóżby on zrobił, cobyśmy zrobili, wielki Boże! bez przemytników?...

I dodał obojętnie:

— Czy pan jest także handlujący?

Zrobiłem ruch przeczący.

Spostrzegłem, że irytowała go moja ostrożność.

Co do mnie, byłem przekonany, że kłamie bezwstydnie.

Dziwny fakt, im więcej przypatrywałem mu się, tem więcej stawał mi się antypatyczny.

Twarz jego o rysach wykwintnych, delikatnych, prawie kobiecych, przybierała chwilowo wyraz podstępny, który wstręt we mnie budził, jak dotknięcie żmiji.

Nikczemność spoczywała w głębi jego źrenic marzących; ruchy kćciej giętkości, głos słodki i pochlebny, zdradzały grunt nikczemny i niskie instynkty.

Posiadał inteligencję, lecz bez wyższych porывów, bez uniesień, bez wesołości, szczerości, jakby coś podejrywał lub czatował na co i sam nie wiedząc dlaczego, zacząłem się go obawiać, przez intuicję, przez przeczucie.

Znów zaczął:

— Przebacz, panie Laval, iż zrazu byłem z tobą niedowierzającym. Odkąd cesarz jest w tych okolicach, obsaczeni jesteśmy chmarą szpiegów... Nic dziwnego, każdy strzeże swoich interesów na tym świecie!... Twarz pana i ubranie nie należą do tych, których spotyka się wśród nocy na skraju trzęsawiska.

Była to właśnie uwaga, jaką zrobiłem sobie co do jego osoby.

— Powtarzam panu — rzekłem stanowczo — że jestem

podróżnym i że zablądziłem. Obecnie, kiedy posiłem się i odpocząłem, nie będę dłużej nadużywać pańskiej gościnności... Spróbuję dostać się do wioski, którą mi wskazał.

Podniosłem się; on prosił, żebym usiadł z powrotem.

— Ta, ra, ta, ta!... Nie masz pan nic lepszego do zrobinienia, jak pozostać tutaj!... Wreszcie posłuchaj pan... burza huczy z podwójną siłą!...

Rzeczywiście, na dworze rozlegał się szturm wściekły. Chata zaczęła się chwiać, wiatr wyl w kominie, deszcz ciał w szyby. Wyobraziłem sobie, że wichura uniesie nas, pogrąży w trzęsawisku.

Młody człowiek chodził wszcz i wzdłuż po izbie, potem oparł się w oknie.

Patrzył z początku bardzo uważnie, tak samo, jak robił przed mojem wejściem do chaty.

— Co prawda — zawołał — możesz mi pan oddać wielką przysługę.

— W jaki sposób?

— Otóż, chcę z panem być szczerym — nigdy nie widziałem twarzy więcej obludnej jak u niego w tej chwili — oczekuje dwie osoby, z którymi potrzebuję się naradzić... Dziwię się, że ich dotąd nie ma... może tak samo, jak pan, zablądziły w słonych bagnach!... Muszę się przeżonać... Bądź pan zatem łaskaw, bardzo proszę, wstrzymać się pół godziny... Popilnujesz domu w mojej nieobecności, a jeżeli przyjaciele moi nadejdą, przyjmij ich... powiedz, że... że poszedłem ich szukać.

Propozycja była dość naturalna, pomimo, że wyrażona z zastrzeżeniami, nie przypuszczałem zatem, aby z niej coś złego dla mnie wynikło.

Wreszcie, czyż nie nastęczała mi sposobności zadowolenia ciekawości? Tak!... musiałem koniecznie odnaleść tajemniczy przedmiot, ukryty w kominie, inaczej nie miałbym spokoju...

— A więc dobrze, prawda? — rzekł młody człowiek, biorąc kapelusz.

Wyszedł szybko, zamknął drzwi za sobą i usłyszałem odgłos jego kroków, oddalających się wśród wycia burzy.

Zostałem sam, cała rudera do mnie należała... nakoniec wydrę jej tajemnicę!...

Wziąłem książkę pozostawioną na stole: była to „Ustawa społeczna” Jana Jakóba Rousseau. Doskonała literatura, co prawda, lecz nie spodziewałem się znaleźć jej w rękach człowieka, który kupował cukier i kawę od nędznych przemytników. U góry, na pierwszej stronie nakreślone: „Lucjan Lesage” — a pod spodem kobiecym charakterem: „Lucjanowi od Sybilli”.

A więc mój zagadkowy towarzysz nazywał się Lesage.

Nie długo się zatrzymałem nad tem pierwszym odkryciem.

Przekonawszy się, że żadnego szelestu nie ma koło chaty, oprócz jęku burzy, skoczyłem do komina i wdrapałem się na trzon kamienny tak, jak widziałem, że zrobił mój poprzednik.

Komin, jak wszystkie na fermach, bardzo obszerny, można było z nim stać swobodnie, dym nawet nie przeszkadzał.

Przy jasnym świetle ogniska zobaczyłem odrazu brak cegły w murze pod kapą; a w tem wydrążeniu mały pakiet, owinięty żółtą materją i owiązany białą wstążką! Wziąłem go i rozwiązałem szybko. Znalazłem kilka listów i arkusz papieru złożony we czworo.

Przeraziły mnie podpisy na listach. Wszystkie zredagowane w stylu republikańskim i adresowane do „obywatela Talleyrand”, „obywatela Fouché”, „obywatela Soult”, „obywatela Macdonald”, „obywatela Berthier”, wreszcie do wszystkich dostojników armji i dyplomacji, filarów nowego cesarstwa.

Cóż ten mniemany kupiec kawy miał do czynienia ze wszystkimi tymi dostojnikami?... Może wyjaśni mi ten arkusz papieru!

Zawinałem napowrót listy, a rozłożyłem dokument...

Od pierwszych wyrazów nabyłem przekonania, iż lepiejby dla mnie było grzęznąć dalej w trzęsawisku, niż wchodzić do tej przeklętej rudery.

Oto, co było w tym dokumencie:

„Obywatele francuscy!

„Wypadki ostatnich dni dowiodły, że nawet otoczony swoim wojskiem, Napoleon nie mógł ustrzedz się zemsty ludu znieważonego.

„Komitet „Trzech“, działający jednocześnie dla „Rzeczypospolitej“ wydał wyrok, że Bonaparte tak samo, jak Ludwik Kapet, powinien uleść karze śmierci, za karę zamachu stanu z 18 Brumera.“

Naraz wypuściłem z rąk pakiet: dwie obręcze żelazne objęły moje nogi przy kostkach.

Przerażony, bez tchu prawie, nachyliłem się i zobaczyłem przy drżącym świetle płomieni, dwie ręce odrażające, kosmate, przyklepione jak płaskorzeźba na moich butach.

— Oho! przyjacielu, złapano cię tym razem, co?... — krzyknął głos grzmiący.

#### IV.

#### Spiskowcy.

Odurzony nagłą napaścią, zaledwie mogłem zdać sobie sprawę z położenia, w jakim się znalazłem.

Pochwycono mnie, uniesiono w górę, nareszcie ciśnięto na ziemię z taką gwałtownością, iż prawie straciłem przytomność.

— Zaczekaj, Toussac! Nie zabijaj go jeszcze — odezwał się głos bardzo słodki. — Zobaczmy najpierw, kto on jest. W tej samej chwili uczulem pod brodą nacisk straszne-

go wielkiego palca, a cztery znów palce otaczały mi szyję, jak obrczą żelazną.

Głowa moja obracała się wolno, wolno, aż do bólu tak straszego, że wydałem jęk głuchy.

— Jeszcze ćwierć cala, a wszystko skończone — rzekł człowiek, który mnie trzymał — i bez śladu, bez hałasu. — Znacie mój stary sposób, prawda?..

— Nie, nie, Toussac, nie rób tego — zaczął ten sam głos słodki, który mówił przed chwilą. Byłem już obecny jednemu takiemu traceniu twojemu... straszne!.. Brrr!.. to trzeszczenie prześladowało mnie całe miesiące!.. I powiedzcie, że życie nasze jest tak wątłe, iż proste naciśnięcie palców może je zniweczyć...

Z głową przekreśloną, a podbródkiem dotykającym ramienia prawie, nie widziałem tych, co stanowili o moim losie, lecz słuchałem z całą uwagą.

— Ależ, dobry mój Karolu, ten człowiek posiada obecnie wszystkie nasze najważniejsze tajemnice. (Tym razem Lesage mówił). Potrzeba za jakąś cenę zrobić tak, żeby nam nie szkodził... Jednak, Toussac, daj mu pokój i tak już on nam się nie wymknie.

Posadzono mnie prawie w taki sam sposób, jak przewrócono na ziemię, to jest z brutalnością, która mi znów odebrała przytomność.

Zmęczonym jeszcze wzrokiem nie dobrze widziałem otaczających mnie nędzników. Nie ulegało wątpliwości, że to byli zbrojcy i że w tem pustkowiu, wśród trzęsawisk, byłem zupełnie w ich mocy, ta także było prawdą.

Pomimo to, wspomniałem na moje nazwisko i starałem się nie pokazać w jakiej byłem obawie.

Było ich trzech: Lesage i dwóch obcych.

Lesage stał przy stole z książką w ręce; patrzył na mnie wzrokiem chytrym, jak gracz w szachy, który zamataje przeciwnika.

Obok niego siedział na skrzyni mężczyzna, mogący mieć około lat pięćdziesięciu, z twarzą wychudzoną, koloru lupiny orzecha, z oczyma zapadłymi i wążkami wargami. Ubrany był w suknie koloru tabaczkowego, spodnie miał spięte pod kolanami na sprzączki stalowe i nogi w pończochach, chude bajecznie.

Wpatrzył się we mnie w sposób wcale nie zachęcający. Lecz najwięcej przerażał mnie Toussac.

Wystawcie sobie kolosa, bezkształtnego prawie przez nadmierne rozwinięcie mięśni, z nogami grubymi, połączone z rękami kosmatymi, podobnymi do łap strasznych, twarz zakryta do oczu zarostem gęstym i pokudlanym.

Włosy spadały mu na czoło, rzucając cień na spojrzenie dzikie.

Jeżeli dwóch pierwszych składało sąd, to ten z pewnością spełniał funkcje kata.

— Skąd przyszedł? Kto on jest? Jakim sposobem odkrył nasze schronienie? — pytał mężczyzna w ubraniu tabaczkowym.

— Kiedy zobaczyłem go przez szyby — odpowiedział Lesage, myślałem, że to wy... Bo rzeczywiście, któżby inny osmielił się tu przyjść? Widząc że się omyliłem, zamknąłem mu drzwi przed nosem i pospieszyłem schować papiery w kominie. Na nieszczęście zapomniałem zupełnie, że łatwo mu przyjdzie szpiegować mnie przez szparę we drzwiach, a głównie przez dziurę przy zawiasach. Wyszedłszy dla wskazania mu drogi, spostrzegłem tę dziurę. Zaraz też tknęło mnie, że on podglądał i że nie omieszka rozpowiedzieć wszędzie tego, co traf mu odkrył. Przywołałem go więc z powrotem, wprowadziłem do izby; próbowałem wy badać, jakie są jego sprawy i obrachowywałem jednocześnie, w jaki sposób pozbyć się natręta.

— Sapristi, jedno uderzenie w łeb siekierą, byłoby rozwiązało ten węzeł gordyjski!

— Z pewnością, kochany Toussac, lecz trochę dyplomacji nigdy także nie zaszkodzi.

— Dobrze, dobrze, mów dalej!... — warknął kolos.

— Otóż, ten Laval...

— Laval? — przerwał mały staruszek.

— Tak, jak utrzymuje... Ten Laval czy widział czy nie, jak chowałem papiery? Ważna kwestja do rozwiązania. Oto jaki plan zrobiłem: Być cierpliwym aż do waszego przybycia, potem zostawić go samego w chacie i podpatrywać przez okno. I tak zrobiłem. W chwili, kiedy stawałem na czatach, mój panicz wskoczył już na komin... Nadeszłście wtedy i Toussac był łaskaw rzucić go na ziemię.

Młody człowiek wyprostował się z dumą, z dając się czekać na oklaski swoich przyjaciół.

— Brawo, Lesage! — rzekł stary, klaszcząc w ręce — przeszedłeś siebie, kochanku... Jak nasza Rzeczpospolita będzie zorganizowana, będziemy wiedzieli, gdzie szukać prefekta policji. Przyznaję, że wchodząc tu, nie pojmowałem, co znaczą te dwie nogi, wiszące w kominie, lecz Toussac zaczął od tego, że za nie uchwycił... Zawsze praktyczny ten dzielny Toussac.

— Zawsze słowa, tylko słowa! — zawołał ten ostatni. Przypomnijcież sobie, że dlatego, żeśmy rozprawiali zamiast działać, Bonaparte ma jeszcze głowę na karku i koronę cesarską na tej głowie. No, skończmy z tym chłopakiem i zajmijmy się naszymi sprawami.

Dystynkcja w ułożeniu Lesage'a, sposób wyrażania się jasny, wszystko to dawało mi nadzieję, że znajdę w nim projektora.

Przeraziłem się tedy, kiedy na moje spojrzenie błagalne, czarne jego oczy stały się srogie i odwróciły się odemnie.

— Toussac ma rację — rzekł — zwrócić temu panu wolność, to znaczy narazić nasze bezpieczeństwo.

— Niech diabli porwą nasze bezpieczeństwo! — zawył Toussac. — Powiedz, że narażamy udanie się naszego przedsięwzięcia, co jest daleko ważniejsze.

— Jedno idzie za drugim — odparł Lesage. — Wreszcie potrzebujemy tylko powołać się na artykuł 13 naszej Konstytucji, w której zawarowana jest kara śmierci za takie przestępstwo. Ci, co ten artykuł postanowili, biorą na siebie odpowiedzialność, a nie my...

Ah! omdlewałem słuchając tego młodzieńca o twarzy idealnie pięknej, wygłaszającego zdanie dzikiej bestji, pochylonego nademną jak tygrys, gotów pożreć swoją zdobycz.

Niedługo jednak zaświecił mi promyczek nadziei.

Pan w ubraniu tabaczkowem, który podczas tych debatów nie przestawał wpatrywać się we mnie, milczący dotąd, okazał nagle pewien niepokój wobec usposobienia krwiożerczego swoich towarzyszy.

— Kochany Łucjanie — odezwał się słodko, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka — my, filozofowie, powinniśmy mieć wielki szacunek dla życia ludzkiego. Pomyśl, że życie jest datkiem Wyższej Istoty i bezkarnie nie można go odbierać. Czy nie takiego byleś zdania w epoce, kiedy Marat przerażał Francję okrucieństwem?

— Karolu, szanuję cię nieskończenie i z przyjemnością nazywam się twoim gorliwym uczniem, lecz w tej chwili, upewniam cię, mamy co innego do robienia, niż wygłaszanie banalnych teoryj. Nasze bezpieczeństwo w grę wchodzi; niema co używać wykrętów... Nikt napewno nie jest większym wrogiem okrucieństwa, niż ja... Jednak, wobec groźącego niebezpieczeństwa, umiem nakazać milczenie tkliwości serca... Przypomnij sobie jak zreźnie Toussac odebrał życie człowiekowi z Bovistreet... Małe trzaśnięcie... i po wszystkim!... Wreszcie, ty sam osądziłeś i skazałeś tamtego!...



— Zaczekaj, Toussac! — krzyknął stary, kiedy herkules zniecierpliwiony zwłoką, przyłożył mi po raz wtóry palec pod brodę. Łucjanie! odwołuję się do twojego honoru, do twoich zasad moralności... Nie, ty nie zniesiesz, aby taka zbrodnia została spełnioną!... W dodatku, przypuść zmianę szczęścia, przypuść, że nas przyaresztują, stawią przed sądem... czyż śmierć tego dziecka nie odejmie ci nadziei zmiłowania nad tobą?...

Młody człowiek zbladł śmiertelnie. Ostatni argument zachwiał jego przekonaniem.

— Przyaresztowani... stawieni przed sądem... — helkotał. — Ah! Karolu, wiesz dobrze, gdyby tak się stało, bylibyśmy skazani na śmierć z pewnością... Nie, nie, w żadnym razie, nie mogłoby dla nas być miłosierdzia! Wierzą słuchajmy artykułu 13.

— A czy ten artykuł nie pozostawia nam swobody zmiany takowego? Tak, ponieważ my sami należymy do komitetu.

— Zgoda, lecz zapominasz, iż trzeba czterech dla prawomocnej zmiany artykułu... u nas trzech tylko...

Obrożc żelazna znów zacisnęła się na moim karku, a podbródek dotknął ramienia. Modliłem się, polecałem duszę Najświętszej Pannie i świętemu Ignacemu, patronowi naszej rodziny.

W tej chwili staruszek w tabaczkowym ubraniu rzucił się i wyrwał mnie z rąk Toussaca, z gwałtownością różną zupełnie od zwykłego spokoju.

— Nie zamordujesz go! — rzekł gosem zmienionym od gniewu. — Jakiem prawem opierasz się woli mojej?.. Toussac, rozkazuję ci, puść tego chłopca!.. Usuń twój wielki palec!..

Przekonawszy się, że jego towarzysze pozostali niewzruszeni i że groźbą nic nie otrzyma, zmienił sposób mówienia:

— No, Łucjanie, posłuchaj, oto, co ci proponuję... Ja go wybadam: jeżeli szpieg, niech Toussac robi z nim, co ze-

chce, lecz jeżeli tylko nie znaczący podróżny, którego zła gwiazda tu przyprowadziła, jeśli tylko przez głupią ciekawość przeczytał nasze dokumenty, wtedy do mnie będzie należał.

Co do mnie, ani słowa nie rzekłem na swoją obronę. Później miałem powód wieszować sobie milczenia, które, co prawda, więcej przez dumę, aniżeli przez odwagę zachowywałem.

Stracić odrazu życie i godność, tego byłoby za wiele:

Kiedy stary wstawiał się za mną, badałem niespokojni twarz Toussaca i twarz Lesage'a.

Wstrzymywałem oddech, czekając, co odpowiedzą.

Lecz zwierzęcość pierwszego mniej mi robiła wstrętu, niż hipokryzja drugiego.

Lesage stukał się lekko po zębach i powtarzał drwiąco:

— Artykuł 13, artykuł 13!..

— A więc biore na siebie odpowiedzialność — rzekł stary.

— Wiesz zapewne — dodał Toussac — że obok artykułu 13 jest drugi, który mówi, że ten, kto daje przytułek zbrodniarzowi lub go ochrania, podpada także karze śmierci.

— Toussac, jesteś doskonałym człowiekiem czynu — odparł mój obrońca wcale nie zmięszany — lecz nie mięszaj się do dyskusji, bo się zgubisz i nie trafisz do końca.

Spokój starego onieśmielił kolosa, który zadowolił się wzruszeniem ramion i nie odpowiedział.

— Co się tyczy ciebie, Łucjanie, dziwię się, iż tyle przeszkód stawiasz moim chęciom. Jeżeli zostałeś wtajemniczony w prawdziwe zasady wolności i równości, jeżeliś został przypuszczony do stowarzyszenia chwalebne, które zamierza wskrzeszenie Rzeczypospolitej, komu to zawdzięczasz?..

— Dobry mój Karolu! — zawołał młody człowiek, poruszony do głębi — bądź przekonany, że nigdy nie stawię żadnych przeszkód do urzeczywistnienia twoich zamiarów. To, czego chcę w obecnej okoliczności, to jest, abyś w porywie szlachetnego serca, nie zszedł z prostej drogi! Lecz badaj tego

chłopca, a osądzisz sam, że kara, jaką chcemy, żeby poniósł, słusznie mu się należy.

Takiego i ja byłem zdania.

Jednem słowem, posiadałem tajemnicę tych ludzi, mogłem jutro zaraz wydać ich cesarzowi. Jak można mieć nadzieję, że wypuszczą mnie z rąk żywego?.. Lecz życie ma powab, przede wszystkim w latach dwudziestu i kiedy uścisk Toussaca zwałiał, uczulem ulgę niewypowiedzianą, używałem szczęścia oddychania swobodnie.

Po upływie paru minut znalazłem się twarz w twarz z moim sędzią. Dziwną miał tę twarz, pomarszczoną i ciemną, jak kawałek starego drzewa.

— Stąd przybyłeś?

— Z Anglii.

— Lecz jesteś Francuzem?

— Tak.

— Kiedy przybyłeś?

— Dziś wieczór.

— Jaką drogą?

— Żaglowcem z Duwru.

— To, co on mówi, jest prawdą — mruknął Toussac — widziałem jak wysiadał na ląd, trochę później, gdy okręt, który mnie przywiózł, odplynał na pełne morze.

...A więc ten statek, który przed nami uciekał w ciemnicy, to był?.. Teraz zrozumiałem, dlaczego to zrobił.

Stary pan rozpoczął teraz badanie.

Lecz pytania jego były stanowczo pozbawione sensu. Przytem wahał się, zatrzymywał w środku frazesów, szukał słów, rozbierał każdą moją odpowiedź i zamyślał się po kilka sekund co chwile.

Lucjan i Toussac drżeli z niecierpliwości. Co znaczyła ta śmieszna farsa?.. Czy stary miał jaki cel?.. Zapewne, gdyż widocznem było, że chce zyskać na czasie... Ale dlaczego?..

Nagle z tą jasnością, jaką daje umysłowi pewność nie-

bezpieczeństwa, odgadłem, że kogoś oczekiwał, że ten ktoś nie spóźni się i że liczył na niego, żeby mnie ocalić.

Zacząłem tedy mówić, mówić bez końca; opowiadałem podróż moją, zajście z kapitanem trzymaszowca, drogę przez trzęsawisko, podczas gdy stary słuchał z oczyma biegającymi niespokojnie, zrobiwszy trąbkę z palców przy uchu.

Toussac, którego moja wielomowność irytowała, przerywał mi przekleństwem.

— Dosyć już tego! — krzyknął. — Przypuszczam, że nie dla słuchania takich baniałuk ryzykowałem życiem!.. Skończmy mówię, z tym chłopcem i zajmijmy się naszymi sprawami!

— Jak ci się podoba — odpowiedział mały staruszek. — Oto jest właśnie szafa, zrobiona umyślnie, żeby mu służyć za więzienie. Tam go wpakuje, a jak skończymy nasze interesy, rozpocznę nanowo badanie.

— Zwarzowałeś stanowczo! — rzekł Toussac. — Nie podejrzewałem cię o tyle delikatności, mój kochany... Nie miałeś jej jednak dla człowieka z Bov-street! Wreszcie powtarzam swoje, ten chłopiec posiada nasze tajemnice, a więc musi umrzeć, w przeciwnym razie, on to zaprowadzi nas na rusztowanie.

Ohydne jego lapy wyciągnęły się, aby otoczyć moją szyję, kiedy naraz Lesage zbladł, wyprostował się i wskazujący palec zwrócił na drzwi.

— Słuchajcie! — mruknął.

— Co to jest? — odezwali się Toussac i stary.

Zmartwieliśmy wszyscy, staliśmy, dech wstrzymując... lecz nic nie słysząc oprócz wycia wichru.

— Ach! omyliłem się! — zawołał Lesage z nerwowym śmiechem.

— Tak, śniło ci się! — warknął Toussac.

— Sza! — rzekł znów młody człowiek.

Tym razem krzyk zapanował nad burzą, krzyk dziwny,

zaczynający się w niskich tonach i naraz zmieniający się w długi jęk, przenikliwy, ostry...

— Pies!.. Przekleństwo, odkryto nas!..

Lesage pobiegł do komina, zabrał wszystkie papiery i rzucił je w ogień. Toussac uchwycił siekiere.

Stary odepchnął kupę sieci rybackich i uchylił drzwi ukryte w ścianie.

— Prędszej, wejdz tu! — rzekł do mnie cicho.

Wsunąłem się do skrytki.

---

## V.

### Prawo.

Szafa, do której wszedłem, była niska i wąska; całą wyższą jej część zastawiono okrągłymi koszami, czyli wiecierzami na homary. Po przez szpary w drzewie widziałem doskonale co się działo w pokoju i pomimo zmęczenia i wzruszeń przebytych, osłupiałem na widok, jaki się oczom moim przedstawił.

Obrońca mój, zawsze spokojny, usiadł z powrotem na skrzyni. Nogi skrzyżował, ręce opuścił na kolana i kiwał się obojętny z tyłu na przód; lecz zauważyłem u niego tyk nerwowo, którego dotąd nie widziałem. Było to granie szczęk aż do skroni.

Obok niego Lesage trząsł się, z twarzą pokrytą śmiertelnym potem. Od czasu do czasu próbował otrząsnąć się ze strachu, lecz zaraz napowrót opadał z sił i nogi się pod nim uginały.

Co do Toussaca, ten był wspaniały. Wysoka jego postać odrzynała się na krwawem tle płomienia. Z siekiereą w ręce, z głową w tył odrzuconą, wyglądał jak atleta gotów do walki.

Ponieważ zbliżyło się szczekanie psa, przeszedł przez izbę i drzwi otworzył.

— Nie, nie! — krzyknął Lesage — nie daj mu wejść!..

— Co znowu? Czy nie rozumiesz, że jedynym zbawieniem jest go zabić?

— A jeżeli trzymany na smyczy?..

— ...Jeżeli jest trzymany na smyczy, to jesteśmy zgubieni... Lecz nie, jestem pewny.

Lesage wlaź pod stół. Mały staruszek nie przestawał się bujać, z dziwnym uśmiechem na cienkich wargach. Chudą ręką szarpał żabot u koszuli i zdawało się, że dotyka broni na piersiach.

Toussac czekał, stojąc na progu. Pomimo wstępu, jaki do niego czulem, nie mogłem oprzeć się podziwianiu jego postawy odważnej.

Ja, jedyny świadek tego dramatu, wstrzymywałem oddech i nie ruszyłem się z miejsca.

Nagle scena się zmieniła.

Toussac osadził się na nogach, zgarbił i wznosił w górę siekiere!

Lesage leżał jak długi pod stołem; stary przestał się kiwać i siedział nieruchomy, jak posąg z brązu.

Potem usłyszałem rodzaj trzasku i ciemna masa ukazała się u wejścia do chaty. Toussac uderzył siekiere, która cała weszła w szyję zwierzęcia. Uderzenie było tak gwałtowne, że człowiek i pies runęli razem na ziemię, dysząc, wyjąc, szarpając się...

Straszny widok!..

Toussac zagłębiał palce w gardło psa, grzebał w tej masie drgającej z porykiwaniem hyeny. A zwierzę gryzło, szarpało się, z paszczą zapienioną, ze ślepiami krwią zaszlami.

W końcu człowiek wstał, otrząsnął ręce z krwi; pies zawył chrapliwie i wyciągnął łapy w ostatnich konwulsjach.

Na ziemi leżała już tylko masa bezkształtna w krwawej kałuży.

— A teraz — ryknął Toussac — uciekajmy!

I popędził za drzwi.

Lesage, który podczas walki z psem, przycołgał się pod drzwi, zerwał się na nogi po ucieczce Toussaca.

— Ah! tak, Karolu, uciekajmy!... — krzyknął.

Lecz starsuszek, niez mieszan, zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni.

— Mój kochany — rzekł — jedyna rada jaką ci dać mogę, to jest zostać tu...

Lesage spojrział na niego z osłupieniem najpierw, potem z wyrazem nieokreślonego strachu.

— No, Karolu, żartujesz, wszak prawda?

— Ani myślę!...

— Ależ za kilka minut będzie tu policja!...

— Ma się rozumieć.

— A więc uciekajmy!...

— Nie, pozostaniemy tu, gdzie jesteśmy.

— Zwarjowałeś chyba! Wreszcie zostań, jeżeli masz ochotę; co do mnie, odchodzę.

Pobiegł do drzwi, lecz stary zastąpił mu drogę i zatrzymał ruchem rozkazującym.

— Lucjanie, jesteś tylko głupcem oszukanym... Rozumiesz? nędznym głupcem, wystrychniętym na dudka!

Lesage osłupiał. Naraz rozjaśniło mu się w mózgu.

— Ty... ty, Karolu... szpiegiem?!... — wyjąkał.

— Tak, ja.

I stary roześmiał się cicho, takim śmiechem, od którego krew mi w żyłach zamarła.

— Ty, który byłeś duszą naszego stowarzyszenia — zaczął Lesage — ty, prezes naszego tajnego komitetu, ty któryś nas wszystkich pociągnął! Oh! Karolu, złem jest to, co robisz!... Słyszysz, nadchodzą, pozwól mi uciec! Błagam, pozwól uciec!...

Stary pokiwał głową.

Lesage bil się pięścią w czoło.

— Szpieg! — powtarzał. — Karol szpieg!... Ależ ty byłeś największym rewolucjonistą z nas wszystkich! Ile razy wykladałeś nam twoje przekonania krańcowe!...

I nagle inna myśl przyszła mu do głowy:

— Więc Sybilla także? Nie, nie, Sybilla, to niepodobieństwo! Karolu, powiedz, że żartujesz, powiedz!...

Twarz starego rozjaśniła się.

— Pochlebia mi twoje zdziwienie — rzekł. — Rzeczywiście, dobrze odegrałem moją rolę! Nie moja wina, że psa puścili! Wreszcie, jednego tylko ująłem, lecz przynajmniej zuchwałego i niebezpiecznego spiskowca.

Mówiąc to, trzymał ciągle rękę za ubraniem na pierśsiach. Wysunął ją, lecz w taki sposób, aby pokazać kolbę pistoletu.

— Nie, to się na nic nie zda — rzekł w odpowiedzi na poruszenie młodego człowieka — zostaniesz tu żywy albo umarły.

Lesage zaczął płakać i mówił:

— Ah! jesteś bardzo mądry! Wszystko jedno, ciekawo jestem, jak wytłumaczysz cesarzowi twoje postępowanie... gdyż nie zdołasz zabronić mi mówić.

— To prawda — zrobił uwagę stary i — skierował lufę pistoletu na Lesage'a.

— Jeszcze nie zdecydowałem, w jakim stanie cię wydam — rzekł. — Lepiej będzie nieżywego.

Podczas walki Toussaca z psem drżałem ze zgrozy; lecz teraz niewytłumaczone uczucie mną oswłodziło: jednocześnie wstyd, obrzydzenie, litść, połączone z rozpaczą, że znalazłem się w tej dziurze przeklętej.

Tak, patrząc na tego młodzieńca eleganckiego, wątłej postawy, z twarzą poetyczną, przeznaczoną do cichego szczęścia, pociągniętego pomimo woli zapewne, silną wolą i przewagą obcą, niezdołnego wypełnić roli, jaką mu narzucono,



zapomniałem o jego chytrności, tchórzostwie, a nawet o zaciekleści, z jaką domagał się mojej śmierci.

Nie mogąc znieść tego dłużej, wyszedłem z szafy i stanąłem pomiędzy starym i jego ofiarą.

W tej chwili odwrócił naszą uwagę szmer głosów pomieszanych i szczeł szabel.

— „W imieniu cesarza!” — rozległ się głos.

I drzwi rozwarły się z loskotem.

Wicher wpadł do izby. Wśród ulewnego deszczu dojrzałem oddział konnicy; niewyraźne kształty pióropuszków i płaszczów, szarpanych wiatrem; lecz ci, którzy się zbliżyli w krąg światła lampy, przedstawili się wzniosłe i rycersko.

Byli to dwaj żołnierze w huzarskich mundurach, którzy trzymali konie za uzdy, a pomiędzy nimi oficer w butach do kolan, w niebieskim mundurze ze srebraami galonami.

Ten ostatni bardzo piękny mężczyzna, o cerze bladej, czarnych oczach, z długimi wąsami. Mundur przypadał mu doskonale, uwydatniając postawę smukłą i silną. Podziwiałem sposób, w jaki odrzucił płaszcz na ramię, a także wdzięk, z jakim wsparł rękę na rękojści szabli. Przebiegl oczyma izbę zrujnowaną, zakopconą, ziemię krwią zbroczoną i zatrzymał je w końcu na tych, którzy byli zgromadzeni.

— A więc? — odezwał się chłodno.

Stary wsunął pistolet do kieszeni.

— Oto jest Lucjan Lesage — rzekł, wskazując młodego człowieka, leżącego na ziemi.

— Śliczny spiskowiec!... — zauważył oficer. — No, podnieś się, głupcze!... Gerardzie, tobie powierzam więźnia, zaprowadzisz go do obozu.

Młody podoficer wszedł do izby i z pomocą dwóch żołnierzy, wyniósł biednego Lesage'a na pół żywego ze strachu.

— A gdzie drugi, ten, którego nazywają Toussac?

— Zabił psa i uciekł. Lesage byłby to samo zrobił, gdybym mu nie przeszkodził. To też, po co było spuszczać psa?...

A jednak, pułkownikowi Lassalle, możesz mi pan powinszować, gdyż to nie byle sprawa.

Wyciągnął rękę do oficera, lecz ten nie ujął jej odwrócił się tyłem i zawołał do kogoś, będącego przed chatą:

— Słyszysz pan, generale Savary, Toussac uciekł!

Mężczyzna młody jeszcze i bardzo wysoki wszedł z kolei w krag świetlany. Twarz jego lekko smagława ściągnęła się słuchając tej wieści.

— Lecz kto jest ten? — rzekł, na mnie wskazując. — Zdaje się, że tylko dwie osoby osoby miały być z panem...

— Przepraszam, generale — zawołał stary — mówiłem panu, że ta chata jest miejscem schadзки spiskowców, lecz do ostatniej chwili nie wiedziałem, kto może tu zabłądzić. Nastreczyłem panu sposobność ujęcia Toussaca... Pusciliście waszego psa, tem gorzej! Przekonany jestem, że cesarz porachuje się z wami za tę nieostrożność.

— To już moja rzecz! — odparł surowo general Savary. — Lecz nie odpowiedziałeś mi pan. Kto jest chłopiec?

Wydalo mi się niepotrzebnem taic nazwisko, ponieważ miałem list, z którego i takby się dowiedziano prawdy.

— Ludwik de Laval — rzekłem z niejaką dumą, sam się przedstawiając.

Doprawdy, żyjąc w mgłach Anglii, przesadzaliśmy bardzo nasze znaczenie. Nazwisko moje, choć tak bardzo arystokratyczne, nie uczyniło żadnego wrażenia.

General Savary zadowolil się, zapisawszy je w notesie.

— Pan de Laval nie należy do całej tej sprawy — rzekł stary szpieg — przypadek tylko sprowadzil go do tej chaty. Mogę za nim świadczyć, jeżeli trzeba.

— Dobrze, dobrze! — odprła general. — Ponieważ potrzebuję wszystkich moich ludzi do ścigania Toussac'a, zostawiam go pod pana strażą. Niech będzie gotów stawić się na wezwanie cesarza. Ale, ale, nie masz pan jakich ważnych papierów?

— Lesage je spalił, generale.

— Ah!...

— Lecz posiadam duplikaty.

— Dobrze. No, Lassalle, chodźmy, nie mamy chwili do stracenia!... Rozstawisz swoich ludzi wzdłuż trzęsawiska.

Obydwaj oficerowie wyszli z chaty, nie troszcząc się o mojego towarzysza. Kilka krótkich rozkazów, szcęk broni przy wsiadaniu żołnierzy na konie i potem cisza.

Stary oparty o ramę drzwi, patrzył za nimi, dopóki nie znikli w mgłę i ciemności.

Kiedy wrócił, wpatrzył się we mnie, ze swoim uśmiechem zagadkowym.

— No, cóż, młodzieńcze, byleś obecnym bardzo interesującemu przedstawieniu... Ładne żywe obrazy, co?... Po-dziękuj za dobre miejsce, jakie ci dałem?... Do licha!... fotel parterowy!...

— Panie, jestem ci prawdziwie wdzięczny — rzekłem, miotany jednocześnie uczuciem wdzięczności i instynktowego wstrętu — nie wiem nawet jak wyrazić...

Wzruszył ramionami:

— Później mi podziękujesz!... Tymczasem, ponieważ, jesteś tu obcym i ponieważ odpowiadam za twoją osobę, pójdiesz ze mną i spodziewam się, że spokojnie spędzisz resztę nocy.

---

## VI.

### Podziemie.

Ogień przygasł; towarzysz mój zdmuchnął lampę i wyszliśmy.

Wiatr ucich, tylko deszcz padał drobny, przejmujący.

Po upływie pięciu minut nie widzieliśmy już wcale przekłetej rudery, gdzie o mało nie zostałem zamordowany.

Gdybym szedł sam, zabłądziłbym napewno, lecz tym

razem miałem przewodnika, który widocznie znał dobrze okolice i który szedł krokiem pewnym i szybkim.

Trudno mi było nawet zdążyć za nim, gdyż przebyty niepokój do reszty siły mi odebrał. Z zawiniątkiem pod pachą wlokłem się z trudem przy boku starego, napastowanego ziemi przeczuciami.

Chociaż bardzo młody jeszcze, byłem doskonale świadomy, co się dzieje wewnątrz Francji. Tam, w Ashford, nasłuchałem się tyle jak emigranci roztrząsali i sądzili najdrobniejsze wypadki polityczne!...

Wiedziałem, że wyniesienie Napoleona, w rozpacz wprawilo jakobinów i republikanów krańcowych, którzy spostrzegli, że wszystkie wysiłki dla obalenia królewskości, posłużyły tylko do wzniesienia cesarstwa.

Co do stronników Bourbonów, ci okrutnego zawodu doznali, widząc, w jaki sposób lud francuski przyjął tego awanturnika, niskiego pochodzenia, bez majątku, jakim był Bonaparte z 18-go Brumera.

Ah! jeżeli mieli nadzieję ustalenia porządku w ojczyźnie, to nie z perspektywą takiego naczelnika...

To też, dla różnych powodów, stronnictwa najbardziej przeciwne łączyły się w nienawiści dla Napoleona i w pragnieniu obalenia jego władzy.

Stąd taka masa spisków, a których większa część łączywała się w Anglii; stąd także cała falanga szpiegów, którą zorganizował Fouché i Savary, a którzy mieli polecenie czuwania nad bezpieczeństwem cesarza.

Szczególny traf dał mi przybyć do Francji w tym samym czasie, jak i niebezpieczny spiskowiec i nastęrczył mi sposobność poznać działanie policji cesarskiej.

Zliczywszy wypadki wieczoru, drogę po przez trzęsawiska, przybycie do rudery, znalezienie papierów, ten długi okres czasu niepokoju, kiedy Toussac z ręką na mojem gardle, chciał mnie udusić, oburzające sceny, których byłem

świadkiem, aresztowanie Lesage'a, śmierć psa, nie dziwiłem się podnieceniu nerwów i jakiemuś chorobliwemu odurzeniu.

W uszach dzwięczały mi słowa generała Savary, zdania Lesage'a, wycie i szczekanie psa: przed oczyma przesuwały się obrazy zmaćcone...

W końcu, jeszcze ta pewność, że byłem całkowicie na łasce dziwnego starca, którego niepojęte postępowanie napelniło mnie odrazą...

Podstęp użyty, aby wydać współników, cynizm w rozmowie z Lesage'm, wszystko to znamionowało duszę niską i podłą.

Nie mogłem jednak nie przyznać, że mnie wyrwał od śmierci niehybnej.

Pomiędzy Toussac'iem i Lesage'm położenie moje było stracone, a on nie wahał się dla ocalenia mnie, stawić mężnie czoło jednemu i narazić się na zemstę drugiego.

— W dodatku — mówiłem sobie — mógł przecież za denuncjować mnie jako spiskowca, a ja nie mogłem dowieść mojej niewinności.

Wszystko jedno, ten człowiek z twarzą krzemienną, zrobił na mnie dziwne wrażenie. Czulem jednocześnie pociąg i wstręt do niego; byłem niespokojny, smutny, miałem chęć dowiedzenia się, kim był i co robił i odsunięcia się od niego i gwałtownej ucieczki.

Po ujściu dwóch do trzech mil w milczeniu, zażądałem, żeby mi wyjaśnił to, co się działo w owej chacie.

Dostrzegłem w cieniu tłumiony śmiech na jego ustach.

— Doprawdy, bawisz mnie, panie... panie... jak powiedziałeś?

— De Laval.

— Ah! tak, de Laval. Posiadasz porywczosć i niewinność młodości. Raz pragniesz zobaczyć, co Lesage schował w kominie... Teraz znówu chcesz wiedzieć, czemu byłem posłuszny, wydając moich kolegów i żądasz poprestu, żebym ci

to przedstawił... Mnie, który mam ciągle stosunki z ludźmi, starającymi się ukryć swoje myśli, przyznam, że podoba się twoja szczerość.

— Panie — odparłem — nie potrzebuję wiedzieć, dlaczego tak postąpiłeś; ocaliłeś mi życie, dziękuję ci za to.

Przymus, z jakim mówiłem, dał mu poznać, ile mnie kosztuje wyrażenie wdzięczności.

— Nie, nie dziękuj — rzekł. — Gdyby twoja śmierć potrzebna była do spełnienia moich zamiarów, byłbym cię napewno zostawił w rękach Toussac'a... Jesteś o tem przekonany, prawda? Zatem nie jesteś obowiązany do żadnej wdzięczności.

I dodał z goryczą:

— Podałbym ci rękę, ale zrobiłbyś może jak ten trzpiot Lassalle, obróciłbyś się plecami. Tak, pięknie jest bić się za cesarza; lecz co to znaczy w porównaniu z nieustającą walką ku jego obronie, jaką ja prowadzę przeciwko fanatykom, których doktryny i ciągle zamachy wyjmują z pod prawa? Śmierć?... Ależ ja co chwila jestem na nią narażony, ciągle wisi nad moją głową!... A jednak — powiadają — nie zasługuję na miano ucziwego człowieka... Dlaczego?... Tak, dlaczego? — powtórzył. Sądzę, że więcej okazałem odwagi przy jednym widzeniu się z Toussac'em, niż Lassalle przy wszystkich swoich szarżach kawalerji... Co do usług, pewny jestem, że żaden marszałek Francji nie oddał tak ważnych, jak moje. Zapewne pan jesteś innego zdania, panie... panie...

— De Laval.

— Tak, de Laval... Dziwa rzecz nie pamiętam nigdy pańskiego nazwiska. Mówiłem tedy, że pewno podzielasz zdanie pułkownika de Lassalla.

— Moje zdanie mało znaczy — rzekłem. — Raz jeszcze powtarzam, ocaliłeś mi pan życie, dziękuję panu.

Chciał odpowiedzieć, lecz w tej chwili rozległy się dwa

strzały i niezadługo wrzawa w oddali... Zatrzymaliśmy się... Wszystko ucichło...

— Zobaczyli Toussac'a prawdopodobnie — rzekł stary. — Boję się, że go nie złapią... To mądry ptak. Ale, ale, co ty o nim myślisz? Wiesz, że daleko musiałbyś szukać równego mu zucha!...

— Dalekobym przedewszystkiem poszedł, żeby go ominać! — zawolałem — chyba, że byłbym w stanie obronić się od niego.

Mój towarzysz przyświadczył mi ze śmiechem.

— Jednak — mówił — to człowiek wielkiej uczciwości, a to bardzo rzadka cnota w naszych czasach. Przystał do rewolucji z zapalem natury prostej i prawej, ujęty świetnymi obietnicami pisarzy i mowców, entuzjastycznymi proklamacjami deputowanych Thiers'a. Przekonany był, że po zamieszkach i egzekucjach potrzebnych, Francja będzie środowiskiem pokoju, szczęścia, braterstwa. Dużo ludzi miało te piękne złudzenia. Niestety! gilotyna ścięła ich jak gdyby kłosa dojrzałe. Lecz, kiedy zamiast pokoju — znalazł wojnę, zamiast szczęścia — nędzę zabijającą, Toussac oszalał, rzecz można. Dziś, to jest bydlę, dzikie zwierzę; wreszcie sam go widziałeś. Jedną ma tylko myśl przewodnią; ścigać, tępić tych, którzy zniweczyli jego ideał polityczny. Tej zemście poświęcił swoją siłę olbrzymią. Niczego się nie obawia. Wytrwały jest, nieubłagany, okrutny. Zabije mnie z pewnością za to, że go podszedłem tej nocy.

Ostatnia uwaga zrobiona była z zupełną krwią zimną.

Zrozumiałem tedy, że to nie przechwałka, iż potrzebował więcej odwagi, będąc szpiegiem niż pułkownik Lassalle, aby być dzielnym rębaczem.

Umilkł; po chwili zaczął, jakby mówił do siebie:

— Tak, źle zrobiłem, powinienem był strzelić, podczas kiedy z psem się szamotał... Lecz gdybym go tylko ranil, byłby

mnie w kawały poszarpał... Nie, stanowczo, lepiej, że tak się stało...

Minęliśmy błota i od kilku chwil mieliśmy pod nogami miękką, gęstą trawę. Droga przed nami wila się wężykowato do wierzchołka wzgórza.

Towarzysz mój szedł ciągle bez wahania, tak samo szybko jak kiedy wyszliśmy z rudery. Dosyć mi to dogadzało, gdyż tak byłem zmęczony, że gdyby nie ten przymusowy ruch, byłbym upadł, aby się nie podnieść.

Kiedy wyemigrowałem do Anglii, miałem zaledwie lat osm, to też bardzo niewyraźnie pamiętałem okolice, w której się urodziłem. Nie wyobrażałem sobie nawet, gdzie się znajdujemy i nie obchodziło mnie to wcale. Wszystko mi było jedno.

Pragnąłem tylko jednej rzeczy: spać, spać długo, bardzo długo. Podnosiłem nogi i stawiałem na gruncie jak automat. Drzemałem z otwartymi oczami.

Naraz obudziłem się drżąc cały.

Stary zatrzymał się nad brzegiem dołu, którego obwód rysował się w niepewnym świetle księżyca.

Deszcz ustał, lecz tam w górze przewalały się ciężkie czarne chmury. Staliśmy przed opuszczoną kopalnią, zarosniętą prawie cierniem i paprocią.

Stary, upewniwszy się, że nikt nas nie śledzi, zapuścił się w głąb, a ja wstąpiłem w jego ślady.

Dotarliśmy niedługo do ściany kredziastej i szliśmy wzdłuż niej, aż do skały poprzecznej w kształcie monolitu.

— Nie widzisz jakiego światła? — zapytał mój towarzysz.

Obejrzałem się dokoła; nic nie zobaczyłem.

— To dobrze! Wejdz, młodzieńcze, ja pójdę za tobą.

Oslupiałem. Czarny otwór ukazał się u stóp monolitu.

Podczas kiedy patrzyłem dokoła, stary oderwał szybko kilka gałęzi cierni i odsłonił ten otwór, o którym zapewne on tylko wiedział.



— Trochę wąsko z początku — rzekł — lecz dalej się rozszerza.

Nie mogłem się zdecydować...

Bo zważywszy, kim był ten zagadkowy człowiek? Dokąd mnie prowadził? Czy mieszkał w jaskini jak tygrys? Czy chciał mnie wciągnąć w zasadzkę?

Księżyc ukazał się na chwilę i oświecił tajemniczy otwór. Przeróżające to było; możnaby rzec, usta bezzębne, drwiące, w bladej twarzy trupa.

— Zapóźno cofać się — zauważył mój towarzysz. — No, proszę o trochę zaufania...

— Panie, jestem na twoje rozkazy — rzekłem.

— Więc, proszę naprzód.

Zapuściłem się w przejście tak zaciśnięte i niskie, iż musiałem czolgać się na kolanach. Odwróciwszy się trochę, spostrzegłem spiczastą sylwetkę szpiega. Stał chwilę nieruchomo w otworze.

Potem usłyszałem szelest gałęzi i wszystko ucichło.

Przejście zostało zamknięte z powrotem. Posłyszałem szmer: stary czolgał się za mną.

— Idź, aż trafisz na stopień schodów — odezwał się. — Tam będzie wygodniej, tam skrzeseć ognia.

Wielkie dla mnie szczęście, że byłem wtedy szczupły, gdyby nie to, nie wiem jakbym się obracał w tej rurze, w której grzbietem dotykałem sufitu, a łokciami ścian bocznych.

Po kwadransie takiego spaceru, dotknąłem rękami stopnia schodów... Wdrapałem się na ten stopień i odetchnąłem świeżem powietrzem; byliśmy widocznie w miejscu przestronniejszym.

Stary skrzesał ognia; mieliśmy więc światło, wprawdzie słabe, żółte, światło małej świeczki, lecz przynajmniej można było coś widzieć.

Pierwsze moje spojrzenie padło na twarz przewodnika,

na tę twarz koloru starego drzewa, która wydawałaby się mumią, gdyby nie wiekiusty tyk w szczękach.

Następnie rozejrzałem się, gdzie jesteśmy.

Było to podziemie, dość wysokie, aby stać można i wydawało się bardzo długie. Lecz w części zapadłe, a kupy kamieni tamowały przejście pierwotne. Dlatego też wykopano rodzaj rowu, który przebyliśmy. Roboty musiały być świeże, gdyż na ziemi leżały narzędzia, które służyły do przebijania skały.

Towarzysz mój zaczął iść znowu.

— Widziałeś coś podobnego w Anglii? — zapytał.

— Nie, nigdy.

— Przodkowie twoi, młodzieńcze, byli to ludzie przeznorni. Pozostawiali sobie zawsze schronienie na czasy zamieszek. Teraz, kiedy nastaly ciężkie chwile, podziemia ich są bardzo użyteczne tym, którzy je odnaleźli.

— A to podziemie dokąd prowadzi? — zapytałem.

— Tutaj — rzekł stary, wskazując na drzwi z żelazną sztabą.

Szukał chwilę pomiędzy zamkami, stojąc w ten sposób, abym nie mógł widzieć, co robi. Domyśliłem się, że szuka sekretnej sprężyny.

Drzwi obróciły się na zawiasach z okropnem zgrzytnięciem i ujrzałem schody ze stopniami chwiejącymi się i zniszczonymi.

— Uważaj, młodzieńcze, schody bardzo strome.

Zaczęliśmy wchodzić. W górze były drugie drzwi, które stary otworzył w ten sam sposób jak pierwsze.

Wpadłem z jednego zdumienia w drugie.

Czy naprawdę byłem Ludwikiem de Laval, mieszkającym jeszcze wczoraj w oberży pod „Zielonym człowiekiem” w Ashford Kent, czy też bohaterem cudownych bajek, opowiadanych przez Pigault-Lebrun?

Te arkady omszałe, ciężkie drzwi okute, to podziemie,

schody kręcone, wszystko to zjawiało się przed memi oczyma jak wizja fantastyczna i niepokojąca.

Lecz sprowadziła mnie do rzeczywistości kopczą świeczka, moje ubranie zabłocone, a przede wszystkim twarz mojego towarzysza.

Byliśmy obecnie w przedsionku wyłożonym marmurem, oświetlonym lampką olejną. Na prawo przepierzenie z dwoma oknami, zasłoniętymi hermetycznie okiennicami.

Więc wydostaliśmy się na powierzchnię ziemi.

Przeszliśmy przez przedsionek; potem, po przebyciu całej serji korytarzy i małych pokojów, stary wprowadził mnie do pokoju urządzonego z komfortem.

— Spodziewam się, że tę noc prześpisz wygodnie — odezwał się.

— Tak, tak, bezwątpienia.

Niczego już nie pragnąłem, tylko pozbuć się ubrania mokrego i wyciągnąć pod tą białą koldrą, której sam widok rozkosz mi sprawiał.

Jednakże nie mogłem się pozbyć ciekowości.

— Panie — rzekłem bądź dobrym do końca i powiedz, gdzie jestem?

— Jesteś u mnie, niech ci to na teraz wystarczy. Jutro dowiesz się więcej.

Zadzwonił.

Wszedł służący.

— Czy pani poszła już spać?

— Tak, proszę pana, już od dwóch godzin!..

— Możesz odejść.

A zwracając się do mnie:

— Dobranoc. Obudzę cię jutro rano.

Odszedł.

Odgłos jego kroków cichł powoli w korytarzu, a ja zasnąłem snem kamiennym...

## VII.

## Właściciel Grobois.

Gospodarz mój dotrzymał słowa.

Otworzywszy oczy rano, zobaczyłem go stojącego przy łóżku.

Twarz spokojna i gładko wygolona, ubranie skromne i staranne nie przypominały w niczem, że ten człowiek mógł być zamieszany w straszny dramat w opustoszałej ruderze.

Pochylony nademną, patrzył z uśmiechem życzliwym, a pomimo to, odrazu jak go zobaczyłem, uczulem nanowo instynktowny wstręt, który mi nie dał spokoju podczas kiedy razem szliśmy w nocy.

Mówiłem sobie, iż nie odetchnę swobodnie, aż zerwę z nim słosunek zawarty zupełnie pomimowoli.

Trzymał na ręce ubranie, które rzucił na krzesło.

— Wnosząc z tego, coś wczoraj opowiadał — rzekł — garderoba twoja nie musi być obfita; to też przynoszę niektóre rzeczy... Na nieszczęście dla ciebie, jesteś większy, niż ludzie w moim domu... Wreszcie weźmiesz, co ci się podoba... Oto jest brzytwa także, mydło i pudełko pudru. Za godzinę przyjdę po ciebie, skoro już skończysz się ubierać.

— Ba! — pomyślałem — z pomocą szczotki, moje ubranie będzie jeszcze bardzo przyzwoite.

Wstręt miałem do sukien pożyczanych. Wyjąłem tedy z pakietu pozostawionego koszulę i krawat czarny atlasowy. Kończyłem się ubierać i szedłem do okna, kiedy gospodarz mój powrócił. Obejrzał mnie z uwagą i wydał się zadowolony.

— Ujdzie, ujdzie! — rzekł z miną znawcy. — Za moich czasów nie ubierano się tak elegancko do podróży; ale dziś widocznie jest to w dobrym tonie. No, panie, bądź łaskaw i chodź ze mną.

Zadziwiła mnie trochę dbałość jego o moje ubranie; lecz to nic jeszcze było w porównaniu z tem, co mnie czekało.

Minąwszy korytarz, weszliśmy do wielkiej hali.

Czy ja śnilem?.. Pewny byłem, że widziałem już tę wielką salę sklepioną, z ciężką kolumną z czerwonego marmuru... Lecz, co za myśl!..

Naraz zadrzałem...

Tam, naprzeciw mnie, portret mojego ojca!..

Osiupiały, bez głosu, z młotami w skroniach, zwróciłem się do szpiega. Oczy jego siwe, przesywające jak ostrza stalowe, przenikały mnie do głębi.

— Wydajesz się zdziwiony, panie de Laval?

Była to ostatnia kropla, przepelniająca czarę.

— Na miłość Boską, panie! — wykrzyknąłem. — Gdzie ja jestem? I kto pan jesteś?

Zamiast odpowiedzi, wybuchnął cichym śmiechem, sobie właściwym; potem, otworzywszy drzwi, wprowadził mnie gwałtem prawie do sali jadalnej, w której na środku stół był nakryty.

Przy stole siedziała młoda dziewczyna na niskim krześle; trzymała w ręce książkę i czytała.

Włosy i brwi miała bardzo czarne, oczy oliwkowe, nos prosty, dobrze narysowany, usta purpurowe, pleć ciemną, jak gdyby pozłoconą.

Odrąz rzucała mi spojrzenie nieprzyjazne.

— Sybillo — rzekł stary, a słowa jego dech mi w piersiach zatamowały — oto jest twój kuzyn, Ludwik de Laval. Kochany siostrzeńce, moja córka, Sybilla Bernac.

— Jakto! — wyjąkałem — pan jesteś moim wujem?..

— Jestem bratem twojej matki, Karolem Bernac.

Stałem jak piorunem rażony:

— ...Pan jesteś moim wujem Bernac?!.. Dlaczego mi pan wpiers tego nie powiedział?

— Aby mieć swobodę studjowania ciebie. Rad byłem zobaczyć, co wychowanie angielskie zrobiło z mego siostrzeńca. Wreszcie, kochane dziecko, przyznaj, iż bardzo trudno byłoby

mi bronić ciebie dzisiejszej nocy, gdyby koledzy moi podejrzewali nasze pokrewieństwo. Wybacz niezwykle przyjęcie, lecz okoliczności tak nakazywały. Pewny jestem wreszcie, że Sybilla pomoże mi, abyś zapomniał...

Uśmiechnął się do córki, która nie przestawała patrzeć na mnie chłodno.

Przypatrywałem się tej sali jadalnej o ścianach misternie rzeźbionych, o trofeach z broni, herbach, głowach dzikich zwierząt przy lustrach między oknami, i powoli zaczęło mi się rozjaśniać w pamięci.

Tak, poznałem ją teraz, tę salę... Poznałem także kraj-obraz roztaczający się w półkole po za oknami: stare dęby o pniach miedzianych, park spuszcający się na dół w tarasach, grabinę, trawniki i, tam dalej, morze!..

A więc byłem w Grosbois!.. A ten człowiek obciśnięty w liche ubranie tabaczkowe, ten człowiek z chytrą twarzą, ten podły szpieg, był tym samym, który ojca mego zdradził, który go wywłaszczył!..

A jednak on mi życie ocalił!..

W głowie miałem straszny chaos.

Siedzieliśmy przy stole.

Mój wuj jedząc, tłumaczył mi jeszcze powody, dla których chciał zachować incognito.

— Zgadłem odrazu, że to ty — dodał — gdyż jesteś żywym portretem ojca. Wiesz, że pan de Laval miał opinię najpiękniejszego mężczyzny w całej okolicy. Ty prawie tak samo jesteś piękny.

Ukloniłem się z uśmiechem.

— ...W dodatku, niema tobie podobnych paniczów, którzyby spacerowali w nocy po wybrzeżu, a że ja oczekiwałem ciebie... — powtórzył spoglądając w moją stronę.

Ja się ani poruszyłem.

— ...To, co mnie bardzo zadziwiło — zaczął — to, że

nie mogłeś się zorientować w podziemiu. Czy nie wiedziałeś o jego istnieniu?

— Tak... to jest, nie, teraz przypominam sobie, że mówiono, kiedy byłem dzieckiem o tem przejściu w Grosbois; lecz utrzymywano, że się zawaliło i że nie można tamtędy przechodzić.

— Rzeczywiście. Jak tylko zostałem właścicielem zamku, pierwszym staraniem mojem było odnowienie tunelu. Przewidywałem możliwość zamieszek, podczas których podziemie będzie mi bardzo użyteczne. Gdyby było w dobrym stanie, ucieczka twoich rodziców łatwiejszą byłaby do skutecznienia.

Ostatnie słowa stawily mi przed oczy fatalny dzień, kiedy byliśmy ściągani jak dzikie zwierzęta przez tłumy rozwścieczone.

Do tego wspomnienia bolesnej przeszłości, dołączyła się myśl, że ten, który to mówił, był właśnie tym nędznikiem, który podburzył chłopów i na naszej ruinie wzniósł swoje bogactwo.

Serce wezbrało mi wstrętem.

W tej chwili podniosłem głowę i, ujrzałem utkwione w siebie przenikliwe spojrzenie starego.

Oczy nasze przez błyskawiczną chwilę spotkały się... i zrozumieliśmy się obydwaj.

— Przeszłość jest przeszłością! — westchnął po malej pauzie. — Sybilla i ty, Ludwiku, nie powinniście przejmować niesnasek rodziców.

Sybilla ust jeszcze nie otworzyła, nie zwróciła nawet na mnie najmniejszej uwagi.

Lecz kiedy ojciec wymówił nasze imiona, łącząc je jakby z myślą w jednym uczuciu pokoju i zgody, wyprostowała się rozgniewana, z zaczerwienionemi policzkami, a nozdrza jej drżały.

— Sybillo — ciągnął wuj spokojnie — zapewnij Ludwika, że w sercu twojem nie ma gniewu.

— Czy do ciebie należy tak przemawiać, ojeze? Czy

twoje herby wryte są na tych ścianach? Czy twoich przodków portrety zdobią galerje?.. Zapytaj spadkobiercę de Laval'ów, czy zadowolony, widząc nas posiadaczami jego dóbr i jego zamku?

Piękne oczy dziewczyny zwróciły się do mnie, żądając odpowiedzi, lecz stary się wmieszał:

— Sybillo, jesteś niegrzeczna — rzekł surowo. — Bardzo to szczęśliwie dla Ludwika, że jego dziedzictwo posiadamy, gdyż... lecz czy potrzeba mu to przypominać?

— Nie, to nie jest potrzebne! — odparła dziewczyna z żywością.

— Ubliżasz mi, kuzynko — odezwałem się pragnąc wywieść ją z obłędu. — Oczywiście, nie mogę zapomnieć, że ten zarzek był przez wieki własnością mojej rodziny, lecz nie sądzę, proszę, że najmniejszą urazę żywię do tych, którzy go zamieszkują obecnie. Powróciłem do Francji dla rozpoczęcia zawodu i nie rachuję na nic innego, przy wypełnianiu obowiązku, jak na Boga i moją szpadę.

— Brawo, Ludwiku, brawo! — zawołał wuj. — Nigdy może nie było czasu więcej sprzyjającego do wykazania talentu. Ważne wypadki gotują się w Europie. Jeżeli uda ci się dostać na dwór, będziesz u samego źródła wszelkich działań. Chcesz służyć cesarzowi, wszak prawda?..

— Chcę służyć mojemu krajowi.

— Służysz mu, służąc cesarzowi, ponieważ bez niego Francja wpada z powrotem w anarchję, w chaos.

— Zdaje się, że nie łatwa jest służba cesarska — zrobiła uwagę moja kuzynka. — Lepiejbyś zrobił zostając w Anglii, pani de Laval, tam przynajmniej byłeś bezpieczny.

Stanowczo ona była mi nieżyczliwą. Dlaczego?..

Przecież jej nie obraziłem! Czy to była antypatja?..

Przekonałem się, że jej nieżyczliwe wystąpienia przykre były ojcu, tak samo jak mnie.



— Twój kuzyn jest odważny, Sybillo; nie możnaby tego powiedzieć o pewnym znanym mi osobniku.

— O kim?

— Dajmy temu pokój! — przerwał stary, jak gdyby bał się, żeby za wiele nie powiedział.

Wstał od stołu i wyszedł.

Młoda dziewczyna podniosła się, zrobiła ruch, jakby chciała biedz za nim, potem wstrzymała się, wzruszyła ramionami i śmiać się zaczęła.

Staliśmy naprzeciwko siebie zaambarasowani.

— Nigdy pan nie widziałeś twojego wuja? — zapytała po krótkim milczeniu.

— Nigdy.

— Jaką opinię powziąłeś pan o nim?

Podobne pytanie ze strony córki o ojca wprawilo mnie w zdumienie. Cóż to był za człowiek, ażeby dziecko jego rodzone odzywało się o nim w ten sposób?

— Nie odpowiadasz pan — rzekła — to wystarcza! Nie wiem jak i gdzie spotkaliście się; nie wiem również, co zaszło pomiędzy wami tej nocy, gdyż nie zwieramy się sobie z ojcem; lecz na pewno poznałeś jego charakter.

Milczałem; nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Ach! muszę się o coś pana spytać — zaczęła. — Ojciec mój pisał, zachęcając pana do powrotu do Francji, wszak prawda?

— Tak.

— Czy nie pan niezauważyłeś po nad jedną pieczęcią na kopercie?

— Jakto! — zawolałem i nagle mi się w głowie rozjaśniło — te dwa słowa angielskie, to pani napisała?

— Ja. W ten sposób tylko mogłam przeszkodzić, abyś nie przyjął zaproszenia mojego wuja.

— Ale dlaczego chciałaś pani przeszkodzić w przyjęciu

tego zaproszenia? Obawiałaś się pani mojej obecności?.. Czy naprawdę boisz się, abym nie chciał wam szkodzić, kuzynko?

Sybilla wahała się chwilę, potem ku mojemu zdziwieniu odpowiedziała:

- Obawiam się, żeby nie chciano panu szkodzić.
- W jaki sposób? Czyżby mi niebezpieczeństwo groziło?
- Tak.
- Więc radzisz mi wyjechać z powrotem?..
- Jak można najprędzej.
- Lecz wreszcie, kto by mi chciał szkodzić?..

Przygryzła usta, wahała się jeszcze i nagle, nie mogąc się powstrzymać, rzekła:

- Ojciec mój!
- W jakim celu miałby mi szkodzić?
- Do pana należy odgadnąć...

Zaprotestowałem.

— Pani, niesłusznie go obwiniasz, zaręczam; tej nocy życie mi ocalił.

- Ach! Co się panu przytrafiło? Czy byłeś napadnięty?
- Tak, przez spiskowców, których tajemnice przejąłem...
- Spiskowców! — zawołała.

— ...Byliby mnie zabili z pewnością, gdyby nie wdanie się ojca pani.

— Musi leżeć w jego interesie, żeby panu pozwolić żyć jeszcze.

I przeskakując naraz z jednej myśli na drugą:

— Mój kuzynie — rzekła — byłam z tobą szczerą, a teraz ty bądź ze mną szczerym. Czy kochasz kogo?

Zaiste, moja kuzynku Sybilla była dziwną istotą!

Tak nagła zmiana w rozmowie, to pytanie *ex abrupto*... Czyż to nie dziwne?

Ciekawość w końcu skłoniła mnie do odpowiedzi.

— Tak, kuzynko, kocham śliczną młodą panienkę, pannę Eugenię de Choiseul, siostrzenicę nieboszczyka księcia.

Twarz Sybilli zajaśniała radością.

— Bardzo ją kochasz?

— Z całej duszy!..

— Niechy nie mogło cię zmusić, abys się jej wyrzekł?

— Nie!..

— Nawet perspektywa odzyskania twoich dóbr i zamku Grosbois?

— Nawet to!..

Młoda dziewczyna pochwyciła moją rękę i uściśniła z kwintnym wdziękiem.

— Mój kuzynku, przebacz, że cię tak nieprzyjaźnie przyjąłem... Teraz nie jesteśmy już nieprzyjaciółmi, lecz kolegami, współnikami nawet...

Ściskaliśmy się jeszcze za ręce, kiedy wuj powrócił.

## VIII.

### Kuzyna Sybilla.

Zdziwienie połączone z zadowoleniem wybiło się na twarzy mojego wuja. Z niedawnego gniewu pozostało mu tylko spojrzenie zmaczone i nieustający „tyk” w szczękach.

To też odezwał się bardzo łagodnie.

— Sybillo, mam kilka ważnych interesów do załatwienia, zajmie mi to parę gopzin. Twój kuzyn musi pragnąć zobaczyć park, w którym bawił się będąc dzieckiem, bądź tak dobra, oprowadź go wszędzie.

Sybilla nie miała nic przeciw temu. Mała zaś zachwycała sposobność porozmawiania z nią swobodnie.

Zaciekawiły mnie nadzwyczajne rzeczy, których się od niej dowiedziałem. Dlaczego radziła, abym nie dowierzał jej ojcu?..

Dlaczego interesowała się moimi uczuciami?.. Potrzebowałem wiedzieć koniecznie.

Łagodny wiatr niósł woń morską. Po strasznej nawalnicy nocnej, miłe ciepłe powietrze działało jak balsam.

Minawszy długie aleje wysypane żwirem rzeczonym i osadzone cisami, strzyżonemi piramidalnie, wyszliśmy przed front zamku.

Nie mogłem oderwać oczu od szerokich lukowych okien i szarych wyniosłych wieżyczek, zakończonych dachówką.

Prawe skrzydło było z tej samej epoki jak front, zachowało jeszcze zębate mury i strzelnice; lewe zaś, przebudowane, wznosiło się białe, z elegancką werendą i masą roślin pnących.

Ze sposobu, w jaki Sybilla wskazywała mi każdy nowy szczegół, domyślałem się, że to mieszkanie było jej drogim.

Tłómaczyła się z dziwnego swojego położenia:

— Wstydzę się, mój kuzynie, robiąc ci honory domu, który podług mnie nie przestał nigdy być twoim... Nie na ciebie wcale zła bylam zrazu, lecz na nas, którzy jak pasorzyty rozgościliśmy się w gnieździe przez innych zbudowaniem... Ah! nie śmiem oczu podnieść ze wstydu na myśl, że ojciec zaprasza cię do twojego własnego domu!...

— Być może — odparłem — iż za długo w nim pozostawaliśmy, w tem gnieździe, być może, wypędzając nas z niego, Bóg chciał odrodzić nasz ród zniewieściały przez wieki całe dostatku i spokoju i zmusić do odbudowania własnymi rękami zburzonego szczęścia.

— Masz zamiar udać się wprost do cesarza, kuzynie?

— Tak.

— Wiesz, że jest stąd bardzo blisko w Boulogne?

— Wiem o tem.

— Lecz twoja rodzina jest wygnana z kraju, czy się nie obawiasz?

— Nigdy nie byłem wrogiem dla cesarza; niema mi nic do zarzucenia. Pójdę do niego śmiało i zażądam, żeby mnie wcielił do jednego ze swoich pułków kawalerji.

— Dużo ludzi uważa Napoleona za uzurpatora — rzekła Sybilla — dużo ludzi zawzięło się na jego zgubę, co do mnie, podziwiam go; wszystkie jego czyny są wielkie i szlachetne. Wyobraż sobie, kuzynku, ja sądziłam, że jesteś zupełnym Anglikiem, sercem i rozumem; dziś rano jeszcze mówiłam sobie, jeżeli przebyłeś kanał la Manche, to tylko jako agent Pitta.

— Nie, nie, jestem Francuzem, szczerym Francuzem; serdeczna gościnność Anglików nie mogła mi dać zapomnieć ojczyzny.

— Jednak ojciec twój gromił nas pod Quiberon.

— Ba! na co się zdało przejmować urazy rodziców!... Co do tego, jestem zdania mojego wuja...

— Nie sądź mojego ojca według słów jego, lecz z jego czynów — przerwała żywo młoda dziewczyna, z ostrzegającym ruchem ręki.

Potem ciszej dodała:

— Kuzynku Ludwiku, niech ojciec mój nigdy się nie dowie, że uprzedziłam cię, abyś się miał na baczności; miałbyś może śmierć moją na sumieniu!

— Twoją śmierć?! — szepnąłem.

— Tak, moją śmierć! — podkreśliła. — Oh! nicby go nie powstrzymało!... Zabił już moją matkę...

Aż odskoczyłem.

— Nie chcę powiedzieć, że ją zamordował — zaczęła — lecz zadawał jej tortury moralne, karmił zniewagami, niegodnie się z nią obchodził. Biedna kobieta!... Rozumiesz teraz moje z nim postępowanie.

Tak, rozumiałem straszną boleść, ciężącą od lat wielu w sercu młodej dziewczyny, rozumiałem urazy, które nazbierały się w niej i które w tej chwili krwią zabarwiały jej policzki i zapaliły ogień w przepięknych oczach.

Lecz jednocześnie nabierałem pewności, że pod delikatną powłoką posiada wolę niezłomną.

— Czy nie dziwi cię szczerłość moja, Ludwiku? Przed paru godzinami byliśmy jeszcze obcymi dla siebie.

— Z kimżebyś mówiła szczerze, kuzynko, jak nie z twoim najbliższym krewnym.

— Prawda. Jednak nie spodziewałam się takiego dobrego stosunku z tobą. Na myśl, że cię zobaczę, byłam zła i niespokojna... Wreszcie musiałeś to spostrzedz, kiedy mi byłeś przedstawiony.

— Rzeczywiście.

— Co też wносиłeś z mego niezyczliwego przyjęcia?

— Że obecność moja w Grosbois jest dla ciebie niemiłą.

— Nie, zaprawdę, obecność twoja nie jest mi niemiłą, lecz, niestety, może być dla nas obojga złowrogą. Dla ciebie ponieważ ja utrzymuję, że ojciec ma swoje powody — i powody niedobre — ażeby ściągnąć cię do Francji; dla mnie...

Zamilkła zakłopotana.

— Dlaczego i dla ciebie? — nastawałem.

— Powiedziałeś mi, wszak prawda, że jesteś zaręczony?.. Otóż ja także oddałam już serce.

— Ach! Sybillo! obyś mogła być szczęśliwą! — zawolałem. — Lecz to nie dotyczy mojej obecności w Grosbois.

— Mgły Anglii zaciemniły ci pojęcie, mój kuzynku — rzekła Sybilla, wybuchając śmiechem. — Słuchaj, w takim stosunku jak teraz jesteśmy, nie potrzebuję ukrywać przed tobą projektu, który z pewnością będzie tobie tak samo jak mnie wstrętny. Dowiedz się zatem, że ojciec postanowił połączyć nas, ażeby zapewnić sobie na zawsze posiadanie majątku Grosbois... Gdybyśmy się pobrali, niech kto chce panuje we Francji, Bourbon czy Bonaparte, prawa jego wtedy są nienaruszone.

Przypomniałem sobie naraz dbałość wuja o moje ubranie, jego niezadowolenie, kiedy Sybilla tak chłodno mnie przyjęła i radość, kiedy zastał nas z rękami w przyjaznym uścisku.

— Kuzynko, masz rację! — zawolałem.

— Czy ja mam rację!.. Spójrzij na niego, wypatruje nas przez okno swego gabinetu...

Chodziliśmy dokola trawnika. Podniosłem oczy i ujrzałem martwą i żółtą twarz wuju Bernac.

Widząc się odkrytym, skinął nam ręką i uśmiechnął się.

— Oto dlaczego ocałił ci życie — ciągnęła Sybilla. — Uważając cię za przysłego małżonka córki, przyznaj, że nie mógł postąpić inaczej. Tylko, skoro będzie musiał wyrzec się swoich haniebnych wyrachowań, bądź pewny kochany Ludwiku, że dla unicestwienia dochodzeń praw własności ostatniego potomka de Laval'ów, nie zawaha się unicestwić tegoż potomka.

Zwierzenia mojej kuzynki, sardoniczny wyraz tej twarzy, która nas z okna szpiegowala, objawiły mi naraz wielkość niebezpieczeństwa, na jakie byłem narażony.

Nikt we Francji mną się nie interesował; nikt nie podjąłby najmniejszych poszukiwań, jeżelibym znikł.. Byłem zatem zupełnie w mocy nędznika, o którym wiedziałem, co potrafi.

Wiedziałem z doświadczenia, do jakiej ostateczności dochodziły nienawiść jego i hypokryzja i jak trudno było ustrzedz się zasadzek stawianych zręcznie i z niewypowiedzianą przewrotnością.

— Ależ, Sybillo, ojciec wie o zobowiązaniu twojem?!

— Tak, i to co mnie najwięcej niepokoi. Biada tym, którzy stają w poprzek jego zamiarom! Drżę o siebie i siebie, mój kuzynie, lecz drżę przedewszystkiem o Lucjana!..

Lucjan!..

Imię to błysnęło w mojej pamięci, jak światło w ciemnej nocy.

Jakto? Sybilla, kobieta dumna, dzielna, kochała tego słamazarnego tchórza, który tej nocy, w owej ruderze włóczył się z płaczem u nóg wuja Bernac!..] Dziwna aberacja sercal.

Teraz przypomniałem sobie dokładnie... Imię Sybilla zwróciło już moją uwagę. Tak, na pierwszej stronie „Ustawy społecznej” Jana Jakóba Rousseau:

„Łucjanowi od Sybilli“.

— Łucjan, to głowa zapalona — zaczęła młoda dziewczyna — łatwo się unosi... W dodatku ma bardzo stałe przekonania polityczne... Od niejakiego czasu często widywali się z moim ojcem; ostatnio jeszcze siedzieli z sobą zamknięci przez kilka godzin. Pytałam Łucjana, o czem mówili, lecz nie chciał nigdy odpowiedzieć. Żeby tylko nie dał się wciągnąć w jakie szaleństwo?..

Byłem nad wyraz zakłopotany. Co robić? Milczeć? Zawiadomić Sybillę o smutnem położeniu narzeczonego?..

Kiedy się wałęsałem, Sybilla, z intuicją kobiety kochającej, zawołała naraz:

— Ludwiku, ty coś wiesz? Mów, błagam... Łucjan miał udać się do Paryża.

— Nazywa się Lesage? — zapytałem.

— Tak, Łucjan Lesage.

— To ja go widziałem...

— Widziałeś, a dopiero od wczorajszego wieczora jesteś we Francji. Gdzie go widziałeś? Co się z nim stało?..

Uchwyciła mnie za rękę i z całej siły cisnęła.

Przerażony, nie mogąc się zdecydować, co robić, patrzyłem dokoła, lecz naraz odzyskałem nieco krwi zimnej: wuj Bernac ku nam się zbliżał. Obok niego szedł młody huzar, ten sam, który miał poleczone odprowadzić więźnia do obozu cesarskiego.

Sybilla błada, podbiegła i głosem zmienionym:

— Ojcie, co się stało z Łucjanem? — krzyknęła.

Obojętna twarz starego zadrżała lekko.

— Później o tem pomówimy — odpowiedział.

— Nie, tu, zaraz, ojcie! Co się stało z Łucjanem?!

— Panowie — rzekł stary, zwracając się do mnie i do



oficera huzarów — przykro mi niezmiernie za tę scenę rodzinną... Pomimo to, poruczniku, przekonasz się, iż nie kłamałem, zaręczając, że więzień twój jest najdroższym przyjacielem mojej córki. Ten wzgląd nie przeszkodził mi w spełnieniu powianości, lecz uczynił ją bardzo ciężką...

— Pani — rzekł porucznik, składając ukłon Sybilli — bądź przekonana o mojem współczuciu.

Biedna dziewczyna zbliżyła się do oficera.

— Może od pana dowiem się prawdy? — zawolala. —

Czy rzeczywiście Łucjan Lesage uwięziony?

— Tak, niestety!

— Gdzie on jest?

— W obozie.

— Za co został uwięziony?

— Nie wiem. Nie mieszam się do polityki, mojem zadaniem jest wsiąść na konia, robić szablą i słuchać. Ci panowie są świadkami, że odebrałem rozkazy pułkownika Lassalle...

— Dość tego, Sybillo — przerwał ostro wuj Bernac. — A ponieważ chcesz koniecznie, więc powiem ci, że pan Lesage obwiniony jest o spiskowanie przeciw cesarzowi i że to ja go denuncjowałem.

— Ty, ty! — krzyknęła młoda dziewczyna. Ty, któryś go natchnął przekonaniem rewolucjonistycznymi, któryś go popchnął na drogę spisków i zdrady!.. Oh! nikczemny, nikczemny!..

Bernac wrzucił ramionami z miną znużoną...

— Na nic się nie zdało spierać z kobietą rozgniewaną — mruknął.

Porucznik i ja usunęliśmy się, aby nie być obecnymi rozmowie ojca z córką. Lecz młoda dziewczyna podbiegła do nas, zmuszając w ten sposób do słuchania wyrzutów i obelg, jakich nie szczędziła staremu.

Zmieniła się zupełnie, piękna zawsze, lecz pięknoscią dziką, z nozdrzami drżącymi, z oczyma rozszerzonymi.

Znać było w niej rozpacz głęboka, rozdzierająca, ale także takie szczere oburzenie, taką prawosć, że ojciec jej cofnął się zmieszany, zwyciężony prawie.

— Mogłeś oszukiwać innych, ojcze, lecz mnie nigdy nie oszukałeś!.. Znam cię; jak się zna swoje własne sumienie. Byłeś republikaninem podczas rewolucji, żeby zagarnąć ten zamek, te ziemie, które ukradłeś!.. Dziś głosisz się stronnikiem Bonapartego, aby wydać mu dawnych twoich współników... aby przedewszystkiem pozbyć się Łucjana!.. Lecz ja potrafiłam przeniknąć twoje zamiary; nie spodziewaj się, żebyśmy, mój kuzyn de Laval i ja, poddali się twym zamiarom!.. Zabij mnie, jak zabiłeś moją matkę, mało mnie to obchodzi! Przyśięgam, prędzej legnę w trumnie, niż będę należeć do kogo innego, niż do Łucjana.

— Gdybyś go widziała tej nocy, jakim pokazał się tchórzem i słabym, nie mówiłabyś w ten sposób — odparł chłodno wuj Bernac.

I nie zajmując się już córką:

— Co masz do zakomunikowania, poruczniku Gérard? — zapytał.

— Nie do pana polecenie, lecz do pana de Laval — rzekł huzar, obracając się do niego plecami i mówiąc wprost do mnie: — Panie, cesarz rozkazał, żebym pana natychmiast dostawił do obozu w Boulogne.

Serce zabiło mi z radości na myśl, że wyrwę się ze szponów wuja Bernac.

— Gotów jestem iść z panem! — zawolałem.

— Dobrze... Koń i eskorta, czekają przy bramie.

— Nie pilnego — zauważył wuj Bernac — zostaniesz pan z nami na śniadaniu, porucznika Gérard?

— Niepodobna, panie, rozkazy cesarza nie cierpią zwłoki,

i tak za dużo czasu straciliśmy. Za pięć minut musimy być w drodze.

Wuj wziął mnie za rękę i pociągnął delikatnie w aleję, którą Sybilla odeszła.

— Muszę z tobą pomówić przed odjazdem — mruknął. — Wybacz, iż odrazu przystępuję do rzeczy, lecz nie mamy czasu... Widziałeś swoją kuzynkę Sybillę?.. Chociaż jej humor dzisiejszy nie może uprzedzić na jej korzyść, zaręczam ci, że jest to dziewczyna bardzo miła i dobra... Wspomniała przed chwilą o projekcie połączenia, jaki powziąłem... Przyznaję, iż nie byłoby dla mnie nic przyjemniejszego nad małżeństwo, zbliżające dwie gałęzie naszej rodziny i kładące kres wszelkim nieporozumieniom.

— Na nieszczęście — odpowiedziałem — są ku temu przeszkody.

— Jakie?

— Zobowiązanie mojej kuzynki z panem Lesage...

— Łatwe do zerwania — zaśmiał się wuj.

— ... i moje z panną de Choiseul.

Rzucił mi okrutne, dzikie spojrzenie i głosem urywanym:

— Ludwiku — rzekł — dobrze się zastanów. Nie można bezkarnie krzyżować moich zamiarów!..

— Już się zastanowiłem, wuju.

— Patrz na ten park — rzekł — na te lasy, pola, na zamek, w którym żyli twoi przodkowie — powiedz słowo, a wszystko to twoje...

Wspomniałem mały domek z cegły w Ashford, błądą i słodką twarzyczkę Eugenji, pochyloną w oknie w obramowaniu pęków róż laurowych.

— Nie, nie mogę!.. — zawolałem stanowczo.

Błysk wściekłości zapalał w stalowych oczach starego.

— Gdybym to był przewidział — mruknął pomiędzy zębami — byłbym cię pozostawił w rękach Toussac'a.

— Tego jestem pewny, wuju. Wszystko jedno, miło mi

to słyseć!.. Twoje wyznanie zwalnia mnie z długu wdzięczności; odtąd nie już między nami niema wspólnego.

— Sądzę, że przeciwnie, panie de Leval, że nieraz jeszcze będziemy mieli z sobą do czynienia. Idź swoją drogą, ja pójdę moją; zobaczymy, kto pierwszy dojdzie do celu.

Przechodząc koło bramy, ujrzałem eskortę huzarów, konie rżące z niecierpliwości; serce moje weszło odwagą. „Na koniec nie byłem już na lasce wuja“.

Spakowałem szybko manatki, lecz kiedy wybiegłem do przedsionka, dreszcz mnie przeszedł i stanąłem jak wryty.

— Sybilla!.. — szepnąłem do siebie. — Czy mogę zostawić ją samą z ojcem? Czyż nie powiedziała, że życie jej zagrożone?..

Naraz usłyszałem lekkie kroki i Sybilla stanęła przedemną.

— Do widzenia, Ludwiku — rzekła, ściskając mi ręce z uczuciem.

— Sybillo, myślałem o tobie. — Miałem bardzo żywą rozmowę z twoim ojcem.

— Wielki Boże! — zawołała przerażona. — Ludwiku, wyjeżdżaj jak najprędzej.. Wracaj do Anglii, ukryj się gdziekolwiek.. lecz uciekaj, gdyż ojciec mój zemści się..

— Niech się co chce stanie, Sybillo, lecz ja cię zabieram.

— Nie, na teraz nie mi nie grozi, bądź spokojny. Ojciec będzie tylko mnie unikał przez kilka dni. Lecz wołają cię, Ludwiku, jedź.. Do widzenia i niech Bóg się tobą opiekujel..

---

## IX.

### Obóz w Boulogne.

Oparty o słup bramy, wuj mój z twarzą żółtą i suchą, z oczyma świdrującymi, zgarbiony, na bajecznie cienkich nogach, zdawał się uosabiać fałsz i nikczemność.

Nieruchomy i milczący, jak tej nocy w ruderze, w chwili,

kiedy rozległo się szczekanie psa, zdradzał tylko stan swój wewnętrzny ciągłym ruchem szczęk.

Ten „tyk” był stanowczo jedynym zwykłym sposobem okazywania wszelkich wzruszeń...

Ukloniliśmy się sobie chłodno i w chęci jak najszybszego oddalenia, wskoczyłem na dużego, siwo-jabłkowitzego konia, którego trzymał za uzdę jeden z huzarów eskorty.

Porucznik zakomenderował, szable zabrzączały i puściliśmy się w drogę.

Obróciwszy się, aby raz jeszcze spojrzeć na sylwetkę Grosbois, na smukłe jego wieżyce, ujrzałem w jednej ze strzelnic powiewającą białą chusteczkę, poruszaną ręką na znak pożegnania.

Następnie, kiedy znów spuściłem oczy, zobaczyłem wuja Bernac, ciągle na tem samym miejscu, ze złośliwym uśmiechem na wąskich wargach.

— Biedna Sybillo! — pomyślałem ze smutkiem — taka szlachetna, prawa, odważna i masz takiego ojca!.

Opadły mnie wyrzuty sumienia.

— Prawda, powinienem był zabrać ją z sobą... Po tej gwałtownej scenie, Bóg wie do czego będzie zdolny jej ojciec!

Lecz smutek rozwiał się jak lekka mgła, osiadła na kryształach.

W jasnych oparach ciepłego poranku, galopowałem w upojeniu.

Koń mój — doskonały — szedł wesolo, a ja, czulem w sobie gwałtowne pragnienie widzenia, poznania czynu, użytkowania sił, ruchu...

Jechaliśmy drogą dokoła płaszczyny piaszczystej; na lewo ciągnęły się trzęsawiska, widownia moich wypadków i morze z groźnie rozbijającymi się falami.

Na skraju trzęsawiska widniała rudera, w której przeżyłem parę godzin piekielnych.

Pomiędzy wzgórzami nad wybrzeżem przeglądały dachy czerwone Etapies, Ambletouse i kilka innych wiosek rybackich.

Wprost przed nami ciągnął się ten przyładek bardzo długi, bardzo wąsli, na który patrzyłem jak się ognie na nim zapalały na chwilę przed mojem wylądowaniem.

Wreszcie, hen, w dali, na krańcach horyzontu, nagromadzenie mgieł i chmur, a w niem coś niewyraźnie mającego; to była Anglja; Anglja, gdzie upłynął mój wiek dziecinny i która po Francji drugie miejsce w mojem sercu zajmowała.

Obecnie całą moją uwagę zwróciłem na huzarów.

Ach! wpadałem w uniesienie na myśl, że to byli ci sami ludzie, którzy zdobyli na polu bitwy sławę odwagi europejskiej i że w tym małym oddziale drgała dusza całej wielkiej armji.

Jednak nie mieli nic wspaniałego ani w wyglądzie, ani w mundurach. Lecz na swoich ogromnych koniach, w butach zabloconych, dolmanach wytartych, w pasach bawolich i z cuglami zmiętymi przez długie używanie, mieli takie marsowe miny!

Wszyscy byli szczupli, twarze słońcem i wichrem spalone, gęste faworyty, wielkie wąsy; niektórzy mieli kołczyki w uchu.

Zatrzymałem wzrok na jednym bardzo młodym chłopcu, prawie dziecku, który miał faworyty tak samo gęste jak najstarszy z żołnierzy.

Po chwilowem jednak przypatrzeniu się, zauważyłem, że te niby faworyty były kawałkami czarnego wosku, przyklejonymi po bokach obu policzków.

— Ależ tak, fałszywe! — rzekł porucznik, świadek mojego zdziwienia. — Pojmuje pan, że chłopak w tym wieku — ma on zaledwie lat ośmnaście — nie może mieć podobnego zarostu!. Musimy uciekać się do takiego fałszu, aby nie psuć

ogólnej harmonji. Dziewczęce twarze, źleby wyglądały w szeregach.

— To najgorsze, poruczniku — rzekł huzar, mieszając się bez ceremonji do rozmowy — że topnieją jak gorąco.

— No, no, mój chłopcze, za dwa lub trzy lata pozbędziesz się tego kłopotu.

— Kto wie, może pozbędzie się głowy! — odezwał się brygadjer.

Cały orszak zaczął się śmiać na całe gardło.

Tego tylko trzeba było w Anglii, żeby ci wszyscy ludzie stanęli przed sądem wojennem za brak subordynacji.

Taka poufalość żołnierzy z oficerami wydała mi się ostatnim śladem Rewolucji, która porównała wszystkie stany.

Napoleon sam wreszcie utrzymywał tę poufalość przez sposób, w jaki wdawał się w rozmowę ze swoimi żołnierzami i przez pozwalanie na swobodę w obejściu z sobą.

Nie rzadko tedy można było widzieć kwatermistrza lub prostego sierżanta, drwiących ze swego kapitana; lecz, niestety, nie rzadko się także trafiło, że niepopularnych dowódców podwładni mordowali.

Wiadomo, że w bitwie pod Montebello, wszyscy oficerowie 24-ej pół-brygady, z wyjątkiem jednego porucznika, zginęli od postrzałów z tyłu.

To były reszki anarchji burzacej, Francję, znikły one zupełnie, cesarz zaprowadził system surowego nadzoru.

W każdym razie historia naszej armji w owej epoce dowodzi, że miłość ojezyny wystarczała do zrobienia jej najwaleczniejszą; że nie trzeba było jak w Prusach używać kary cielesnej, aby utrzymać ją w karności i że heroizm żołnierzy nie wypływał ani z nadziei nagrody, ani z obawy kary.

Kiedy generał pozwolił swojej dywizji rozpiierzchnąć się po okolicy, wybranej jako punkt operacyjny, robił to z przekonaniem, że w dniu bitwy będzie ona na stanowisku jak jeden człowiek.

Jedna rzecz jeszcze zaciekawiała mnie ogromnie; huza-ry ci mówili po francusku obrzydliwie. Nie mogłem się powstrzymać od podzielenia wrażeniem z porucznikiem jadącym obok.

— Czy ci ludzie rekrutowani są w Niemczech? — zapytałem. — To chyba nie Francuzi?

— Sacrebleu! mój panie, dobrze że cicho mówisz, gdyby cię usłyszeli, odpowiedzieliby wyplazowaniem szpada. Dowiedz się, że jesteśmy najpiękniejszym pułkiem kawalerji we Francji, 1-ym pułkiem huzarów Beriszońskich. Choć większość naszych ludzi rekrutowana w Alzacji i niektórzy nawet mówią tylko po niemiecku, ręczę panu, że nie są gorszymi patriotami jak Kleber lub Kellermann! Pierwszy pułk huzarów Beriszońskich, mój panie — mówił, podkrecając węża — ależ to pułk wyborowy!

Bawił mnie niezmiernie ten porucznik swoją fanfaronada.

Spojrzeć było tylko, w jaki sposób potrzasał pióropuszcem kasku, jak zarzucił dolman na ramię i brzątał pochwą. Słabli o ostrogę, a można było domyśleć się dziecinnej jego radości, że jest żołnierzem i należy do pułku kawalerji.

Przypatrzywszy się dobrze, przekonałem się, jest to prawdziwie ładny chłopiec.

Wysoki, dobrej postawy, z niebieskiemi oczyma bardzo jasnymi i ze szczerym uśmiechem, oznaczającym dobrą naturę. Musiał być doskonałym kolegą, a przede wszystkim wesołym towarzyszem.

Bezwątpienia oddawał się i on takim samym obserwacjom mojej osoby, gdyż naraz, kładąc rękę na mojem kolanie:

— Spodziewam się, że przynajmniej cesarz nie zrobi panu krzywdy? — rzekł głosem pełnym współczucia.

— Nie sędzę — odparłem — przybyłem z Anglii umyślnie, aby wejść w jego służbę.

— Tej nocy, kiedy generał Savary przedstawił mu ra-



Brak strongy

Brak strony

— Tak, lecz co może nastąpić — rzekł jakby do siebie — wsadzą je na okręt... wyprawią do Ameryki... i bądź zdrów!...

Stanowczo wyobrażał sobie, że Anglja jest mikroskopijna.

— ...Gdyby one nas zobaczyły, nie chciałyby odpłynąć!... Wie pan, co mówią o huzarach Berniszkańskich!

— Nie wiem.

— Że mogą sami dać radę ludności.

— Ah! jakimże to sposobem.

— Mężczyźni uciekną za naszym zbliżeniem, a kobiety rzucą się na nasze spotkanie. Mówilem już panu, oficerowie mojego pułku, to sam kwiat armji francuskiej.

Rozmawiając z nim, zrobiłem w duszy uwagę, iż nie może być o wiele starszy odemnie i zapytałem bardzo naturalnie, czy był się już kiedy.

Wąsy mu się najeżyły z oburzenia.

— Panie — rzekł, mierząc mnie wzrokiem — byłem w dziesięciu bitwach i więcej niż czterdziestu potyczkach; miałem także dużo pojedynków i gotów jestem zmierzyć się z każdym, cywilnym czy wojskowym, który ośmieliłby się mi niedowierzać.

— Szczęśliwys pan, naprawdę — odparłem — taki młody i tyle już zdziałał.

Słowa te i sposób, w jaki je wypowiedziałem, uspokoiły jego zły humor.

Opowiedział mi, że służył pod Moreau, w Niemczech, że przeżył Alpy z Napoleonem i brał udział w bitwie pod Marengo.

— Jak pobędziesz pan jakiś czas w armji, nazwisko Stefana Gérard nie będzie ci obcem. Jestem bohaterem kilku wydarzeń, o którym żołnierze lubią opowiadać wieczorem na biwaku. Opowiedzą panu o mojej walce z sześcioma fechtmistrzami i jak szarżowałem na austriackich huzarów w Gratz,

porwałem i uwiozłem ich tambormażora z tyłu za sobą na koniu. Wcale nie wypadkiem znajdowałem się wczoraj z pułkownikiem Lassalle. Spodziewano się gorącej rozprawy, dlatego generał Savary mnie przeznaczył. Na nieszczęście, nie udało się i miałem tylko do zaprowadzenia naczelnikowi policji, coś naksztalt z mokrej kury, tchórza, który nie przestaje beczeć jak cielę, od chwili, gdy go aresztowano.

— A ten drugi? Toussac?..

— Ah! tamten, to zuch! Sapristi, chciałbym bardzo spotkać się z nim z szablą w ręce! Umknął nam, ptaszek... Spozstrzegliśmy go na mgnienie oka, nasi ludzie dali ognia, lecz bez skutku... Za dobrze zna drogi przez trzęsawiską.

— Co się stanie z pańskim więźniem? — zapytałem.

— Przykro mi, że pańska kuzynka zakochała się w takim tchórze, kiedy jest tylu dzielnych oficerów. Wreszcie... wszystko, co mogę panu powiedzieć, to, że cesarz zmęczony jest spiskami i spiskowcami i że postanowiono uczynić przykład z tego Lucjana Lesage.

Postępując ciągle obok siebie wjechaliśmy na wzgórze, skąd ukazał się nam cały obóz.

Wyglądał jak miasto, lecz miasto, w którym domy zastąpiono namiotami, a miejsca spacerowe, parkami artyleryjskimi.

Widać było nieskończenie długie szeregi koni i roje żołnierzy.

W pośrodku obozu, na obszernym placu pustym, oparty o kilka baraków, wnosił się wielki namiot, zakończony flagą trójkolorową, kołyszącą się od wiatru.

— Kwatera cesarza — rzekł Gérard wskazując ręką.

Następnie pokazywał dalej:

— Kwatera generała Ney, dowódcy korpusu. Inne korpusy rozłożone na wybrzeżu morskim, począwszy od Dunkierki. Cesarz objeżdża wszystkie kolejno i ilustruje. Lecz tu jest kwatera sztabu generalnego; tu zgromadzone najlepsze

wojsko. To też cieszymy się stałą jeszcze obecnością cesarza, od czasu przedewszystkiem jak cesarzowa i dwór zamieszkują w Pont de Briques... On jest tam w tej chwili! — rzekł półgłosem i z grzbietem pochylonym, jak gdyby ujrzał bóstwo.

Droga, prowadząca do obozu, przecinała na dwoje szeroką płaszczyznę, na której wykonywały różne obroty oddziały piechoty i konnicy.

Tyle pochwał słyszałem w Anglii dla żołnierzy Napoleona, iż wyobraziłem sobie ludzi postawy kolosalnej, wojowników na wzór starożytnych silaczy.

Doznałem też kompletnego zawodu, zobaczywszy drobnych ludzi.

Żołnierze piechoty głównie, w swoich niebieskich kurtkach, w spodniach i kamaszach białych, w kaskach miedzianych z czerwonym pióropuszem, byli prawie śmiesznie małego wzrostu.

Lecz za to byli silni, muskularni, pełni zaparcia się sobie i poświęcenia; po półtorarocznej służbie, byli kompletnie gotowi, wymusztrowani, przywykli do wszystkich trudów służby.

Co do generalów, ci nie mieli sobie równych.

Ah! to nie był nieprzyjaciel do pogardzenia, ten, który oczy zwracał na skaliste wybrzeża morskie!...

Gdyby Pitt nie miał był do dyspozycji najpierwszej marynarki na świecie, powierzchnia Europy zmieniałaby wygląd.

Gérard spostrzegł, iż zajęły mnie manewry i był na tyle grzeczny, że dostarczył mi niektórych szczegółów.

— Widzi pan tych, na czarnych koniach?... To są kirasjerzy. Tak są ciężkimi, że mogą tylko truchtem jechać, a kiedy szarżują na nieprzyjaciela, podtrzymywani są zawsze przez pułk strzelców lub huzarów, którzy muszą dalej ścigać wroga.

— A kto jest ten cywilny, który nimi dowodzi?

— To nie żaden cywilny, to jest general Saint-Cyr,

jeden z tych, których przezwano Spartaninami Renu. Ci ludzie utrzymują, że dobry żołnierz nie powinien wprowadzać żadnego zbytku ani do swojego pożywienia, ani do ubrania. To też nosi on tylko, oprócz munduru, prosty uniform do konnej jazdy. Saint-Cyr jest znakomitym oficerem, a jednak nie jest lubianym. Z nikim nie rozmawia, po skończonej służbie odchodzi do swojego namiotu i gra na skrzypcach. Co do mnie, nie uważam za złe, żeby żołnierz czyścił pas i hafty na mundurze i od czasu do czasu wypił szklanekę wina. Lubię smaczne jedzenie i piękny mundur i to nic nie szkodzi mojej odwadze. Patrz pan, te oddziały piechoty, na lewo...

— Żółte plastrony?

— Tak; otóż to są sławni grenadjerzy Oudinot'a. Tamci zaś, którzy mają czerwone epolety, to grenadjerzy gwardji cesarskiej. Gwardja cesarska, jak pan wiesz, była przedtem gwardją konsula, który wygrała bitwę pod Marengo. Po tem zwycięztwie ośmiuset grenadjerów zostało udekorowanych krzyżem legji honorowej... Tu jest pułk 57 linjowy, ochrzczony „Straszny“... Tam pułk 7 lekkiej piechoty, który wrócił z Pirenejów. Są to najwytrwalsi piechurzy i najwięksi ladaco z całej armji. Ten oddział zielony, to konni strzelcy, nazywani także „straż konna“. Cesarz najlepiej ten pułk lubi. Otóż, mówiąc między nami, nie ma racji, huzarzy berniszoińscy daleko więcej warci!... Tamci zaś, w zielonych futrach, także strzelcy, lecz nie umiałbym powiedzieć do jakiego pułku należą. Pułkownik ich doskonale nimi dowodzi. Manewrują zawsze otwartą kolumną na skrzydłach naszych oddziałów, potem rozwijają się w linję do szarżowania... Cudownie to wygląda, nawet my nie potrafilibyśmy lepiej!... Teraz panie de Laval, jesteśmy w obozie; zaprowadzę pana prosto do cesarskiej kwatery.

---

## X.

## W przedpokoju cesarskim.

W obozie w Boulogne stało 150 tysięcy piechoty i 50 tysięcy konnicy, to znaczy tyle, ile wynosi ludność wielkiego miasta Francji.

Obóz podzielony był na cztery oddziały: skrzydło prawe, skrzydło lewe, obóz Vimereux i obóz Ambleteuse.

Wszystko rozkładało się na szerokości jednej mili i ciągnęło brzegiem morza na długości sześciu mil.

Od strony lądu obóz nie był obronny, lecz od strony morza wybrzeża broniły silne baterje, armaty i moździerze olbrzymich rozmiarów.

Baterje ustawiono na wzgórzach; pozycja ta zdwajała moc strzałów i pozwalała dochodzić pociskom, aż na pomost okrętów angielskich.

Prześliczny i ciekawy widok tego obozu w rannej godzinie!

Namioty, więcej niż od roku ustawione, wyglądały elegancko.

Prawie wszystkie miały ogródki, a żołnierze o twarzach spalonych, z pozawijanemi rękawami, pracowali, kopali, podlewali kwiaty, jakby to było jedynem ich zajęciem.

Inni znów czesali włosy, czyścili kredą kamasze i pasy, polerowali broń. Lecz zaledwie na nas spoglądali, gdyż patrole konne przechodziły w różnych kierunkach.

Szeregi namiotów tworzyły ulice z nazwami, wypisanemi na blachach.

„Mineliśmy kolejno ulice: „Arcole“, „Kleber“, „Egipt“ i „Artylerji latającej“ zanim dotarliśmy do kwatery głównej.

Cesarz obecnie sypiał w Pont-de-Briques, małej wiosce, o cztery mile w głąb lądu, lecz w dzień był w obozie, gdzie odbywał radę wojenną nieustającą.

Tu także przyjeżdżali ministrowie, rezydujący w Pont-

de-Briques, lub dowódcy różnych oddziałów armji, na narady i po rozkazy.

Przybyliśmy przed namiot widziany z wysokości wzgórz piaszczystych. Służył on za przedpokój do sali obrad i prywatnego apartamentu cesarza, składającego się tylko z pokoju sypialnego i z biura.

Silny oddział grenadierów trzymał wartę, z bagnietami zatkniętymi na fuzjach.

Zeskoczyliśmy z koni.

Zbliżył się oficer służbowy, zapytał o nazwisko i odszedł.

Powrócił za chwilę w towarzystwie generała Duroc, człowieka czterdziestoletniego, suchego, o twarzy surowej i spojrzeniu podejrzliwym.

— Pan de Laval? — odezwał się do mnie z miną kwaśną.

Ukloniłem się po wojskowemu.

— Poruczniku, potrzebujemy ciebie — dodał zwracając się do Gérarda.

— Przebacz, generale, ale jestem osobiście odpowiedzialny za pana de Laval...

— Wejdz zatem.

Weszliśmy do namiotu. Pelen był oficerów różnej broni i różnych stopni.

Mundury oficerów marynarki wyglądały jak ciemne plamy pośród mundurów błyszczących złotymi haftami.

Wielu siedziało na ławkach pod ścianami płóciennymi, lecz po większej części stali, rozmawiali głosem przyciszonym i gestykulowali.

W końcu przedpokoju były drzwi do sali obrad.

Od czasu do czasu jakiś adjutant pukał lekko do tych drzwi, które otwierały się zaraz, wpuszczały go i zamykały bez szelestu.

Jakaś tajemniczość unosila się ponad tem zgromadze-



niem, jakby obawa pełna szacunku, czy niepokój, który wybił się na twarzach i cień troski rzucał na czoła.

— Nie potrzebujesz się pan niczego obawiać — rzekł do mnie młody mój towarzysz — będziesz dobrze przyjęty.

— Skąd pan to wnosi?

— Z przyjęcia generała Duroc. Na tym djabelskim dworze, jeżeli cesarz się usmiechnie, wszyscy się do pana uśmiechają, aż do prostego lokaja; lecz, na wszystkich szatanów! niech cesarz się zmarszczy, wszyscy się na pana krzywią, do ostatnie pomywacza. A co najnieznośniejsze, że nigdy się nie wie, za co się dostało uśmiech lub zmarszczenie czoła. To też wolę być skromnym porucznikiem, bez grosza w kieszeni, szarżować na nieprzyjaciela na czele mojego eskadronu, czuć pod sobą dobrego konia, słuchać brzęku szabli o ostrogę, niż posiadać pałac pana Talleyrand'a z jego stoma tysiącami liwrow dochodu.

Czy sprawdzi się przewidywanie porucznika Gérarda?

...Cesarz przyjmie mnie w sposób nieobrażający?... Czyż nie byłem dla niego atomem niedojrzanym w tem nagromadzeniu ministrów, dyplomatów wojskowych, a wszystko ludzi talentu lub zasługi?... Czem mogłem wyróżnić się z tłumu? W dodatku, jak ja się zachowam w obliczu tego władcy, który podbijał narody i dla którego najgroźniejsza armja w Europie była tylko narzędziem polityki i ambicji?..

Podczas kiedy zastanawiałem się nad tem wszystkiem, młody człowiek w eleganckim mundurze zbliżył się do mnie. Pomimo, że bardzo się zmienił, poznałem go od razu: był to general Savary.

— A co, panie de Laval — rzekł, ściskając mnie za rękę — ten lotr Toussac umknął... Nie mamy szczęścia, co?... Chodziło o ujęcie go, gdyż ten drugi, Lesage, jest tylko marzycielem, utopistą, niezdolnym zupełnie do żadnej sprawy serjo. Nie traćmy jednak nadziei, że i tamtego pochwycimy.

Tymczasem pilnujemy cesarza; ten Toussac nie jest pierwszym lepszym spiskowcem...

W tej samej chwili zdawało mi się, że czuję pod brodą wielki palec tego bydłęcia olbrzymiego i uprzytomniłem sobie, jakim strachem przejmował mnie ostatniej nocy.

— Tak — odrzekłem — to jest jeden z najniebezpieczniejszych ludzi.

— Cesarz za chwilę zobaczy się z panem — zaczął generał Savary. — Bardzo jest zajęty; pomimo to kazał mi powiedzieć, że da panu posłuchanie.

Uśmiechnął się uprzejmie i odszedł.

— Dobrze idzie! — rzekł Gérard, zacierając ręce. — Znam takich, którzy dużoby za to dali, żeby Savary tak do nich przemówił, jak do pana. Cesarz napewno uczyni coś dobrego dla pana. Baczność! kochany panie, pan Talleyrand we własnej osobie idzie ku nam.

Rzeczywiście, zbliżała się kulejąc, osobistość niezwykle powierzchowności. Talleyrand musiał mieć już lat pięćdziesiąt. Szeroki był w plecach, lecz jedna noga krótsza pochyliła mu całą postać.

Szedł wolno, utykając i opierając się na lasce o srebrnej galce. Ubrany był czarno bez żadnych haftów i w jedwabnych pończochach tego samego koloru; lecz taka dostojność była od niego, że wszyscy usuwali się przedym i kłaniali.

— Pan de Laval? — zapytał, badając mnie wzrokiem surowym.

Odpowiedziałem skłonieniem głowy.

Podzielałem antypatję mojego ojca dla tego księdza renegata, polityka wiarołomnego, tego szlachcica-królobójcy.

Jednak był tak uprzejmym, tak dobrodusznym, iż nie mogłem mu się oprzeć.

— Z krewnym pana, de Rohan, bawiliśnii się dziećmi. Dawno już temu, niestety!... Ile zmian, ile przewrotów od

tego czasu! Czyś nie jesteś pan krewnym kardynała de Montmorency-Laval?

— Tak.

— Był to jeden z moich dobrych przyjaciół. Powiedziano mi, iż przybyłeś pan ofiarować swoje usługi cesarzowi; czy to prawda?

— Tak, w tym zamiarze opuściłem Anglię...

— Zda się, że przy wylądowaniu spotkała pana niezwykła przygoda... Opowiadano o jakiejś historii ze szpiegiem, z Jakóbinami, w jakiejś chacie... Otóż to panu dało poznać niebezpieczeństwa, na jakie cesarz jest ciągle wystawiony. Pragnę, żeby to pana gorliwość rozpalilo. Lecz gdzie jest wuj pański, pan Bernac?...

— W zamku de Grosbois.

— Czy pan jesteś z nim w przyjaznych stosunkach?

— Widziałem go wczoraj po raz pierwszy.

— To człowiek bardzo użyteczny cesarzowi... do niektórych spraw... lecz..

Pochylił się i szepnął mi do ucha:

— Znajdziemy panu przyjemniejsze zajęcie.

I oddalił się, pożegnawszy mnie przyjaznym ruchem ręki.

— Mój drogi — odezwał się Gérard — cesarz gotów zrobić cię odrazu marszałkiem Francji.

Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu.

— No, ja nie żartuję — ciągnął Gérard z przekonaniem. — Pan de Talleyrad nie obdarza łatwo uśmiechem i ukłonem... Uważa on zawsze, z której strony wiatr wieje... Powiedzno pan, możeż liczyć na ciebie w otrzymaniu rangi kapitana, podczas kampanji angielskiej?... Ah! — zawołał nagle. — Rada już skończona.

Drzwi w głębi rozwarły się naociecz; cały zastęp oficerów wszedł do sali. Wielu z nich miało mundury niebieskie z galonami i na kołnierzach liście dębowe, co oznaczało marszałków cesarstwa.

Wszyscy, z wyjątkiem jednego, byli w pełni młodości.

W każdym innym kraju uważano by ich za szczęśliwych, gdyby byli podpułkownikami, lub co najwyżej pułkownikami; lecz nieustające wojny i nowy system, przyznający wszystko zasłudze raczej niż latom, był dla nich powodem szybkiego awansu.

Z kapeluszem pod pachą, z ręką na rękojeści szpady, zebrali się wkoło i rozprawiali z żywością.

— Czy pan należy do arystokracji? — zapytał mnie Gérard.

— Tak, jestem krewny Rohan'w i Montmorency'ch.

— Więc będzie pan miał pojęcie, jakich zmian dokonała Rewolucja we Francji, skoro się pan dowie, że czterech z tych dygnitarzy — i wskazał na kółko generałów i marszałków — byli: jeden garsonem w traktjerni, drugi przemytnikiem, tamten bednarzem, a tamten znów malarzem pokojowym: to Murat, Massena, Ney i Lannej.

Ogarnęło mną niewypowiedziane wzruszenie.

Jakie nazwiska!... Ukazały mi się już wyryte na czele historii!

Prosiłem Gérarda, żeby zechciał pokazać mi tych dwóch świetnych oficerów, których sława wyrównała przeszłość kastową.

Świetnych oficerów nie brak tutaj! — zauważył Gérard; potem podkreślając węża, dodał: Są nawet bardzo młodzi, którzy niebawem przewyższą starszych, mam nadzieję... Patrz pan, na prawo, to Ney.

Zobaczyłem mężczyznę z rudemi włosami, krótko ostrzyżonemi, z szeroką, kwadratową szczęką: mina prawdziwego boksera angielskiego.

— Nazywamy go Piotr czerwony, albo Lew czerwony — rzekł mój towarzysz. Utrzymują, że jest najodważniejszy z całej armji, choć w rzeczywistości nie odważniejszy od wielu innych, których mógłbym wymienić.

— A ten generał obok niego? — zapytałem.

— To jest Lannes. Trzyma głowę pochyloną na ramię, odkąd został ranny przy oblężeniu Saint Jean d'Acres. Gaskończyk, tak jak ja... Na nieszczęście obawiam się, żeby nie ustalił opinii, jaką zrobiono moim współrodakom, że są samochwały i kłótlivi... Pan się uśmiecha?

— Ja? ależ wcale nie!

— Ah! zdawało mi się!... Bo widzi pan, Gaskończycy, to naród najłagodniejszy z całej Francji, najspokojniejszy, najwstrzemięźliwszy, najskromniejszy. Wreszcie, takie jest moje zdanie i gotów jestem utrzymywać je... przeciwko wszystkim! Lannes jest poczciwym chłopcem, na pewno, lecz trochę za żywy i to mu szkodzi. Tam dalej, to Augereau.

Przypatrywałem się z zajęciem bohaterowi z pod Castiglione, temu, który nie obawiał się objąć dowództwa armji w jednym dniu, w którym Napoleon z duszą znękaną, z umysłem w rozterce, o mało nie uchybił obowiązkom...

Augereau, podług mnie, stworzony był raczej do obozu i pola walki, niż do życia na dworze.

Ze swoją długą, żółtą twarzą, grubym nosem czerwonym, obejściem ordynaryjnym, pomimo liści dębowych i galonów, pozostał typem żołnierza z kordygardy.

Dużo starszy od kolegów, za późno przyszedł mu stopień marszałka Francji; został na całe życie kapralem.

— Oh! tak, to jest hydlę! — odparł Gérard, — kiedy opowiadałem mu moje wrażenia. Jemu to, tak samo, jak marszałkom: Rapp i Lefebvre, cesarz rozkazał, żeby byli żołnierzami na polu bitwy, ale nie w Tuilerjach. Wszyscy trzej mieli zwyczaj przechadzać się w salonie cesarzowej, włócząc za sobą szable i znacząc posadzkę zabłoconemi butami. Masz tam Vandeme'a także, tego bruneta z dużą twarzą kwadratową! Był raz pod sądem za to, że strzaskał szczękę księdzu westfalskiemu, który odmówił mu butelki tokaju.

— A tamten, to Murat, wszak prawda?

— Tak, to Murat, z czarnemi faworytami, grubemi

wargami, z płcią koloru brązu, spaloną słońcem Egiptu. Ah! co to za człowiek! Przysięgam, iż nie ma nic piękniejszego, jak widzieć, kiedy rzuca się na czele swej brygady, potrząsa pióropuszem i wznosi w górę szpadę! Czasem, tylko na jego widok, całe kolumny grenadierów łamały się i rozpierzchały. Z pewnością, że Lassale jest naszym najlepszym oficerem lekkiej jazdy, lecz, żeby galwanizować żołnierzy, nie ma, jak Murat!...

— Kto jest ten, taki odrażający, wsparty na wschodniej szabli?

— To Soult... bydlę, uparte jak mul! Spiera się nawet z cesarzem... Ten bardzo ładny chłopiec obok niego, to Junot... Dalej oparty o ścianę namiotu, to Bernadotte.

Dziwny wyraz twarzy miał ten awanturnik, który przystał jako ochotnik i nie posiadając nic nad fuzję i tornister, nie zadowolił się łaską marszałkowską i skończył na zawładnięciu berłem.

— Można by o nim powiedzieć, nie to zupełnie, co on mówił o swoich kolegach, że zdobył tron pomimo woli cesarza, nie zaś z łaski cesarza.

Niktby nie domyślał się z jego twarzy płaskiej, którą szpecił nos fenomenalnie duży i śmieszny, wysokich przeznaczeń, jakie los dla niego chował.

Niczyje zdolności nie były tak zaprzeczane i źle sądzone jak Bernadottego, ani jego dążenia ambitne mniej podezwane.

A wszyscy ci dzielni, którzy według wyrażenia Auge-reau, nie bali się ani Boga, ani szatana. wszyscy ci ludzie, w których wrzały jeszcze gwałtowne namiętności ludu, wszyscy, Murat, tak samo, jak Vandomme, Ney, jak Massena, drżeli, kiedy Bonaparte czoło zmarszczył...

Naraz dreszcz przeszedł po zgromadzeniu; następnie cisza grobowa zapanowała.

W obramowaniu drzwi cesarz się ukazał.

Oficerowie siedzący na lawkach, zerwali się jak za po-  
cisnięciem sprężyny. W ciszy uroczystej odgłos ich napiętków  
uderzających razem o podłogę, wydał się przerażający.

Znalazłem Napoleona takim, jak go przedstawiano wte-  
dy na wszystkich jego portretach. Przysadkowaty, z twarzą  
tłustą, koloru kości słoniowej; włosy rzadkie, ciemne, z od-  
cieniem płowym.

Miał na sobie białe kaszmirowe spodnie, frak ciemno-  
zielony z kołnierzem i mankietami czerwonymi, szablę ze złotą  
rękojeścią w pochwie szylkretowej.

Pod lewem ramieniem trzymał swój mały kapelusz, ze  
sławną trójkolorową kokardą, a prawą ręką bawił się małą  
szpicrutą o gałce metalowej; postępował naprzód z spojrze-  
niem surowym, z zaciśniętymi ustami.

— Admirale Bruix! — krzyknął.

Zadrzałem na ten głos, taki był ostry, surowy.

— Jestem, najjaśniejszy panie — odpowiedział oficer  
marynarki, wychodząc z grupy dostojników.

Napoleon postąpił trzy kroki, lecz z takim wyrazem  
groźby w oczach, że oficer zbladł i obrócił się do otoczenia,  
jak gdyby szukał poparcia.

— Co to znaczy, admirale, że nie spełniłeś moich roz-  
kazów tej nocy?

— Najjaśniejszy panie, wiatr wschodni zerwał się nagle  
i myślałem, jeżeli okręty opuszczą przystań...

— Jakiem prawem pozwalasz sobie pan myśleć, skoro  
ja rozkazałem?... Czy masz pretensję wiedzieć więcej, niż ja?

— W sprawie żeglugi, najjaśniejszy panie...

— W żadnej sprawie, mój panie!

— Lecz burza, która potem wybuchła, najjaśniejszy pa-  
nie, dowiodła, że miałem rację.

— Milcz pan, zabraniam wszelkiego dyskusowania...

Zapanowała głucha cisza, możnaby słyszeć muchę prze-  
latującą.

Cesarz rozwścieczony, z twarzą zmienioną, z rozszerzonymi oczyma, podniósł szpicrutę:

— Nędzniku! — krzyknął — a ciszej, pomiędzy zębami: — Coglione!

Uważałem, iż w miarę, jak gniew nad nim brał górę, język francuski cesarza stawał się coraz mniej poprawny.

Przez jakąś sekundę wszyscy oczekiwali, iż ujrzą szpicrutę, spadającą na twarz admirała de Bruix.

Ten ostatni cofnął się bardzo błady i kładąc rękę na rękojęści szpady, wyrzekł:

— Najjaśniejszy panie, strzeż się!...

Straszna cisza.

Szpicruta opuściła się powoli, muskając spodnie z białego kaszmiru.

— Wiceadmirał Magon — krzyknął cesarz — pan od-tąd będziesz odbierał rozkazy odnośnie do eskadry... Admi-rale Bruix, wyjedziesz pan zaraz dziś wieczorem do Holan-dji... Gdzie jest porucznik Gérard od huzarów Berniszonskich?

Mój towarzysz podszedł z ręką przy kasku.

— Miałeś pan przyprowadzić pana Ludwika de Laval?

— Jest tu, najjaśniejszy panie.

— Dobrze, możesz pan odejść.

Gérard oddał ukłon wojskowy i wyszedł.

Cesarz utkwil we mnie swoje niebieskie oczy, w których nie było już ani śladu gniewu.

Słyszałem często o tym spojrzeniu przesywajacem, które wpijało się w ciebie, czytało aż do najtajniejszych twoich myśli; lecz zrozumiałem dopiero całą doniosłość, kiedy poczułem je na sobie.

— Pragniesz nam służyć, panie de Laval?

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Długoś się pan zastanawiał, zanim się zdecydowałeś?

— Nie zależałem od siebie, najjaśniejszy panie.



- Ojciec pana był zagorzałym rojalistą ?  
 — Tak, najjaśniejszy panie.  
 — I gorącym obrońcą Bourbonów ?  
 — Tak, najjaśniejszy panie.  
 — Otóż we Francji niema obecnie ani rojalistów, ani jakóbinów; są tylko Francuzi pracujący dla chwały ojczyzny.  
 Widziałeś pan Ludwika de Bourbon ?  
 — Widziałem go raz jeden, najjaśniejszy panie.  
 — Jestto człowiek nic nieznaczący, wszak prawda ?  
 — Nie, najjaśniejszy panie, to jest bardzo piękny mężczyzna.

Chmura zaciemniła niebieskie oczy cesarza. Potem ująwszy mnie lekko za ucho:

— Panie de Laval, jesteś nieznośnym dworakiem... Ludwik de Bourbon spostrzeże nie dziś, to jutro, że dla zdobycia tronu nie wystarcza pisanie proklamacji. Ja znalazłem koronę Francji w błocie i dźwignąłem ją na ostrzu szpady.

— I dźwignąłeś, najjaśniejszy panie, Francję także — dodał pochlebnie pan de Talleyrand, stojący za cesarzem.

Napoleon rzucił na ministra spojrzenie nieufne; a zwracając się do swojego sekretarza, rzekł:

— De Méneval, oddaję ci pana de Laval. Rozmówię się z nim w sali obrad, po przeglądzie artylerji.

## XI.

### Sekretarz.

Cesarz wyszedł; w mgnieniu oka namiot się opróżnił; zostałem z bardzo ładnym chłopcem, który sam mi się przedstawił:

— De Méneval, sekretarz prywatny jego cesarskiej mości. Zdaje się, iż dobrzebyśmy zrobili, gdybyśmy poszli zjeść obiad — dodał — przyda się to przed posłuchaniem, obiecane panu przez cesarza. Nigdy nie wiadomo, jak długo

potrwa taka rozmowa. Wystaw pan sobie, cesarz czasami cały dzień nic nie je... Zmuszony jestem pościć także, ponieważ ciągle razem pracujemy, zdarza się, że często o mało nie zemdleję...

— Więc jak cesarz się urządza? — zapytałem.

Pan de Méneval był tak przyjemny, że zdawało mi się, iż znam go oddawna.

— Oh! cesarz, to człowiek żelazny! — odpowiedział. — Nie możemy w jego ślady wstępować. Widziałem go pracującego ośmnaście godzin z rządu, bez jedzenia, oprócz paru filiżanek kawy. Zamecza wszystkich; nawet żołnierzom jego trudno wytrzymać. Zaprawdę, dumny jestem z obowiązku, jaki przy nim pełnię; lecz wyznaję, są chwile, w których wyrzekłbym się wszystkiego, tak jestem wyczerpany. O godzinie jedenastej wieczorem, dręczony migreną, zmęczeniem i głodem, piszę jeszcze za dyktowaniem cesarza. Pomyśl pan, że dyktuje tak samo szybko jak mówi i nie powtarza się nigdy. Nieraz przestaje: „No, cóż, de Méneval, dosyć tego, choćmy spać”. Potem, za chwilę, kiedy oddycham z zadowoleniem i myślę, że się rozkosznie wyciągnę na łóżku, wie pan, co on mi powiada? „Zacniemy nanowo jutro rano, o trzeciej godzinie”. I on to nazywa nocą dobrze przespaną.

— Czy nie ma stałych godzin na posilek?

— Ma, lecz ich się nie trzyma. Widzi pan, godzina obiadowa minęła dawno, on nawet się nie spostrzegł; poszedł robić przegląd artylerji, potem coś innego jeszcze, potem znów coś innego, aż nagle przyjdzie mu do głowy zjeść obiad: „Mój obiad, Constant, mój obiad? Dawaj natychmiast... w tej chwili”. Biedny Constant musi podawać obiad.

— Który jest wstrętny! — zawołałem.

Sekretarz zaczął się śmiać cicho, jak ktoś, który obawia się okazać, co czuje.

Opuściliśmy namiot i szliśmy dużym placem.

— Tu są kuchnie cesarskie — rzekł pan de Méneval, pokazując na ostatni namiot kwatery cesarskiej.

Potem wskazał człowieka, siedzącego u wejścia: — To jest Borel, drugi kucharz.

— Ile dziś kurcząt, Borelu?

— Ah! panie de Méneval, to nie do wytrzymania! — jęknął kucharz. Uniósł franke zamykając namiot — siedm półmisków, a na każdym kurczę zimne, stało na stole. — Ósme jest w samą miarę upieczone — rzekł — lecz dano mi znać, że cesarz pojechał na przegląd armji, więc kazalem dziewięć wsadzić na rożen.

— I to tak zawsze! — rzekł pan de Méneval, kiedyśmy poszli dalej.

— Jednym razem Constant przgotował dwadzieścia trzy półmiski kurcząt; cesarz tego dnia jadł obiad o wpół do dwunastej w nocy! Wreszcie, mało go obchodzi to, co je, byle podane było jak najprędzej. Obiad jego składa się zwykle z barweny (ryby), kurczęta „à la Marengo“ i pół butelki szambertyna. Tylko strzegą się postawienia na stole kremów i ciastek, gdyż zjadłby to pomiędzy rybą i mięsem... Niechno pan spojrzy, to bardzo zabawne!... — rzekł pan de Méneval przerywając.

Wykrzyknąłem ze zdziwienia.

Pomiędzy siecią okopów łączących się z sobą kolo namiotów, berajter oprowadzał wspaniałego arabskiego konia. W kącie uliczki stał grenadjer, trzymał na rękach prosię, które cisnął między nogi konia, kiedy ten podchodził do niego.

Prosię uciekało z przerażającym kwiczeniem: koń ani drgnął, tylko szedł równego i lekkiego klusa.

— Co to znaczy? — zapytałem.

— To znaczy, że Jardin, pierwszy berajter stajni cesarskich, ujeżdża konia dla cesarza. Najpierw poddano zwierzę próbie armaty, potem kazano mu ciągnąć ciężary, a to jest ostatnia próba z prosięciem. Cesarz nie zanadto mocno siedzi

na siodle, przede wszystkim jak wpadnie w zwykłe zamyslenie; to też byłoby wielką nieprzezornością dać mu konia źle wytresowanego. Widzi pan tego młodego człowieka, śpiącego przed namiotem?

— Widzę.

— Niktby się nie domyślił, że i on w tej chwili pracuje dla cesarza.

— Nie; w każdym razie służba jego jest łatwą — zrobiłem uwagę.

— Niestety! chciałbym, żeby wszystkie takie były! — westchnął sekretarz. — Otóż ten chłopiec nazywa się Józef Linden, a nogę ma zupełnie taką samą jak cesarz. Obowiązek jego zależy na noszeniu przez trzy dni nowych butów cesarza... Trzewiki, które ma obecnie, są jego cesarskiej mości... Spójrz pan, sprzączki złote... Ach! panie de Caulincourt!.. Zjesz z nami objad, prawda?..

Pan de Colincourt powitał nas uprzejmie. Był to człowiek pięknej postawy, lecz trochę wymuszony.

— Szczęśliwe spotkanie, kochany de Méneval! — zawołał. — Nie często spacerujesz! Moje zadanie, jako szefa domu cesarskiego, nie jest łatwe bezwątpienia, lecz zdaje się, że pan jeszcze więcej masz zajęcia... Czy zdążymy zjeść objad przed powrotem jego cesarskiej mości?

— Tak, tak; wejdźcie panowie do mojego namiotu, wszystko gotowe... Stąd będę widzieć przybywającego cesarza i będę mógł stanąć w głównej kwaterze wpraw, niż on... Panie de Laval, wybac, przyjmuję cię jak w obozie.

Umierałem z głodu i nie dając się prosić, pochłonąłem trzy kotlety, masę kartofli smażonych i ogromną porcję salaty. Nie trzeba dodawać, iż wszystko wydało mi się przewyborne.

Dobry apetyt nie przeszkadzał mi jednak słuchać rozmowy mojego gospodarza z panem de Colincourt. Dziwiłem się, z jaką szczerością ten ostatni wyrażał się o cesarzu i jego polityce.

— Co o nim mówią w Anglii, panie de Laval? — zapytał.

— Nic dobrego.

— Widzę to samo z dzienników... Ach! te dzienniki, on przez nie zwarzuje!.. Pomimo to, chce je wszystkie koniecznie!.. Zalóżę się, że pierwsza rzecz, jaką zrobi po zdobyciu Londynu, każe powiesić wszystkich dziennikarzy.

— A druga rzecz?

— Drugą będzie, rozrzucenie proklamacji, w której wyłuszczy, że wbrew swojej woli, a jedynie dla dobra narodu angielskiego, zgodził się na zajęcie królestwa Wielkiej Brytanji i Irlandji... Potem, jeżeli ci zacni Anglicy objawią życzenie posiadania naczelnika protestanta, otóż, cesarz dowiedzie przez *A* plus *B*, że w gruncie kościół ewangelicki różni się od katolickiego tylko na punktach drugorzędnego znaczenia, i że on, Napoleon Bonaparte, jest właśnie tym, jakiego im potrzeba, ażeby nimi rządził.

— Oh! tego nadto! — zawołał Ménéval jednocześnie zmieszany i zabawiony mową pana de Colincourt. — Widać, że cesarz był w rozmaitych okolicznościach i z racji rządu, zmuszony okazywać uczucia religijne, jakich nie miał wcale — mówiąc między nami, jestem przekonany nawet, iż nie zawahałby się tak samo pójść do kościoła świętego Piotra, jak do meczetu w Kairze — jednak... A wreszcie, on wie, co ma robić, gdyż myśli o wszystkim.

— Za wiele myśli — dodał z powagą Colincourt. — O tylu rzeczach myśli, że drudzy nie myślą już o niczem... Rozumiesz, co chcę powiedzieć, panie de Ménéval!..

— To prawda — mruknął sekretarz — że nie zachęca ani indywidualności, ani inicjatywy.. Często bardzo powtarza, że najlepiej lubi mierność... Sliczny komplet dla nas, którzy mamy zaszczyt służyć cesarzowi!

— To też, największy dowód inteligencji, jaki intelligen-

tny człowiek może dać na jego dworze, to jest mieć mnie głupca — zakończył pan de Colincourt z goryczą.

— Lecz przecie, ma ludzi niepospolitych dokoła siebie — zawolałem.

— Bezwątpienia, lecz utrzymują się tylko dlatego, że ukrywają swoje zdolności. Wiedz pan o tem i zapamiętaj: ministrowie cesarza są tylko jego kancelistami; generałowie tylko adjutantami; my wszyscy wreszcie jesteśmy tylko agentami jego władzy, lub co będzie lepiej, lustrami zdatnemi do odbijania różnych faz jego twarzy. W jednym ukazuje się pod postacią finansisty: to jest Lebrun; w drugim pod postacią prefekta policji: to jest Fouché; w trzecim dyplomata: to jest Talleyrand. Postacie się różnią, lecz zawsze ta sama osoba. Ja, de Colincourt, książę de Vicence i wielki koniuszy, nie mogę przyjąć ani odprawić stajennego bez pozwolenia cesarza... Ach! bo on sobie kpi z nas!.. No, de Méneval, przyznaj, że on kpi z nas! Wreszcie, wyższość jego udowadnia się jasno w sposobie, jakim nas skrępował, przytłumił... Nie pozwala w swoim otoczeniu na żadne związki przyjaźni, a pomiędzy swymi marszałkami utrzymuje taką niezgodę, że nie znajdziesz dwóch, którzyby zgodzili się podać sobie ręce. Davoust niecierpi Bernadotte'a, Lannes brzydzi się Bessieres'em, a Ney wstręt czuje do Masseny. Cud jeszcze, że nie pojedynkują się dziesięć razy na dzień... W dodatku... w dodatku... jak on zna nasze słabe strony!.. Rozrzutność Savary'ego, próżność Cambaceres'a, prostactwo Duroc'a, głupotę Berthier'a, zarozumiałość Murata są narzędziami, któremi posługuje się dla zbudowania swojej przerażającej władzy... Ja, nie odkryłem jeszcze mojej słabej strony; lecz oddawna już zbadał i używa jej podług tego jak mu potrzeba.

— Cóż to za praca! — zawolałem — trzymać w rękach i kierować takim olbrzymim zbiorem ludzi!..

— Tak, jaka praca i jaka energja! — potwierdził Méneval. — Ośmnaście godzin pracy na dobę! Przyduje cię!

prawodawczemu, dotąd, aż wszyscy członkowie zasną przy swoich biurkach! Co do mnie, będzie on powodem mojej śmierci, tak jak był powodem śmierci Bourienne'a. Wszystko jedno, umrę bez skargi, gdyż, jeżeli jest twardy dla drugich, twardy jest także dla siebie samego.

— A to jest właśnie człowiek, jakiego Francja potrzebowała — zaczął pan de Colincourt. — Przypomnieć tylko chaos, w jakim pogrążony był kraj nasz nieszczęśliwy po rewolucji, pomyśleć, że nikt nie chciał być rządzony, a każdy chciał rządzić drugim, przychodzi się do przekonania, że Napoleon, prawdziwy geniusz porządku i karności, był jedynym, który nas mógł uratować. Ah! panie de Laval, nie masz pojęcia, jaką dziwną figurą był Bonaparte w owej epoce!... Widzisz go szczęśliwym, potężnym, z aureolą sławy, trzymającego miliony ludzi pod pręgierzem prawa i posłuszeństwa biernego, lecz dziesięć lat temu, nic nie posiadał, a wszystkiego pożył. Chudy był i blade. Spojrzenie miał ukośne, szczękę wystającą. Chodził ulicami jak dzikie zwierzę, czyhające na zdobycz do pożarcia. Kobiety i dzieci odwracały się za jego zbliżeniem. Pierwszy raz jak go zobaczyłem, pomyślałem: „Ten zasiądzie na tronie, albo ukłęknie na rusztowaniu“.

— Jakto! — zawolałem — zaledwie przed dziesięciu laty?

— Tak, zaledwie przed dziesięciu laty. Opuścił koszary dla pałacu w Tuilerjach... Lecz przeznaczony był do najwyższej godności i tak się stać musiało.

— De Bourienne opowiadał mi, że w Brienne miał już cesarskie maniere; chwalił, ganił, marszczył czoło i uśmiechał się zupełnie tak samo, jak dziś to robi. Widziałeś pan jego matkę?

Zrobiłem gest przeczący.

— To jest królowa z tragedji — mówił pan de Colincourt. — Syn do niej podobny.

Sekretarz siedział jak na mękach. Piękne jego oczy prze-

nosily się z pana de Colincourt na mnie, z niewypowiedzianym niepokojem.

— Przedewszystkiem, panie de Laval, nie sądz — rzekł — żeby cesarz był tyranem. Gdyby tak było, nie śmielibyśmy tak szczerze o nim się wyrażać. Pewny nawet jestem, że słuchałby naszych uwag z przyjemnością i niektóre pochwalil nawet. Ma on wady, przyznaję; jakżeby ich nie miał, kiedy jest człowiekiem? Lecz chciej rozważyć jego zalety i powiedz, czy kiedy władca usprawiedliwil lepiej wybór narodu?... Pracuje więcej, niż każdy z jego podwładnych; nie używa nigdy ani spoczynku, ani przyjemności; wstrzemięźliwszy niż ktokolwiek w pałacach Tuileryów; traktuje swoich żołnierzy, jak ojciec. Biednym, wychował braci i siostry; kiedy jest szczęśliwy, używają razem z nim bogactw jego. Słowem, jest oddany, odważny, wstrzemięźliwy i umiarkowany... Porównaj pan jego postępowanie z postępowaniem ks. Galii...

Przypomniałem sobie naraz cały szereg skandalów, które oburzyły opinię publiczną w Anglii, skandale w Londynie, skandale w New-Market i nie podjąłem się obrony księcia Jerzego.

Zadowolilem się powiedzeniem, że Anglicy nie napadali na życie prywatne cesarza, lecz tylko na jego ambientną politykę.

— Ah! bo cesarz jest przekonany — rzekł de Colincourt — i my z nim także, że nie ma miejsca w Europie na Francję i Anglję. Jedna musi zniknąć... Jeżeli my zwyciężymy, ustanowimy wieczny pokój. Włochy nasze, Austrja zgromiona po raz drugi, Niemcy rozdzielone, lecz co do Ameryki, będzie ona do nas należeć jak tylko zechcemy; łatwo nam będzie zawsze wzniecić wojnę z powodu Luiziany i Kanady... Prowadzenie nad światem nas oczekuje...

Pan de Colincourt rozmawiając, zbliżył się do wejścia do namiotu.

— Jedna rzecz nas powstrzymuje — rzekł.



I wskazał błękitne wody la Manche.

W dali, jak skrzydła mewy, drżały żagle floty nieprzyjacielskiej.

## XII.

### Człowiek czynu.

Namiot pana de Méneval stał w takim miejscu, iż można było z niego objąć okiem całą kwaterę główną. Lecz, czy tak bardzo zajęci byliśmy rozmową?... Czy cesarz inną stroną dostał się do obozu?... Dość, że nie nie widzieliśmy, nie słyszeliśmy i osłupieliśmy, skoro kapitan straży zameldował, że cesarz oczekuje swego sekretarza.

Biedny Méneval zbladł jak biały jego żabot. Zerwał się na równe nogi i drżący mówił:

— Powinienem był być na stanowisku. Co za nieszczęście, Boże mój, co za nieszczęście!... Przebacz, panie de Colincourt... Kapelusz?... Gdzie mój kapelusz?... Chodź, panie de Laval, nie mamy chwili do stracenie!...

Przerażenie młodego człowieka przypomniało mi przerażenie admirała Bruix, przed chwilą, w przedpokoju i mimowolnie zrobiłem uwagę, że podwładni cesarza zanadto podobni byli do więźniów.

Żyli w ciągłym niepokoju, dręczeni bezustannie obawą nielaski. Raz dobrze przyjęci, to znów odepchnięci; napominani publicznie, traktowani po grubiańsku na osobności... Wszyscy ci ludzie, mówiłem sobie, okuci są w kajdany służbiście, lecz nie widzą tego. Kochają, uwielbiają władcę, który ich tak krępuje... Co za wpływ niepojęty!

— Może lepiej, żebym tu pozostał — rzekłem do pana de Méneval, kiedy weszliśmy do przedpokoju i zastaliśmy tam jeszcze tłum zbity i hałaśliwy.

— Nie, nie, mam rozkaz przyprowadzenia pana do gabinetu cesarza, chodź pan ze mną...

— Mój Boże! gdyby tylko nie był rozgniewany!...  
W jaki sposób mógł powrócić, żebym ja go nie widział?  
Ze wzrokiem obłąkanym, z czołem pokrytem kroplami potu, zastukał lekko do drzwi w głębi, które w tej chwili utworzył mameluk Rustan.

Weszliśmy do obszernego pokoju, lecz bardzo skromnieumeblowanego. Ściany były obite papierem srebrno-szarym.

Pośrodku sufitu, umalowanego w obłoki, przypominające bitą śmietaną, widniał orzeł cesarski, trzymający w szponach piorun. Pomimo upału, palił się duży ogień na kominie. Powietrze było ciężkie, przejęte silną wonią aleosu. Na środku pokoju stał stół owalny, przykryty zielonem sukniem i zarzucony mnóstwem listów i papierów. Na jednym końcu stołu wznosił się pulpit, a przy nim krzesło obite zielonym safianem, z godłami cesarskimi na poręczy.

Dokoła sali, pod ścianami, oficerowie, adjutanci lu sztafety, oczekiwali na rozkazy.

Kiedyśmy weszli, Napoleon bawił się zagłębianiem ostrza scyzoryka w oparcie rzeźbione swego krzesła. Popatrzył na nas, potem odezwał się do Ménevala.

— Czekam na pana — rzekł swoim ostrym głosem. — Nie czekałem nigdy na pana de Bourrienne!...

De Meneval zaczął się tłumaczyć.

— Na nic się nie zdało tłumaczenie! Weź pan raport, który napisałem w pana nieobecności i skopiuju...

Nieszczęsny sekretarz wziął papier ręką drżącą i poszedł usiąść przy stole na miejscu dla niego przeznaczonem.

Napoleon zaczął chodzić w dłuż i w szersz pokoju, z rękami w tył założonemi, zgarbiony, z dużą okrągłą głową, pochyloną na piersi.

Pomyślałem, iż bardzoby mu było trudno obejść się bez sekretarza, gdyż przy napisaniu tego jednego raportu, pokropił całe biurko atramentem, a nawet było, że obcierał pióro o białe kaszmirowe spodnie.

Ja zaś stałem ciągle przy drzwiach nieruchomy, obok Rustana. Zdawało się, że cesarz nie domyśla się nawet mojej obecności.

— Co tam, de Méneval! — zawołał naraz — czy skończyłeś ten raport?... Mamy jeszcze masę rzeczy do roboty...

De Méneval, coraz więcej podrażniony, obrócił się do połowy:

— Przebacz, najjaśniejszy panie! — mruknął.

— Co mam przebaczyć? Co się znów stało?...

— Przebacz najjaśniejszy panie, lecz... lecz nie mogę przeczytać tego pisma!...

— Ta, ta, ta!... Widzisz przecie o co chodzi, prawda?

— Tak, najjaśniejszy panie, kwestja furazu dla kawalerji.

— Masz tobie!... Wiesz, de Méneval, robisz mi wrażenie Cambaceres'a. Kiedy otrzymał sprawozdanie, które mu posłałem o bitwie pod Marengo, wziął je za plan bitwy. Nie do uwierzenia, że wam wszystkim tak trudno odczytać moje pismo... Ten dokument nie dotyczy wcale furazu dla kawalerji, on zawiera moje instrukcje dla admirała de Villeueuve co do koncentracji floty i zajęcia la Manche. Daj mi go, sam przeczytam.

Porwał papier ze zwykłą sobie gwałownością, lecz po dlugim przypatrywaniu się, zgniół go w kulkę i cisnął pod stół.

— Pisz! — rzekł do Méneval'a — dyktuje...

Zaczął napowrót chodzić i mówić frazesami krótkimi, urywanemi. Niebawem porwany falą pomysłów, wyrzucał słowa tak szybko, że Méneval z twarzą zaczerwienioną starał się je chwycić w locie. Głos cesarza stawał się dźwięczniejszy, chód gwałtowniejszy.

Plany, rozkazy jego, miały taką jasność, dokładność, iż byłoby mi łatwo je wykonać, choć nie miałem pojęcia o żegludze.

Lecz podziwiałem przedewszystkiem głęboką znajomość cesarza, uzbrojenia i położenia nie tylko każdego okrętu linjowego, lecz każdej fregaty, każdego dwumasztowca, każdego małego jednomasztowca stojącego na kotwicy w portach: Rochefort, Cadix, Cartagena i Brest.

Wyliczał ludzi załogi, ilość armat bez najmniejszego zawahania i niemniej wiedział o nazwisku, sile i pozycji każdego okrętu floty angielskiej.

Taka świadomość byłaby niepospolitą u oficera marynarki, lecz u cesarza, który oprócz tego musiał się jeszcze zajmować swoją armją, sprawami wewnętrznymi, handlem, rolnictwem i finansami, była poprostu nadzwyczajną.

Mówilem, iż zdawał się nie spostrzegać mojej obecności; zauważyłem jednak, że od czasu rzucił okiem w moją stronę.

Skoro skończył dyktowanie, stanął przedemną.

— Dziwi cię to, panie de Laval, słysząc, że, że ja sam reguluję ruchy floty bez pomocy mojego ministra?... To moja zasada! Panujący powinien znać wszystko, wszystko sam robić. Gdyby Bourboni pamiętali o tem, nie byłiby zmuszeni żyć teraz w mgłach Anglii.

— Lecz trzeba mieć pamięć waszej cesarskiej mości, aby zapamiętać tyle przeróżnych żywiołów! — zawolałem.

— Pamięć moja, młodzieńcze, jest następstwem systemu, gdyż, z natury, pamiętam tylko fakty i twarze, lecz nigdy daty i nazwiska. Wyobrażam sobie mózg mój podzielony na pewną ilość komórek, lub, jeżeli pan wolisz, szufladek zawierających każda inny przedmiot. Skoro otwieram jedną z tych szufladek, inne zamykają się natychmiast i zawsze jestem pewny, że znajdę to, czego mi potrzeba. Ah! ja tyle mam w głowie, panie de Laval!... Mam, jak widziałeś, jedną szufladkę pełną okrętów, inną znów pełną fortec. Ostatnio, kiedy minister wojny przedstawił mi stan obrony naszych granic, zrobiłem mu uwagę, że zapomniał zaznaczyć dwóch armat

w małej baterji, położonej blisko Ostendy. W trzeciej szufladce mam wszystkie pulki armji francuskiej. Czy ta szufladka jest w porządku, marszałku Bertier?

Mężczyzna młody, bez zarostu, który, który ogryzał paznokcie w framudze okna, odpowiedział z ukłonem na zapytanie cesarza:

— Najjaśniejszy panie, przekonany jestem, że mógłbyś przywołać po nazwisku wszystkich żołnierzy armji.

— Nie, lecz przynajmniej starych wiarusów, którzy odbyli ze mną kampanje w Egipcie. Następnie, panie de Laval, mam jeszcze szufladki dla kanałów, dla mostów, dróg i fabryk. Finanse, kolonje, Włochy, Holandja mają także swoje szufladki. Ażeby rządzić Francją dzisiejszą, nie wystarcza umiejętność noszenia płaszcza gronostajowego z gracją i doganiania jelenia w lesie Fontainebleau. Czy nie jesteś tego zdania, panie de Laval?

Zniewieściła, apatyczna twarz Ludwika XVI. stanęła mi przed oczyma. Dzieckiem jeszcze, miałem zaszczyt być mu przedstawionym w Wersalu, przez mojego ojca. Musiałem przyznać, że po okrutnych wstrząśnieniach z roku 93-gor kraj nasz potrzebował schronić się pod skrzydła władzy z odwagą i inteligencją wypróbowaną.

Napoleon zbliżył się do ognia. Poruszał głównie końcem nogi, nie troszcząc się o delikatną sprzączkę złotą, zdobiącą obuwie, a którą dym i płomień czerniły.

— Winszuję panu mądrego postanowienia — dodał, kiedy mu odpowiedziałem. — Lecz oddawna już byłeś pan moim stronnikiem... Czy nie bronileś mnie pewnego wieczora, przeciw młodemu Anglikowi, który w oberży pod „Zielonym człowiekiem,” w Ashford, wniósł toast dla mnie ubliżający?

Zdziwienie zamknęło mi usta.

Czy kto opowiedział cesarzowi to zdarzenie?...

— Dlaczego pan to zrobileś?

— Nie wiem, najjaśniejszy panie... może... przez instykt...

— Co znowu!... Tylko zwierzęta i warjaci kierują się instynktem. Miałeś swoje powody, panie de Laval. Dlaczego ryzykować życie dla mnie w chwili, kiedy nie mogłeś się niczego spodziewać od mojego rządu?

— Dlatego, że czulem, iż jesteś jedyną podporą Francji, najjaśniejszy panie.

Podczas tej rozmowy zaczął na nowo swój spacer. Niekiedy zatrzymywał się przed jednym z oficerów i patrzył na niego bacznie, z monoklem wciśniętym w oko.

Wrzek miał bardzo krótki, co zmuszało go do używania monokla lub okularów — czasami brał także szczyptę tabąki z tabakierki szylkretowej, lecz zanim doniósł do nosa, tabąka odpadała na ziemię lub na kamizelkę.

Miłą mu zapewne była odpowiedź moja, gdyż podszedł i zakręcił mnie silnie za ucho.

— Tak, młody przyjacielu — rzekł — masz rację; jestem podporą Francji, zrobię z niej największy naród na całym świecie. Wszyscy panujący w Europie będą zmuszeni mieć mieszkania w stolicy i ukazywać się na koronacji moich następców.

Przerwał z twarzą boleśnie zmienioną:

— Moi następcy — myślał głośno — jacy oni będą?... Dla kogo zbudowałem to cesarstwo?...

Potem opanowawszy się:

— Co mówią o mnie w Anglii, panie de Laval?... Obawiają się, żebym przebył la Manche?

— Nie, najjaśniejszy panie, obawiają się, że go nie przebędziesz...

— Moi starzy szeregowcy nie zadowoleni. Utrzymują, że tym razem sami tylko marynarze będą mieli sławę kampanji... Anglicy mają zaledwie małą armję?

— Prawie wszyscy żołnierze są ochotnikami.

— Ba! najemnicy! — zawołał i uczynił ruch ręką, jakby ich wszystkich zmiotł przed sobą. — Wyląduję w Kent lub w Sussex ze 100 000-ną armją; wydam bitwę, którą wygram ze stratą 10.00 ludzi i nazajutrz będę w Londynie. Zacznę od uwięzienia członków parlamentu, bankierów, negocjantów i dziennikarzy. Nałożę 100 milionów funtów sterlingów kontrybucji. Oderwę Szkocję i Irlandję i dam im rząd taki, że będą w daleko lepszym położeniu, niż Anglja. Potem, opuszczając Wielką Brytanję, zażadam w nagrodę moich usług oddania floty i kolonij. W ten sposób zapewnię pokój więcej, niż na sto lat i zabezpieczę Francji panowanie nad światem.

W krótkim przedstawieniu tego planu fantastycznego, poznałem tę wysoką zdolność Napoleona tworzenia szerokich planów, a jednocześnie badania najmniejszych szczegółów.

Zamarzył o zdobyciu Wschodu. Za chwilę rozkazy były wydane, wojska i okręty zgromadzone, amunicja gotowa, marzenie stało się rzeczywistością.

Jego zamiarem, nie robił bowiem nic bez zamiaru, było odkrycie przedemną swego sposobu administrowania, olśnienia mnogością swoich talentów, w nadziei zapewne, iż użyję mojego wpływu na emigrantów, ażeby ich zachęcić do skupienia się dokoła tronu.

Trzymał mnie tak stojącego kilka godzin, zmuszając, abym był obecnym jego pracy zamęczającej i jak Prometeusz z bajki, przyoblekał coraz inną postać.

Kwestje najważniejsze, tak samo jak najdrobniejsze służyły za trampolino jego inteligencji.

Raz zajmował się rozłożeniem na zimowe leże swego wojska, to znów rozbierał z Colincourt'em sposoby zmniejszenia wydatków domu cesarskiego.

— Ja chcę być oszczędnym — mówił — ażeby roztoczyć większy zbytek na zewnątrz. ¶Kiedy byłem podporucznikiem, żyłem z tysiąca dwustu franków rocznie; ¶niczy mnie

nie kosztowało żyć dziś tak samo. Trzeba raz skończyć z szalonemi wydatkami pałacowemi... Jakto, panie de Joincourt, widzę w twoich rachunkach, że wypijają kawy sto pięćdziesiąt pięć filiżanek dziennie!... Pomyśl, że cukier kosztuje cztery franki za funt, a kawa pięć franków, co znaczy, filiżanka kawy dwadzieścia su!... Wyznacz każdemu sumę na kawę, to będzie mniej kosztowało. Pańskie rachunki stajenne są także przerażające! Przy obecnej cenie siana, siedm do ośmiu franków wystarcza dostatecznie dla utrzymania. Bez marnotrawstwa, panie, bez marnotrawstwa!...

I tak w ciągu kilkunastu minut, przechodził od organizacji wielkiego państwa i budżetu kilkunasto-milionowego, do rachunku na kilka franków.

Mówiąc, cesarz ciągle szukał, mojego wzroku, obserwował postawę, jak gdyby dla pochwycenia moich przelotnych wrażeń.

„Co go obchodzi moja pochwała lub nagana? — powtarzałem sobie w duszy. A teraz, kiedy wyliczam wszystkich synów, arystokracji, którzy poszli za mojem przykładem, tych którzy powrócili z wygnania, ażeby zaciągnąć się pod standard Bonapartego, rozumiem jak ważną była moja osobistość.

— No, cóż, panie de Laval — rzekł Napoleon — miałeś przedstawić moją organizację, mojego systemu... Czy ciągle trwasz w postanowieniu służenia cesarstwu?

— Więcej niż kiedykolwiek, najjaśniejszy panie.

— Uprzedzam, że nie zawsze jestem łatwy; jestem nawet czasem bardzo ostry — rzekł z uśmiechem. Byłeś obecny jak zgromiłem admirała Bruix?... Ach! bo my wszyscy mamy bardzo poważne obowiązki!.. Karność tak samo jest niezbędna w wyższych stopniach urzędów, jak w niższych. Lecz bądź pan spokojny, gniew mój nigdy wyżej nie dochodzi — przeciągnął ręką po szyji — nie pozwalam, żeby mózg mi zalał... Doktor Corvisart utrzymuje, że mam wolniejszy puls od wszystkich jego chorych.



— I że jesz prędzej, najjaśniejszy panie, niż którykolwiek wiek francus — dodała osobistość o szerokiej i dobrej twarzy, rozmawiająca z marszałkiem Berthier.

— Ach! ten mi nigdy nic nie daruje! Bo widzisz, panie de Laval, doktor gniewa się bardzo: nie może przebaczyć że raz mu powiedziałem, iż wolę umrzeć z mojej choroby, niż od jego lekartw. Jeżeli jem szybko, to wina moich zajęć. Ale, ale, Constant, czy to godzina obiadowa?

— Czwarta godzina, najjaśniejszy panie.

A więc podawaj prędzej.

— Tak, najjaśniejszy panie, lecz pan Isabey czeka tam ze swemi lalkami.

— Zatem wprowadź go zaraz.

Isabey wszedł. Wydawał się zmęczony, jak po długiej podróży. Buty i ubranie pokryte miał kurzem. Pod pachą trzymał duży kosz pleciony.

— Dwa dni czekam już na ciebie, Isabey — rzekł cesarz ostro.

— Najjaśniejszy panie, kurjer wczoraj dopiero przybył; natychmiast udałem się w drogę...

— Przywiozłeś modele?

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Rozłóż je na stole.

Nie mogłem wstrzymać się od śmiechu, kiedy Isabey, po utworzeniu koszyka, wyjął całą kolekcję lalek wysokich na stopę i wspaniale ubranych w aksamity, jedwabie gronostaje i koronki.

Ale gdy były już wszystkie wyjęte, odgadłem, że cesarz ze swoją nieumienością szczegółów, chciał osądzić, jakie wrażenie zrobi dwór jego, skoro dygnitarze przywdzieją wspaniałe kostjumy, jakie im przeznaczył.

— Co to jest? — zapytał, unosząc w górę lalkę ubraną w amazonkę amarantową, a na głowie w toczku z białymi piórami.

— To jest amazonka cesarzowej, najjaśniejszy panie.

— Podłużysz trochę staniki.

Napoleon miał pomysły szczęśliwe, dotyczące ubrań kobiet.

— Te djabelskie mody są jedyną rzeczą, której nie mogę zreformować! To też Duchesne, krawiec mój, skrócił na trzy palce poly mojego ubrania. Krzychałem, gniewałem się, nie ustąpiło bydłę. Sądzę, że byłby się oparł wszystkim armjom lądowym i morskim!...

Wziął drugą lalkę w ubraniu zielonem z galonami.

— Co to za kostjum?

— Wielkiego lowczego, najjaśniejszy panie.

— A zatem twój, Berthier. A ten czerwony?

— Wielkiego kanclerza.

— A fioletowy?

— Wielkiego szambelana.

Cesarz bawił się temi figurkami, jak dziecko nową zabawką.

Przesuwał po stole, grupował, w końcu powrzucał do kosza.

— Bardzo dobre, Isabey — rzekł — zadowolony jestem z ciebie i z David'a także. Możesz przedstawić wykaz kosztów. Ah! powiedzże Lenormand, jeżeli ośmieli się przedstawić mi rachunek taki jak ostatni, wyślę ją, żeby przepędziła kilka miesięcy w Vincennes... Powiedz sam, panie de Laval, czy to rozsądnie wydawać 25.000 franków na jedną suknię, choćby to nawet było dla panny Eugenji de Choiseul?...

Oniemiały ze zdziwienia, nie znajdowałem odpowiedzi.

Wiedział zatem o mojej miłości dla panny de Choiseul...

Ależ ten człowiek był chyba czarownikiem!...

Cesarz uśmiechnął się, twarz jego przybrała wyraz filuterny, jaki miewał w chwilach dobrego humoru. Oczywiście miewał wtedy ciemno-błękitne, podczas kiedy w silnem zamysle-

niu robiły się prawie czarne, a koloru stali w wybuchach gniewu.

Oparł swoją małą tłustą rękę na mojem ramieniu.

— Przed chwilą dziwiłeś się, panie de Laval, że wiedziałem o pojedynku z młodym gentelmanem w Asford; teraz dziwisz się znów, słysząc jak wymawiam nazwisko panny de Choiseul. Ależ, kochany panie, na cóżby mi się zdali agenci, których trzymam w Anglii, jeżelibym nie wiedział o tak ważnych rzeczach.

— Najjaśniejszy panie, nie mogę pojąć jak takie bagatele mogą być donoszone, ani, że zatrzymujesz się przy nich chcący na chwilę.

— Skromny jesteś, młodzieńcze; spodziewam się, że przebywanie na dworze, nie zatraci w tobie tej pięknej zalety. Wyobrażasz sobie zatem, że twoje sprawy nie mają żadnej wagi dla mnie?

— Dlaczego miałyby mieć wagę, najjaśniejszy panie?

— Kto jest twoim dziadem stryjecznym?

— Kardynał de Montmorency-Laval, najjaśniejszy panie.

— Właśnie. A gdzie on przebywa?

— W Niemczech.

— W Niemczech a nie w Notre-Dame, gdzie sambym go intronizował. Kto jest twoim bratem ciotecznym?

— Książę de Rohan.

— A ten gdzie?

— W Londynie.

— Tak, w Londynie a nie w Tuilerjach, gdzie zająłby stanowisko jakiegoby zażądał. Ah! chciałbym wiedzieć, czy, zrzucony z tronu, wypędzony, jak Bourboni, znalazłbym tak, jak oni, wiernych stronników, gotowych poświęcić majątek, ojczyznę, upodobania, aby iść za mną na wygnanie?... Zbliź się, Berthier!

Cesarz pociągnął za ucho swojego ulubieńca. Była to u niego największa oznaka czułości.

— Mógłbym liczyć na ciebie, hultaju?

— Nie rozumiem, najjaśniejszy panie!...

Dotąd rozmowa nasza prowadzona była głosem przyciszonym, żadna z osób będących w sali nie zwracała na nią uwagi; teraz wszyscy ucichli i czekali na odpowiedź Berthier'a.

— Gdybym był zrzucony z tronu, wypędzony z Francji, poszedłbyś ze mną na wygnanie? — mówił cesarz wyraźnie.

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Do diabła! Szczery jesteś przynajmniej.

— Lecz dlatego, że nie mógłbym, najjaśniejszy panie.

— A to dlaczego?

— Ponieważ jużbym nie żył.

Napoleon zaśmiał się głośno.

— I powiadają, że Berthier głupi! — zawołał. — Słuchaj, Berthier, jestem ciebie pewny, gdyż jeżeli cię lubię, jeżeli cię proteguję, to ze względów czysto osobistych; lecz w oczach tych, którzy mnie otaczają, jesteś bez znaczenia... Nie mogę tego powiedzieć, na przykład o panu Talleyrand.

A zwracając się do dyplomaty:

— Ty, mój kochany, ty opuściłbyś mnie tak prędko, jak opuściłeś Ludwika XVI-go. Masz wyjątkowy talent stosowania się do wszystkich rządów, do wszystkich systemów...

Cesarz uwielbiał takie małe sceny, kiedy wszyscy czuli jakąś przykrość, zaniepokojeni przypuszczeniem zapytania kłopotliwego, na które trzeba było odpowiedzieć natychmiast, nie mając czasu zważyć słów dobrze.

Lecz w tej chwili zapomiano o wszystkim, aby zająć się tylko Talleyrand'em. Co on powie?... Jak się będzie broił od tego zarzutu?...

On zaś, oparty na swojej lasce hebanowej, z szerokimi plecami zgarbionymi, z ustami wykrzywionymi uśmiechem iro-

niczmem, wydawał się, jak gdyby usłyszał od cesarza najprzyjemniejszy komplement.

Imponował Napoleonowi sposobem bycia, traktując go zawsze jak równego, nie pochlebiając nigdy.

— Najjaśniejszy panie — rzekł — sądzisz, iż opuściłbym ciebie, gdyby twoi nieprzyjaciele ofiarowali mi większe korzyści, niż te, których używam przy tobie?

— Jestem przekonany.

— Zatem, potrzeba, aby te korzyści były bardzo wielkie, najjaśniejszy panie, gdyż, oprócz palacu przy ulicy św. Florjana i dwustu tysięcy liwów renty, które mi przyznałeś, mam jeszcze urząd pierwszego ministra... Musianooby mnie chyba posadzić na tronie, aby wznieść jeszcze wyżej.

— Rzeczywiście, niczego ci nie brakuje — mruknął Napoleon, patrząc z powagą na ministra.

Po chwili zaczął:

— Powiedzno, Talleyrand, kiedy ożenisz się z panią Grand?... Sapristi, skończ raz, ten związek twój jest nieznośny!... Ah! bez skandalów na dworze, panowie, bez awantur z kobietami, bardzo proszę!..

— Czy to skłonność czy przyzwyczajenie — odparł spokojnie Talleyrand — lecz mam wstręt do małżeństwa, najjaśniejszy panie.

— Prawda — rzekł Napoleon ze śmiechem — zapominam zawsze, że mówię do biskupa z Autun. Pani Grand jest bardzo inteligentna kobieta!... Umie słuchać bardzo dobrze.

Talleyrand wzruszył ramionami.

— Inteligencja nie jest zaletą kobiety, najjaśniejszy panie. Kobieta rozumna kompromituje męża, podczas kiedy głupia, kompromituje tylko siebie.

— Mojem zdaniem — rzekł cesarz — ta kobieta jest najinteligentniejsza, która potrafi ukryć swój rozum. We Francji kobiety są niebezpieczne, zręczniejsze są bowiem od mężczyzn. Nie rozumieją, że nam potrzeba serca ich, a nie głowy.

Zawsze, jeżeli tylko rządziły królem, doprowadziły go do upadku. Zanadto są nerwowe, zanadto uczuciowe, pełne energii, lecz bez logiki, bez przewidywania. Spójrzycie na tę przekłątą panią Satël, na wszystkie kobiety z przedmieścia św. Germana, więcej mi sprawiają kłopotu swemi gryzmołami i gadaninami, niż cała flota la Manche. Niech się zajmują swojemi dziećmi i galgankami!.. Prawda, panie de Laval?

— Nie będąc takiego samego zdania, jak cesarz, nie nie odpowiedziałem.

— W twoim wieku — zaczął — nie jest się jeszcze praktycznym. I ja kiedyś taki sam byłem. Było to w epoce, kiedy ci głupi Paryzanie utrzymywali, że wdowa po znakomitym generale Beauharnais robi mezalians, wychodząc za Bonapartego.

Zamilkł na chwilę — potem znów mówił:

— Między Medjolanem i Mentoną jest dziewięć oberży, przebyłem przestrzeń dzielącą te dwa miasta w jednym dniu i zatrzymałem się w każdej oberży, aby pisać do mojej żony... Dziewięć listów w jednym dniu!.. Cały romans!.. Lecz złudzenia pierzchają, panie de Laval i uczynmy się wiedzieć rzeczy takimi, jak są... O jakie życie szare bez uniesień miłości!..

Twarz cesarza przyćmiła chmura przy tem wspomnieniu, przeszłości, która zapewne więcej mu radości dała, niż najświetniejsze zwycięstwa. Lecz naraz otrząsnął się.

— Eugenia de Choiseul jest właśnie siostrzenicą księcia de Choiseul? — zapytał.

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Jesteście narzeczeni?

— Tak, najjaśniejszy panie.

Pokręcił głową.

— Jeżeli chcesz dojść do czego na dworze, panie de Laval, trzeba mi powierzyć tierunek spraw twoich. Czy mogę patrzeć obojętnie na małżeństwa pomiędzy emigrantami, pomiędzy ludźmi, którzy są najzawziętymi moimi wrogami?

— Przekonania panny de Choiseul takie same są jak moje, najjaśniejszy panie.

— Tak się mówi!... Panna de Choiseul zamłoda, żeby mieć jakie przekonania. W niej płynie krew arystokratyczna; ta krew zakipi kiedyś... Panie de Laval, twoje małżeństwo do mnie należy. Udasz się niebawem do Pont-de-Briques dla przedstawienia się cesarzowej. Cóż tam znów, Constant?

— Najjaśniejszy panie, to pewna dama uprasza waszej cesarskiej mości o posłuchanie.

— Dama! — wykrzyknął cesarz. — Do licha, nie widać wcale dam w obozie!... Co to za jedna? Czego chce?

— Nazywa się Sybilla Bernac, najjaśniejszy panie.

— Ah! to córka starego Bernac'a z Grosbois... pańskiego wuja po kądzieli, panie de Laval.

Upokorzony, spuściłem oczy.

— Mój Boże — rzekł cesarz, którego wzroku nie uszło moje zawstydzenie — co prawda nie bardzo przyjemny ma urząd, lecz wielkie usługi mi oddaje. Wszak to on jest posiadaczem majątku pańskiego ojca?

— Tak, najjaśniejszy panie.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Prawdopodobnie powrócisz pan do Francji w nadziei wejścia z powrotem w twoje prawa.

— Nie, najjaśniejszy panie — zawolałem — ja chcę sam sobie wszystko zawdzięczać.

— Bardzo dobrze!... Wreszcie, panie de Laval, nie mógłbym oddać ci twojego majątku, gdyż teraz tak rzeczy stoją we Francji, że gdybyśmy zaczęli restytucje, nigdybyśmy z tem nie skończyli. Zachwiałoby się zaufanie ogółu. Nie mam stronników więcej oddanych nad tych, którzy są dziś w posiadaniu dóbr emigrantów; dopóki będą mi użyteczni, zatrzymają je w swoich rękach. Lecz czego może chcieć odemnie panna Bernac?... Constant, wprowadź ją.

Za chwilę weszła moja kuzynka. Bardzo była blada,

oczy jej paliły się gorączkowo, szła wolno i wydawała się wyższą.

— Co pani sobie życzy? — rzekł cesarz głosem niezadowolonym, jakim zwykle przemawiał do kobiet, nawet wtedy, kiedy starał się o ich względy.

Sybilla obejrzała się dokoła, a zobaczywszy mnie, zdało się, że nabrała odwagi.

— Najjaśniejszy panie, przychodzę błagać o łaskę.

— Nie mogę nic odmówić córce Karola Bernac — odparł cesarz.

— Najjaśniejszy panie, nie przyszłam prosić w imieniu mojego ojca, w mojem własnem imieniu wzywam łaski waszej cesarskiej mości dla Lucjana Lasage, uwięzionego za zbrodnię sdrady stanu... To jest poeta, najjaśniejszy panie, marzyciel...

— Marzyciel! — wykrzyknął cesarz — cóż może być niebezpieczniejszego jak marzyciel?...

Wziął ze stołu plik notatek i przejrzał je szybko.

— I zapewne ten pan Lesage ma zaszczyt być pani narzeczonym?

Sybilla zaczerwieniła się.

— Oto jest protokół badania — ciągnął cesarz. — Według jego zeznań, sędzę, że nie jest godny zupełnie miłości pani.

— Oszczędź go, najjaśniejszy panie.

— Niepodobna! Te wszystkie spiski kością mi w gardle stoją!... Spiski ze strony Bourbonów, spiski ze strony jakubinów!... Moje pobłażanie tylko ich zachęca. Od czasu stracenia księcia d'Enghien i Cadoudal'a, Bourboni siedzą cicho; stracenie pana Lesage posłuży za przykład dla jakubinów.

Przy ostatnich słowach cesarza, Sybilla zbladła, oczy jej mgłą zasłzyły i grube łzy popłynęły po policzkach.



— Na miłość Boską, najjaśniejszy panie, przebacz mu! — zawołała, padając do nóg Napoleona.

Lecz on, wściekły, zaczął tupać nogami.

— Powtarzam pani, iż nie mogę tego zrobić. To, co postanowię dla bezpieczeństwa rządu, jest niecofnione! Czas już, aby jakobini otrzymali dobrą naukę, w przeciwnym razie za sześć miesięcy będę miał całe przedmieście św. Antoniego na karku!

Głos stanowczy cesarza, twarz surowa okazywały, że nie da się zmiękczyć.

Sybilla jednak nie dała za wygranę.

— Najjaśniejszy panie, on jest niewinny, przysięgam!...

— W takim razie śmierć jego przerazi innych spiskowców.

— Przebacz mu, najjaśniejszy panie, a ja odpowiadam za jego wierność i posłuszeństwo na przyszłość!...

— Panie de Laval, wyprowadź swoją kuzynkę — rzekł cesarz, zwracając się do mnie.

Constant i ja pomogliśmy podnieść się Sybilli, a kiedy chcieliśmy ją wyprowadzić:

— Najjaśniejszy panie, mówisz, że przykład potrzebny? Ale jest Toussac!...

— Bh! gdybym dostał Toussac'a! — pomyślał głośno cesarz.

— To on i mój ojciec pchnęli Lucjana do buntu... najjaśniejszy panie, prawdziwym winnym jest Toussac!...

— Lesage i Toussac zarówno są winni — odparł cesarz — w dodatku Lesage'a mamy, a Toussac uciekł.

— Lecz gdybym odnalazła Toussac'a najjaśniejszy panie?

Napoleon pomyślał trochę, potem wyrzekł:

— Jeżeli pani odnajdziesz Toussac'a, przebaczę Lesage'owi.

— Lecz na to potrzeba czasu, najjaśniejszy panie!...

— Ile pani żąda?

— Tydzień, co najmniej, najjaśniejszy panie!..

Dobrze. Za tydzień Toussac będzie w naszych rękach, albo Lesage skazany. Panie de Laval, zabierz swoją kuzynkę, gdyż mam teraz do załatwienia bardzo ważne sprawy. Zobaczę pana niedługo w Pont-de-Briques....

### XIII.

#### Marzyciel.

Wyszedłem z Sybillą, lecz jakież było moje zdziwienie, kiedy zastałem porucznika Gérard'a przy wejściu do namiotu.

— Ah! pani, czy ci się udało? — rzekł podbiegając naprzeciw młodej dziewczyny.

Sybilla potrząsnęła głową przecząco.

— Tego się właśnie obawiałem!... Cesarz jest niewzruszony. Pokazała pani wielką odwagę, idąc do niego z prośbą. Ja wolałabym atakować cały szwadron na koniu schwaccnym, niż żądać od niego czegokolwiek. Boże mój, jakże mnie boli pani niepowodzenie!...

Ładne, błękitne oczy porucznika zaszyły łzami, końce blond wąsików opadły na dół tak komicznie, iż byłbym się śmiał chętnie, gdyby nie w takiej smutnej okolicy.

— Spotkałam pana Gérard'a w obzie — rzekła moja kuzynka — towarzyszył mi aż do namiotu cesarskiego. Dobry jest, że interesuje go moje zmartwienie.

— Ja także współczuję twojej boleści, moja kuzynko! — zawolałem. — Taka jesteś dobra, dzielna!... Szczerliwy ten, którego zaszczycasz swoim przywiązaniem i poświęceniem!... Lecz czy on na to naprawdę zasługuje?

Jak tylko wyrażono najmniejsze powiątpiewanie o wartości narzeczonego, Sybilla się oburzała.

— Znam go lepiej niż ty, Ludwiku, lepiej niż cesarz! — zawołała — Lucjan ma za szlachetną duszę, aby

się nużyć w błocie spisków i zdrady!... Toussac sprawcą wszystkiego złego. Toussac jest nędznikiem, mordercą!... Dopóki Toussac żyje, we Francji nie będzie spokoju. Ah! dla niego niema litości!...

Twarz jej zapalała gniewem i nienawiścią.

— Kuzynie Ludwiku — zaczęła — czy zechcesz pomódz mi w poszukiwaniu Toussac'a?

Gérard targnął wąsy i patrzył na mnie z wyrazem źle ukrywanej zazdrości.

— Czy pani pozwoli, abym i ja pomagał także? — odezwał się głosem miłosiernym.

— Bezwątpienia, panie — odparła Sybilla — dwóch ludzi energicznych, to nie zanadto do takiego przedsięwzięcia. Skoro nadejdzie stosowna chwila, zawiadomię pana, tak samo jak pana de Laval. A teraz zechciejcie panowie odprowadzić mnie do granic obozu; potem zostawcie mnie samą.

Sybilla wyrażała się w sposób rozkazujący, który bardzo ładne wrażenie robił w pięknych ustach kobiecych.

Słowy koń, na którym przyjechałem rano, rżał i grzebał nogą obok konia Gérarda. Niedługo obydwaj siedzieliśmy już na siodłach.

Kiedy minęliśmy okopy, Sybilla zwróciła się do nas:

— Samą już teraz pojedę — rzekła. — A więc tak, mogę na panów rachować?

— Zupełnie! kuzynko.

— Aż do śmierci! — krzyknął Gérard.

— Dziękuję! — rzekła.

I puściwszy cugle pojechała w stronę Grosbois.

Stałem jeszcze długą chwilę zamyślony... Jaki plan powzięła Sybilla?... W jaki sposób spodziewała się odszukać Toussac'a? Wreszcie wyobraźnia i miłość kobiety zwyciężą, może tam, gdzie zawiodła zręczna taktyka panów Fouché i Savary...

Kiedy podniosłem głowę, ujrzałem porucznika Gerard'a zatopionego w kontemplacji Sybilli, której wykwintna sylwetka rysowała się na tle błękitnego horyzontu.

— Stefanie, to jest kobieta, jakiej ci potrzeba!... — mruzczał. — Co za oczy!... Co za uśmiech!... I nie obawiała się cesarza!... Do licha, jaka to amazonka! Stefanie, mój chłopcze, ta kobieta, jak gdyby dla ciebie stworzona!

Mówił w ten sposób, dopóki młoda dziewczyna nie znikła po za piaszczystymi wzgórzami. Potem:

— Pan jesteś bratem ciotecznym panny Bernac? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałem.

— Nie wiem, co ona przemyśla; lecz czegooby tylko zażądała odemnie, wszystko zrobię!...

— Mój kochany poruczniku, ona chce, żebyśmy ujęli Toussac'a...

— Wybornie!

— ...Dla ocalenia życia panu Lucjanowi Lesage, jej narzeczonemu.

— Ah!

Gérard zmarszczył czoło. Pomimo to dobra jego natura wzięła górę.

— Sacrebleu! — rzekł — jeżeli to może ją uczynić szczęśliwą, wszystko poświęcę!

Wyciągnąłem do niego rękę; uścisnął mi ją silnie.

— Huzarzy Berniszońscy stoją tam, gdzie pan widzi te dwa szeregi przy lancach. Na pierwszy alarm daj mi znać, panie de Laval, szabla moja jest do twojego rozporządzenia. Żegnam pana! Do widzenia!...

Zawrócił zrećźnie z prawdziwie dobrym humorem francuskim, który odbijał się nawet w poruszeniach czerwonego pióropuszn na kasku, w fałdach dolmana i błyszczących ostrogach.

Cztery dni, cztery długie dni upłynęły bez wiadomości od Sybilli, ani słowa także nie słyszałem o cesarzu, ani o moim wuju.

Pojechałem do Boulogne. Wynająłem przy ulicy des Vents, w pobliżu kościoła św. Augustyna, mały pokój nad sklepem piekarza, nazwiskiem Vidal.

Przeszłego roku odwiedziłem ten pokój; coś mnie ciągnęło, żeby zobaczyć raz jeszcze miejsce, w którym żyłem, czulem, kochałem.

Pokój nie zmienił się wcale. Ten sam papier w niebieskie kwiaty, te same meble mahoniowe.

Stojąc przy oknie, przypatrywałem się starym poźółkłym sztychom, wiszącym na ścianach popiersiu Jana Bart'a, stojącemu na wązkim marmurze nad kominkiem, drobiazgom rozstawionym na komodzie i stoliku.

— Moje serce też się nie zmieniło — mówiłem sobie.

Lecz naraz, w zwierciadle wiszącym naprzeciw mnie, ujrzalem twarz pomarszczoną, oczy przygasłe, brodę białą. Niestety! jaka zgrzybialość!...

Nie, to nie był już człowiek wrzący młodością, gwałtowny, z przed lat wielu, który teraz patrzył na to wszystko, lecz starzec posępny, zreumatyzmowany.

Ażeby odwrócić bieg myśli, zacząłem patrzeć przez okno.

Wzgórza nadbrzeżne jaśniały tak samo kredową białością, morze rozbijało swe fale z głuchym jękiem.

Tam to, w tej okolicy opuszczonej teraz, na piaskach, gdzie rosły zaledwie suche chwasty, wielka armia obozowała!...

Serce rzuciło mi się w piersiach. Zdawało mi się, że widzę oficerów głównego sztabu krzyżujących się, roznoszących rozkazy, chmury kurzu, bagnety, szable błyszczące; zdawało mi się, że słyszę galop koni, wesole fanfary, bicie w bębny... Nicoseć próżności ludzkiej!

Wielka armia rozpierzchła się, jak chmury wiatrem pę-

dzone... Cesarz umarł, nędzne sprzęty tego małego pokoiku nie poruszyły się nawet z miejsca!...

Jeżeli człowiek nie jest pokorny, to nie z braku ostrzeżeń i przykładów...

Zarzućmy jednak zasłonę na moje osobiste obecne wrażenia...

Wynająłem tedy mały pokcik i zaraz posłałem po trochę moich rzeczy, pozostawionych w Grosbois; następnie skorzystałem z kredytu, jaki łatwo mi przyszedł z powodu dobrego przyjęcia przez cesarza, ażeby kazać zrobić sobie ubranie, w którym mógłbym przyzwoicie przedstawić się u dworu.

Wiadomo, że Napoleon, pomimo, że był sam niezwykle skromny, wymagał wielkiej elegancji w ubraniu od swoich żołnierzy i dworzan.

Nawet w najzbytkowniejszej epoce Bourbonów nie widziano nigdy takiej wystawy gronostajów, złotych haftów, galonów i złotogłowi. Sądził, iż taką wspaniałą okazałością utrwali silniej młode cesarstwo i zaimponuje więcej tłumom i panującym zagranicznym.

Piątego dnia rano, Duroc, szef wojskowej straży przybocznej cesarza, przysłał zawiadomienie, że jego cesarska mość daje mi posłuchanie po południu w kwaterze głównej; że jestem zaproszony tego samego wieczora na przyjęcie u cesarzowej i że zachowano dla mnie miejsce w jednym z powozów dworskich, dla udania się do Pont-de-Briques.

Chociaż stawilem się w głównej kwaterze przed godziną oznaczoną na posłuchanie, Constant, jak tylko mnie zobaczył, wprowadził zaraz do gabinetu cesarza.

Napoleon stał przed kominkiem i bawił się, uderzając piętą w kratę, za którą paliły się duże polana drzewa.

Talleyrand i Berthier byli na służbie. De Méneval pisał przy stoliku.

— No, cóż! panie de Laval — odezwał się cesarz, „po-

witawszy mnie przyjacielskim ruchem głowy — miałaś wiadomość od twojej ślicznej kuzynki?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Obawiam się, że poszukiwania jej na nic się nie zdadzą. Tem gorzej; gdyż jej poeta jest nieszkodliwy, podczas, gdy ten drugi, Toussac... Wreszcie, wszystko jedno, trzeba przykładu: Lesage umrze, jeżeli Toussac nie będzie dostawiony.

Zmrok zapadał. Constant ukazał się i zamierzał świecę pozapalać; lecz cesarz kazał mu odejść.

— Przekonany jestem, panie de Laval — rzekł — że długi pobyt w Anglii przyzwyczaił cię do półświatła.

Po krótkiej pauzie, dodał:

— Ludzie tamtejsi muszą mieć w mózgu pełno mgły, sądząc z głupstw, jakie piszą w swoich dziennikach.

I naraz ruchem konwulsyjnym, zwykłym u niego przy wybuchu gniewu, porwał ze stołu dziennik londyński, podarł i rzucił go w ogień.

Papier się zajął, litery drukowane powiększyły się imię Napoleona zajaśniało kilka razy wielkie, czerwone; potem kawałki strawione ogniem rozwiały się i rozpadły przed kominkiem...

Cesarz odepchnął je nogą.

— Taki dziennikarz, co to jest za człowiek? — krzyknął głosem ostrym, gardlowym, który raz już mie zmniejszał. — Osobistość jakaś obdarta, bez butów, bez rozumu, bez wykształcenia, która bazgrze piętnaście godzin na dobę, w zatechlem biurze, w głębi podwórza. I to śmie mówić o cesarstwach, o monarchach, o pokoju i wojnach, o przewrotach europejskich!... Ah! dość już mam tej wolności prasy! Są tacy, którzy pragną gorąco, żebym ją zaprowadził w Paryżu... Ty, Talleyrand na przykład... Otóż nie, nie, tego nie będzie!... Żaden dziennik nie jest potrzebny dla pomyślności kraju. Je-

dnego „Monitora” można tolerować we Francji, bo służy dla zaznajomienia ludu z postanowieniami rządu.

— Ja mówię, najjaśniejszy panie — rzekł spokojnie minister — iż lepiej mieć nieprzyjaciół otwartych, niż nieprzyjaciół ukrytych i że mniej niebezpiecznie wylewać atrament niż krew... Co to szkodzi, że dzienniki londyńskie i paryskie drukują niedorzeczności na konto waszej cesarskiej mości, kiedy rozkazujesz stu pięćdziesięcio-tysięcznej armji, najjaśniejszy panie?...

— Wspaniały jesteś, Talleyrand! — zawołał cesarz zniecierpliwiony. — Sluchając ciebie, możnaby sądzić naprawdę, że jestem prawym następcą ostatniego króla Francji... Wreszcie, gdybym był nawet wnukiem Henryka IV., nigdybym nie pozwolił na mieszanie się dziennikarzy do spraw rządu... Czy nie dość krytykowano za Bourbonów!... Ludwik XVI. i Marja Antonina gilotynowani, arystokracja zdziatkowana, zrujnowana, wygnana, sto tysięcy osób zamordowanych, oto rezultat takiego systemu!... Ja do sali posiedzeń Zgromadzenia Narodowego byłbym wszedł całym pułkiem szwajcarów, zupełnie tak, jak wszedłem do sali Rady Pięciuset, ze wszystkimi moimi grenadjerami; zaręczam, że jeden bagnet w żołądku Mirabeau, wiele rzeczy ułożyłby w jednej chwili...

Usiadł i wyciągnął nogi do ognia.

W rogu kominka mały skrawek spopielony był wszystkim, co pozostało z dziennika londyńskiego.

Teraz jasny płomień oświecał twarz cesarza, tę twarz sfinksa, na której nie odbijał się ani gniew, ani ambicja i która oblekła się nagle dziwnym wyrazem słodkiej melancholji.

Utrzymywano, iż niepodobna było znaleźć dwóch portretów cesarza podobnych do siebie. Taka różnica nie zależała bynajmniej od artystów, lecz od modelu, którego twarz odbijała jak czysty krzystal najniższe wewnętrzne wrażenia.

Pamiętam Napoleona jeszcze młodego, przed załaniem



tluszczem rysów i przyznaje, że w spokoju, zadumie, piękniejszy był, niż wszyscy mężczyźni, których znalazem.

— Ty Talleyrand, ty nie masz ani marzeń, ani złudzeń — rzekł. — Zawsze jesteś praktyczny, zawsze zimny, zawsze cyniczny. U mnie w godzinach zmroku, lub wobec morza, wyobraźnia pracuje. Lubię także kołysać się pownemi urywkami rytmicznymi, które powtarzają się jak zwrotka... naprzykład urywki z Passaniella, przy których zawsze ossyanizuję. W takich chwilach mam szersze myśli, wyższe dążenia... Myślę o Wschodzie o tym kraju cudownym, gdzie ludu jak mrowiska, gdzie mażna być wielkim!... Zmartwychwstają projekty z roku 1798. Widzę się na czele tysięcy ludzi zbrojnych, karnych, ujarmlonych i rzucam ich na Europę... Gdyby Syryja była zdobyta, byłbym jednak to zrobił... Los całego świata byłby zdecydowany przy obleżeniu Saint-Jean d'Acree... Ujarzmiwszy Egipt, byłbym przeszedł Azję. Lecz zapóźno się urodziłem... Ażeby aspirować do tytułu zdobywcy świata, trzeba być bogiem lub bohaterem... Aleksander Macedoński mianował się synem Jowisza i wierzono mu... A dziś coby to było, gdybym ja tak zrobił?... Pan de Talleyrand śmiałby się swoim okrutnym śmiechem, a paryżanie rysowaliby moje karykatury na wszystkich murach... Nie, nie ma już wiary, nie ma zapału... nasze obecne pokolenie przychodzi na świat stare już i zgrzybiałe...

Cesarz mówił raczej do siebie, niż do nas. Duch jego błądził w fantastycznych marzeniach.

Było to właśnie tem, co on nazywał osyanizowaniem, ponieważ rozbujala imaginacja przypominała mu fantazje poety szkockiego, które ze wszystkich najlepiej lubił.

Bywało czasem, zapominał się tak przez parę godzin podczas gdy jego dworzanie, stojąc z uszanowaniem dookoła, czekali aż wrócił do stanu zwykłego.

— Monarcha — ciągnął cesarz — powinien módz się oprzec na religji, z taką samą pewnością jak na armji, gdyż

więcej zależy na panowaniu nad duszą niż nad ciałem... Czy sultan nie jest jednocześnie głową duchowną i świecką swego państwa?... Cesarze rzymscy czy nie byli razem władcami i kapłanami?... Moja władza będzie tylko urojaną, dopóki nie rozciągnie się nad wiarą moich podwładnych... Obecnie jest we Francji trzydzieści departamentów, które posłuszne są więcej papieżowi niż mnie. Otóż, utrzymuję, że tylko władza absolutna, niepodzielna, zdolna jest światu zapewnić pokój. Skoro w Europie będzie tylko jeddn władca, rezydujący w Paryżu, skoro wszystkie narody będą podległe i zależne od Francji, wtedy, panowie, spoczniemy... wtedy nie będzie już nic do roboty... Dopóki równe siły będą stać na przeciw siebie, będą walczyć dla zdobycia przewagi... Położenie Francji, bogactwo jej ziemi, wielkość historii, przynależność ją do tej wyższości... Niemcy podzielone, Anglja odosobniona na swojej wyspie, Hiszpanja, Włochy i Grecja nie idą w rachubę!...

— Anglicy — mówiłem sobie w duchu — mają rzej utrzymywać, że wojna tak długo będzie trwała, jak długo będzie żył ten mały oficer artylerji.

Constant przygotował na stole trochę zimnej kawy. Cesarz nałóż sobie w filiżankę i wypił.

Potem oparł się znów o poręcz krzesła, siedział długą chwilę nieruchomo, z brodą opuszczoną na piersi, ze wzrokiem w płomień utkwionym.

I znów zaczął głosem stłumionym:

— Królowie idą za cesarzem Francuzów... niosą ogon jego płaszcza... asystują koronacji... każdy z nich ma rezydencję w Paryżu, jak ministrowie jednego rządu... Jakie cudowne marzenie!... Choć nie zasługuje na to, rozszerzę ją jeszcze, upiększę wspaniałemi pomnikami... To dziwne, nie lubię Paryżanów... wreszcie i oni mnie nie lubią. Nie mogą mi przebaczyć, iż skierowałem na nich paszcze moich armat i wiedzą dobrze, że nie zawahałbym się zrobić to samo przy

pierwszem zaburzeniu... Zmusilem ich, aby się mnie bali, podziwiali, lecz do miłości nie zmusilem. Dlaczego?... Tyle dla nich uczynilem! Gdzie są skarby Genui, obrazy i posagi Wenecji i Watykanu? W Luwrze!... Łup moich zwycięstw posłużył do ozdoby pałaców ich i kościołów... Lecz im trzeba zmian; potrzebują się zachwycać, gadać, drwić... Biją mi dziś poklony, jutro pięśby mi pokazali, gdybym od czasu do czasu nie cisnął im zwycięstwa, jak ciska się kawał mięsa dzikim zwierzętom... Skoro skończy się wyprawa na Anglję, każę odzłocić kopulę inwalidów, to ich zajmie... Ludwik XIV. upajał ich wojną jedna za druga; Ludwik XV-ty bawił swojemi miłostkami i skandalami dworu swojego; biedny Ludwik XVI. nie umiał ich zająć, więc ucięli mu głowę... Wszak to ty, Talleyrand, prowadziłeś go na rusztowanie?..

— Nie, najjaśniejszy panie. Ja zawsze byłem umiarkowany — mówił minister ze swoją uprzejmością żołciową. — W każdym razie, najjaśniejszy panie, nie masz co żałować śmierci Ludwika XVI; ustąpił ci miejsca.

— Nicby mi nie przeszkodziło zasiąść na tronie — odparł Napoleon. — Przeznaczony byłem do najwyższego dostojenstwa... Zawsze tak ze mną było. Kiedy podpisywałem traktat w Campo-Formio, byłem dopiero generałem z niewielką sławą, zaledwie trzydziestoletnim; jednak, kiedy zobaczyłem w namiocie, gdzie byli zgromadzeni obcy dyplomaci, tron pusty z oznakami cesarskimi, usiadłem na nim natychmiast, gdyż nie mógłbym znieść, żeby ktokolwiek był wyżej po nademną. Ja mam wiedzę przyszłych wypadków; nic mnie nie spotka, czegobym nie przewidział. Kiedy z bratem moim Lucjanem żyliśmy nędznie w jednym pokoju, wydając tylko kilka franków tygodniowo, czułem, że stanę się później tem, czem dziś jestem. Jednak nic ani w terażniejszości, ani w przyszłości nie upoważniało moich nadziei. W szkole byłem średnim uczniem. Wszedłem z Brienne, 42-im na 58-u. Byłem dość mocny w arytmetyce, lecz we wszystkim innem

slaby. Co prawda, ja marzyłem, podczas kiedy inni pracowali. Żaden przykład nie działał na moją ambicję. Odziedziczyłem po ojcu tylko slaby żolądek. Pamiętam, byłem jeszcze małym, kiedy raz przyjechałem do Paryża z ojcem i z siostrą Karoliną. Szliśmy ulicą Richelieu, król przejeżdżał swoją karocą. Ktoby był pomyślał, że ten mały Korsykanin, który potrzasał kapeluszem w ręce, go góry podniesionej, będzie następcą jego królewskiej mości Ludwika XVI? Otóż przysięgam wam, panowie, że w tej samej chwili głos wewnętrzny mi mówił: „Przyjdzie dzień, w którym ta karoca do ciebie będzie należeć...” — Cóż tam znów, Constant?

Constant pochylił się do ucha cesarza i szepnął mu parę słów.

— Ależ, ma się rozumieć! — zawołał Napoleon. — Zapomniałem o tem zupełnie!... Ona tam?...

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Tu, obok, w namiocie?

— Tak, najjaśniejszy panie.

Talleyrand i Berthier zamienili spojrzenia, a minister ku drzmiom się skierował.

— Nie, nie — rzekł cesarz, zatrzymując go gestem rozkazującym — zostań tu., Constant, zapal lampy. Dopilnujesz także, żeby za pół godziny powozy były zaprzężone. Talleyrand, przejrzyj ten bruljon listu do cesarza austriackiego, wieczorem powiesz mi, co o nim myślisz. De Méneval, masz długi raport o dokach w Brest, zrób z niego wyciąg i połóż na mojem biurku jutro rano o godzinie piątej. Panie de Laval, zaczekaj, aż pojedziemy do Pont-de-Briques.

Wypowiedział te rozkazy stanowczo, wyszedł szybkim krokiem i niedługo tylko, z pod napół podniesionej franki w końcu pokoju, widniały dwie poły ubrania zielonego i nogi, obcisnięte w białe spodnie.

Doszedł mnie szmer jedwabiu, różowe światło i to było wszystko; portjera zapadła.

Berthier w kącie ogryzał paznokcie: Talleyrand patrzył na niego z ironją; de Méneval z miną, jaką ma dziecko, schwywane na uczynku, kiedy macza palec w konfiturach, dumal nad plikiem papierów.

Constant, zawsze cichy i dyskretny, zapalał świece.

— Kto to jest? — zapytał minister.

— Ta panna z opery — mruknął Berthier.

— Więc ta mała Hiszpanka już w nielasce?

— Nie sądzę; jeszcze wczoraj była tu...

— A ta druga hrabina?

— Mieszka w Ambleteuse.

— „Panowie, bardzo proszę, bez skandalów na dworze” — drwił Talleyrand z gorzkim uśmiechem.

Pamiętał, jaką naukę dał cesarz swemu otoczeniu, a przedewszystkiem jemu samemu.

— Ale, ale, panie de Laval — rzekł, zbliżając się do mnie — jak stoi partja Bourbonow w Anglii? Jakie ma widoki, jakie projekty? Czy myślą o szansach powodzenia?

W przeciągu dziesięciu minut zadał mi tysiąc pytań, wyciągnął tysiąc objaśnień. Przekonałem się, że cesarz dobrze osądził. Pan de Talleyrand nie był przyjacielem w nieszczęściu i przeciwnościach; on zawsze i napewno pójdzie za tym, przy kim będzie siła i zwycięstwo.

Rozmawialiśmy jeszcze kiedy wpadł Constant pomieszany i wzburzony, co było rzeczą niesłychaną u człowieka z jego charakterem.

— Co takiego, Constant?

— A to, a to, że ja oszaleję!.. Nieszczęście, Boże, jakie nieszczęście!..

— Powiedz-że raz, Constant...

— Ach! panie de Talleyrand, nie śmiem przeszkadzać cesarzowi, a jednak...

- A jednak co?
- A jednak co?..
- Cesarzowa jest tu!.. Idsie za mną!

## XIV.

## Józefina.

Talleyrand i Berthier, zmieszani nieoczekiwaną wiadomością, patrzyli na siebie z osłupieniem.

Niepokój rozlany na twarzy ministra dał mi poznać, że niezupełnie był niezuchy. Lecz dobry obserwator byłby odkrył więcej ironji, niż pomieszania w mrugających powiekach, w skrzywieniu wąskich bladych warg.

Berthier przeciwnie, u niego znać było zmartwienie, pochodzące z prawdziwego przywiązania, prawie boleść psa wiernego, który czuje, że pan jego w niebezpieczeństwie.

Pobiegł do drzwi, jak gdyby chciał zagrozić przejście cesarzowej.

Constant zaś rzucił się do portjery oddzielającej pokój sypialny Napoleona, od jego gabinetu i wyciągniętymi rękami przyciskał ją szczelnie do ściany.

Naraz puścił firankę i zbliżył się do pana de Talleyrand.

— Co robić, panie ministrze? — belkotal głosem bezdźwięcznym.

Biedny Constant, zawsze taki spokojny, na swoim miejscu, wydawał się jak kompletny warjat.

— Zapóźno, nie można przeszkodzić wejść cesarzowej...

Rzeczywiście w tej samej chwili mameluk Rustan otworzył drzwi i dwie damy weszły do pokoju.

Pierwsza wysoka i smukła; twarz miała ujmującą i uśmiechniętą, postawę majestatyczną, ułożenie uprzejme.

Ubrana była w płaszcz czarny aksamitny z białymi kokardkami i czarny kapelusz przybrany piórami.

Towarzyszka jej była mniejszego wzrostu i pospolitszego

wyglądu, pomimo prześlicznych oczu podłużnych, w ślicznej oprawie, jak oczy gazeli.

Dama w aksamitnym płaszczu trzymała na wstążce bardzo ładnego małego fox-teriera.

— Nie powinnyśmy były przyprowadzać Fortuny — rzekła głosem bardzo harmonijnym, oddając psa mamelukowi; cesarz psów nie lubi, a kiedy pomimo zakazu dostałyśmy się do głównej kwatery, szanujmyż przynajmniej jego upodobania. Ach! dobry wieczór, panie de Talleyrand! Pani de Remusat i ja spacerowałyśmy powozem po południu wzdłuż wybrzeża, a przejeżdżając koło obozu, wstąpiłyśmy dla dowiedzenia się, czy cesarz będzie dziś wieczorem w Pont-de-Briques.

— Jego cesarska mość był tu jeszcze przed minutą — rzekł pan de Talleyrand z ukłonem.

— Wydaje bal dziś wieczorem — mówiła cesarzowa — bal, jaki może być w takiej wiosce jak Pont-de-Briques; cesarz obiecał, że choć raz porzuci swoje zajęcia i zaszczyci go swoją obecnością. Proszę cię, panie de Talleyrand, wyperswadowuj mu, żeby mniej pracował!.. Prawda, ma on żelazną wytrzymałość, lecz ciągle tak być nie może... Ataki nerwowe coraz częściej się powtarzają. Głuche sam wszystko robić, to bardzo pięknie, zgadzam się, lecz to przechodzi siły ludzkie. To też, jestem pewna, że nawet w tej chwili... Ale, ale, panie de Talleyrand, nie powiedziales mi jeszcze, gdzie on jest?..

— Ależ... oczekujemy go, wasza cesarska mość... tak... oczekujemy co chwila.

— Więc w takim razie i ja zaczekam.

Cesarzowa usiadła i zwracając się w stronę, gdzie nieśczęśliwy sekretarz pisał z grzbietem pochylonym:

— Ah! kochany panie de Méneval — zawołała — żałuję cię bardzo, że musisz być ciągle pomiędzy temi papierami! Cesarz niepokieszony po stracie pana de Bourienne.

Jednak sędzę, że zastępujesz go pan z korzyścią... Zbliź-że się do ognia, pani de Remusat.

A że dama honorowa skłoniła się z uszanowaniem na zaproszenie:

— Tak, tak, zbliź się, ja tak chcę — nalegała — musisz być zziębiona!... Constant, połóż koldrę na nogach pani de Remusat.

Przez tę uprzejmość i życzliwość cesarzowa zdobywała wszystkie serca. Nie miała wcale nieprzyjaciół we Francji, nawet między największymi przeciwnikami charakteru i polityki Napoleona.

Bądź jako żona największego człowieka w Europie, bądź jak kobieta rozwiedziona i nieszczęśliwa, była zawsze kochana i szanowana.

Ze wszystkich poświęceń, jakie nakazał sobie Bonaparte, ażeby dojść do zamierzonego szczytu wielkości, poświęcenie żony kosztowało go najwięcej walki, a potem żalu.

Siedzącą teraz przed ogniem, w miejscu, które cesarz przed chwilą zajmował, mogłem do woli obserwować.

Dziwne przeznaczenie tej kobiety!...

Córka skromnego porucznika artylerji, przeszła szybko wszystkie stopnie drabiny społecznej i była teraz równą cesarzowej austriackiej, królowych Hiszpanji i Anglji. O sześć lat starsza od cesarza, miała tedy w owym czasie czterdzieści dwa lata; lecz z niejakiej odległości i przy słabem świetle, można było powiedzieć bez pochlebstwa, że wyglądała na trzydzieści.

Postawa giętka i szczupła, w każdym poruszeniu wdzięk naturalny, łatwy, zdradzał pochodzenie kreolki. Rysy twarzy drobne i delikatne; utrzymywano, że w młodości była niezwykle piękną, lecz jak wszystkie kobiety z kolonij, zwiędła przedwcześnie.

Oddawna już sztuka i natura walczyła u niej zawzięcie, a zwycięstwo było niepewne; zdaleka bowiem, na tronie, lub



w powozie cesarzowa zasługiwała jeszcze na nazwę ładnej kobiety, zbliżona zaś, przy jasnym świetle, róż nie krył płci pozbawionej świeżości, zmarszczek na czole i zwiędłych powiek.

Wszystko, co posiadała jeszcze z tej piękności, zbiegło się do oczu czarnych, głębokich, świetlanych. Usta były także jeszcze miłe; lecz cesarzowa rzadko się śmiała, gdyż miała brzydkie zęby.

Co do postawy, ta była pełna godności, jak gdyby Józefina pochodziła z krwi Karłowiców lub św. Ludwika. Chód, spojrzenie, sposób odrzucania trenu u sukni, ruchy rąk białych i wykwinnych, cała wreszcie osoba przedstawiała słodycz kobiecą, połączoną z majestatem królewskim.

Patrzyłem na nią wzruszony i oczarowany, kiedy rozmawiała z panem de Talleyrand, schylając się niekiedy dla podniesienia kawałków drzewa aloesowego, które rzuciła w ogień.

— Napoleon lubi bardzo zapach aloesu palącego się — rzekła. — Nikt tak nie ma rozwiniętego powonienia jak on; czuje najsubtelniejsze perfumy.

— Ależ cesarz ma powonienie rozwinięte do wszelkiego rodzaju spraw — odezwał się minister — dostarczyciele dworu wiedzą, co o tem myśleć.

— Oh! nie mów pan o tem! Skoro zaczną sprawdzać rachunki, nieznośny jest wtedy. Nie przed nim nie ujdzie. W dodatku nie ma najmniejszego pobłażania... Ah! kto jest ten młody człowiek, panie de Talleyrad; nie przedstawiłeś mi go jeszcze?

Minister wyjaśnił w kilku słowach moje położenie.

— Pan de Laval został tylko co przyjęty do osobistej służby jego cesarskiej mości — dodał.

Cesarzowa powinszowała mi bardzo miło i uprzejmie.

— Szczęśliwa jestem — rzekła — jak widzę przy nim ludzi znacznych i uczciwych. Od czasu wypadku z maszyną pieklelną, ciągle jestem niespokojna. Doprawdy, wtedy tylko

czuję, że jest bezpieczny, jak jest ze mną, albo wśród swojej armji. Zdaje się, że odkryto nowy spisek jakobinów?

— Tak, najjaśniejsza pani, pan de Laval był obecny aresztowaniu spiskowców.

Mówiąc to, usunął się trochę, a jak zbliżyłem się o kilka kroków do cesarzowej.

Zarzuciła mnie pytaniami, zaledwie dając czas na odpowiedź.

— Lecz ten straszny Toussac nie został jednak ujęty! — zawołała. — Czy pan wie, że jedna młoda dziewczyna zaczęła go poszukiwać? Spodziewa się dostawić go cesarzowi i w ten sposób otrzymać ulaskawienie narzeczonego.

— Ta młoda dziewczyna, najjaśniejsza pani, to jest Sybilla Bernac, moja siostra cioteczna.

— Oh! czy być może!... Panie de Laval — ciągnęła Józefina po malej pauzie — jesteś we Francji dopiero od kilku dni, a już stałeś się przedmiotem wszystkich rozmów. Musisz przyprowadzić mi twoją kuzynkę; cesarz mówi, że jest bardzo ładna. Pani de Rémsat, bądź łaskawa, zapisz jej nazwisko w swoim notatniku.

Nachyliła się jeszcze dla podniesienia kawałka drzewa przy kominku, lecz nagle wykrzyknęła zdziwiona i rzuciła się na przedmiot kształtu podłużnego, zasłonięty dotąd nogami pana de Talleyrand.

— Kapelusz cesarza! — krzyknęła powstając blada jak śmierć.

Wpatrzyła się na chwilę w nieprzenikniętą twarz ministra, potem zawołała z gniewem:

— Co to znaczy, panie de Talleyrand?... Mówisz, że cesarz wyszedł, a oto jego kapelusz!...

— Ah! przepraszam waszą cesarską mość, nie powiedziałem wcale, że cesarz wyszedł.

— A więc co powiedziałes?

— Powiedziałem: „Jego cesarska mość był tu przed minutą“.

— Kryjesz coś przedemną — rzekła z nieomylną intuicją kobiecą.

— Nie, wasza cesarska mość, powiedziałem to, co wiedziałem.

Józefina spoglądała kolejno na Talleyranda, na Berthier'a, a potem na mnie, jak gdyby chciała odgadnąć to, co źle ukrywały nasze powstrzymywane uśmiechy i postawy wprawione w osłupienie.

— Marszałku Berthier — rzekła w końcu głosem rozkazującym — chcę, żebyś mi powiedział, gdzie jest cesarz i co robi?

Marszałek, który zwykle miał umysł dosyć ciężki, powiedział kilka słów niezrozumiałych, kręcąc w grubych palcach kapelusz, potem odzyskując trochę spokoju:

— Ja... ja... ja nie wiem więcej, niż pan de Talleyrand — wykelkotal. — Cesarz nas... nas opuścił może przed trzema minutami.

— Któreymi drzwiami wyszedł?

Tym razem Berthier stracił głowę zupełnie.

— Lecz, wasza cesarska mość, ja... ja nie mogę, nie mogę... nie powinienem... niepodobna mi powiedzieć...

Wtedy cesarzowa we mnie wzrok utkwiała.

Wielki Boże, czy i mnie będzie badać? Lecz Józefina zwróciła się nagle do damy honorowej.

— Chodźmy, pani de Remusat — rzekła gwałtownie — ponieważ ci panowie nie chcą nic powiedzieć, obejdzimy się bez nich.

Skierowała się do portjery, strzeżonej ciągle przez Constant'a, a za nią kilka kroków dama honorowa, której twarz pochmurna i chód ociągający, zdradzały, iż bez entuzjazmu wykonywała żądanie cesarzowej.

Słyszałem w Ashfor opowiadania o niewierności Napoleona i o skandalach, jakich się dopuszczał.

Cesarz ze swoją dumą i pogardą opinji, bez żadnego wstydu rozpościerał swoje sprawy prywatne; ze swej strony Józefina, kiedy ją zazdrość uniosła, zapomniała o wszelkiej ostrożności i godności i w ten sposób oboje bardzo przykre chwile sprawiali swemu otoczeniu.

Talleyrand obrócił się do ściany z palcem na ustach. Berthier zaczął gryść paznogie z wściekłością.

Constant tylko próbował stanąć pomiędzy cesarzową i fatalną portjera.

— Jeżeli wasza cesarska mość raczy zaczekać, zawiadomię cesarza o jej przybyciu rzekł łagodnie.

— A więc on jest tu! — krzyknęła Józefina. — Rozumiem teraz wszystko... tak, wszystko!... A zatem sama mu wyrzucę jego wiarołomstwo! Ustąp, daj mi wejść. Constant!... Jakto, ty śmiesz mi przeszkadzać?...

— Niech wasza cesarska mość pozwoli przynamniej, że ją oznajmię!... — błagał Constant.

— Nie, ja sama się oznajmię!

I odepchnąwszy nieszczęsnego intendenta, rczsunęła firanki i znikła za niemi.

Rozkazujący głos cesarzowej, zaczerwienione policzki, oczy ciskające płomienie, dały mi mniemanie, że to była kobieta energiczna i silnego charakteru, gotowa odzyskać męża przeciw wszystkim lub zemścić się okrutnie za zniewagę wyrażoną.

Lecz przeciwnie, ona była tylko istotą słabą i kapryśną. Posłuszna tylko pierwszemu popędowi; po uśmierzeniu gniewu, zapadała w zupełną apatię.

Odwaga u niej graniczyła z tchórzowstwem.

Naraz rozległo się coś nakształ ryku, coś podobnego do ziewania szakala i prawie zaraz cesarzowa wpadła, a za nią Napoleon.

W podnieceniu wielkiem pobiegła aż do kominka, gdzie uprzedziła ją pani de Remusat.

Obydwie upadły na krzesła i skuliły się, jak zmokłe kurki, podczas gdy cesarz tupał nogami, gęstykulował i rzucił przekleństwa :

— Ty, Constant, ty!... — krzyczał. — Oto jak mi słyszysz!... Czy nie masz już rozumu w głowie! A ja, czy skazany jestem na wieczne szpiegostwo żony?... Wszyscy ludzie mają swobodę we Francji, wyjąwszy cesarza!... Ah! Józefino, tym razem skończone wszystko pomiędzy nami. Wczoraj jeszcze wachalem się, czy ciebie odepchnąć, dziś, mam już postanowienie niezłomne.

My wszyscy obecni tej scenie dalibyśmy dużo za to, żeby skryć się w jaką dziurę.

Co do cesarza, jego nasza obecność tyle obchodziła, jak gdybyśmy byli sprzętami.

Było to jego zwyczajem maltretować publicznie swoich oficerów, swego sekretarza, a nawet żonę.

Nagany, wymysły, udzielane w ten sposób wydawały się jeszcze cięższe temu, kto je odbierał.

Nikt z otoczenia nie mógł uniknąć tej strasznej tortury, ażeby być postawionym pod pręgierz wobec tłumu.

Józefina niezdolna odpowiedzieć na taki potok wyrzutów, płakała z rękami na twarzy, z ładną szyją pochyloną na kolana.

Pani de Remusat płakała także, a skoro cesarz zamilkł na chwilę, slychać było stłumione łkanie obydwóch kobiet.

Od czasu do czasu cesarzowa odwarzyła się zrobić nieśmiałą uwagę o niewierności małżonka, lecz to pobudzało go więcej.

W punkcie kulminacyjnym uniesienia doszedł do takiej pasji, że cisnął szyldkretową tabakierkę na ziemię i zmiażdżył ją obcasem, jak rozkapryszone dziecko niszczy zabawkę.

— Moralność!... — krzyknął głosem dzikim. Ależ mo-

ralność nie dla mnie stworzona, ani ja dla moralności!... Mówiłem ci, Józefino, że jestem istotą wyjątkową, że prawa krępujące innych ludzi, nie istnieją dla mnie, że głupie zasady obowiązujące *glupich*, mogą tylko przeszkadzać geniuszowi... Nigdy postępowania mojego nie zostosują do regul społeczeństwa idjotycznego!

— Więc nie masz chyba żadnego uczucia honoru, uczciwości? — westchnęła cesarzowa.

— Wielcy ludzie nie mają wcale uczuć. Co postanowię to zrobię. a nikt nie ma prawa stawiać i przeszkód. Ty Józefino, powinnaś być pierwszą do ulegania moim fantazjom... To jest twoja rola.

Kiedy Napoleon nie miał racji, zmieniał nagle przedmiot rozmowy i stawał odpornie, wpierw nim jego przeciwnik miał czas skorzystać ze swego położenia.

Miał instykt atakowania w bitwie tak samo, jak w rozmowie.

— Ale, ale, Józefina — zaczął po chwilowej pauzie — przejrzałem rachunek panny Lenormand. Wiesz ile sukien miałaś w przeszłym roku? Sto czterdzieści! Wiesz ile prawie każda kosztuje?... Dwadzieścia pięć tysięcy franków!... Masz obecnie więcej niż sześćset tualet prawie nowych.

A kiedy Józefina chciała protestować:

— Czy nie mam racji, pani de Remusat?

Pani de Remusat pochyliła się, jak gdyby, jej cesarz włożył na kark sześćset sukien.

— Lubisz, żebym była dobrze ubrana, Napoleonie! — jęknęła cesarzowa.

— Tak, lecz przesadzasz w wydatkach, moja kochana. Tylko za to, co kosztują twoje futra, mógłbym uzbroić dwa pulki kirasjerów i wyekwipować dziesięć fregat. W dodatku, jakim prawem obstalowałaś u Lefbre'a ten garnitur z szafirów i brylantów?... Przysłał mi rachunek; odmówiłem zapłaty... Jeżeli drugi raz przysył, każe go zaprowadzić do Vincen-

nes pod silną eskortą grenadierów... Twoja modystka będzie mu towarzyszyć.

Napoleon wdadał łatwo w straszny gniew, lecz nie długotrwały. Ruchy rąk konwulsyjne ustawały stopniowo. Rzucił okiem na robotę de Méneville'a, który podczas całego hałasu, nie przestawał pisać jak automat, potem wrócił do kominka, z czołem rozpozgodzonym, z uśmiechem na ustach.

— Nie masz żadnego tłumaczenia, Józefino — rzekł, kładąc rękę na ramieniu cesarzowej. — Przy twojej piękności, czy potrzebujesz tyle stojów i świecidel? Nie byłaś taką elegantką kiedy pierwszy raz byłem u ciebie w małym domku przy ulicy Chantierine; jednak, przysięgam, żadna kobieta na świecie nie była tak powabną... W dodatku... w dodatku, po co irytujesz mnie ciągle twoją głupią zazdrością?... Dlaczego ranisz mnie ciągle twojemi słowy?... No, moja malutka, wracaj do Pont-de-Briques i uważaj, żebyś się nie zaziębila.

— Przyjedziesz na moje wieczorne przyjęcie, Napoleonie? — zapytała cesarzowa, która już o wszystkim zapomniała z powodu pieczyoty męża.

Trzymała jeszcze chusteczkę przy oczach i starała się w ten sposób pokryć róz, który sphywał ze łzami.

— Tak, tak, przyjadę. Moje powozy pójda niedługo za twoim Constant, odprowadź te panie do karety. Marszałku Berthier, rozkazałeś żołnierzom siadać na okręty jutro rano?... Talleyrand, zostań, przedstawię ci moje projekty co do Hiszpanii i Portugalii. Ty zaś, panie de Laval, jedź z cesarzową zobaczę cię dziś wieczorem.

## XV.

### Przyjęcie u cesarzowej.

Pont-de-Brique — to tylko mała wioska.

Nagle przybycie cesarzowej i dworu napelnilo ją niezwykłym ożywieniem.

Podług mojego zdania, prościej było osiedlić się w Bo-

ulogne, gdzie przynajmniej znalazłoby przyzwoite mieszkanie dla oficerów i wysokich dygnitarzy; lecz Napoleon przeznaczył Pont-de-Briques na rezydencję i udano się do Pont-de-Briques a słowo niepodobieństwo nie było nigdy wymówione przez tych którym polecono wykonać wolę cesarza.

W kilka dni, armja tapicerów, malarzy, ogrodników i dekoratorów przeobraziła miasteczko.

Niedługo, potem ukazali się ministrowie i szambelani; następnie damy dworu i ich wielbićiele, w końcu damy honorowe Józefiny i jej służba.

Co do cesarzowej, ta mieszkała w dość ładnym zamczku i miała względne wygody; lecz dwór i urzędnicy rozmieszczeni w brzydkich domostwach, żalowali bardzo zbytku Tuileries i Fontainebleau.

Józefina ofiarowała mi miejsce w swojej karecie.

Przez całą drogę rozmawiała z ożywieniem; zdawało się, że zapomniała o gwałtownej scenie z mężem.

Wypytywała mnie o różne sprawy. Okazywała zawsze życzliwą ciekawość wszystkiego, co obchodziło osoby z jej otoczenia. Zajmowała się przedewszystkiem Eugenją.

Dla mnie nie mogło być nic przyjemniejszego i wyglądałem hymny pochwalne na cześć panny Eugenji de Choiseul, przerywane jedynie wykrzyknikami cesarzowej i srebrnym uśmiechem pani Remusat.

— Mam nadzieję, że sprowadzisz ją pan nasz dwór! —  
— zawołała Józefina. — Taka piękna i cnotliwa panienska nie powinna pozostawać w Anglii... Czy mówiles pan o niej z cesarzem?

— Cesarz wie wszystko, co mnie dotyczy, wasza cesarska mość.

— On wie wszystko! — szepnęła cesarzowa. — Co za człowiek!... Słyszałeś pan, co mówił przed chwilą o tym garniturze z brylantów i szafirów?... Lefebre przysiągł nie rozgłaszać naszej umowy i pozwolić mi zapłacić z moich oszczęd-



dności... Cesarz odkrył wszystko!... A co powiedział, dowiedziawszy się o zobowiązaniu pana z panną de Choiseul?

— Powiedział, najjaśniejsza pani, że moje małżeństwo od niego zależy.

Józefina pokiwała głową, wzdychając.

— Zatem, to jest bardzo poważne, panie de Laval. Cesarz zdolny jest zmusić pana do ożenienia się z córką jednego ze swoich generałów. A skoro postanowi takie małżeństwo, ani pan, ani panna de Choiseul nic na to nie pomożecie. Widziałam go, kojarzącego bardzo dziwne pary. Jednak, liczę na panie; rozmówię się z nim w tym przedmiocie przed powrotem do Paryża.

Dziękowałem jeszcze cesarzowej za jej dobroć, kiedy kareta się zatrzymała przed budynkiem dobrze wyglądającym.

Grenadjerzy pod bronią, lokaje w dworskiej liberji, wszystko to dało mi poznać, że jesteśmy u cesarza.

Józefina i pani de Remusat poszły zmienić tualety. Mnie zaś wprowadzono zazaz do salonu, pełnego już osób zaproszonych.

Salon był duży, kwadratowy, umeblowany bardzo skromnie, jak zwykle bywają salony na prowincji.

Papier na ścianach szaro-popielaty, krzesła i fotele z ciemnego machoniu, obite niebieskim kretonem wyblakłym.

Lecz wielka ilość świec w żylandolach i świecznikach, nadawały mu pozór uroczystości.

Z boków wielkiego salonu były małe buduary z ustawionymi stolikami do gry w karty; drzwi do buduarów udrapowane materją algierską.

Olśniło mnie na razie wielkie światło, ruch mundurów ugalowanych, czarnych i niebieskich ubrań, gwiazdy, ordery itp. Niektóre panie miały suknie pod szję, sancjonowane przez cesarza. Wszystkie przystrojone masą koronek, wstążek, piór i brylantów, co dziwny kontrast stanowiło z kazaniem Napoleona o oszczędności

Faktem jest, że cesarz wymagał, aby kobiety były bardzo bogato ubrane, kiedy miały ukazywać się u dworu.

Moda ówczesna wreszcie, dawała szerokie pole elegancji. Ubrania skromne i klasyczne, znikły razem z Rzeczpospolitą. Dla przydobania się młodemu zdobywcy Egiptu, przyjęto suknie wschodnie. Salony, w których panowała przez krótki czas surowość starego Rzymu, zmieniły się w haremy.

Pewny, że nie spotkam żadnej twarzy znajomej. wciśnąłem się w ką. Jakież było moje zdziwienie, gdy naraz poczulem, że mnie ktoś za rękaw ciągnie!

Obrocilem się i zobaczyłem wuja Bernac. Pochwycił mnie za rękę pomimo mej woli i ścisnął z tą fałszywą serdecznością, która sprawiała mi wstręt nieprzezwyciężony.

— Kochany Ludwiku — odezwał się — dla ciebie tu jestem.

A ponieważ zrobiłem minę niedowierzającą:

— Bez wątpienia — dodał — mieszkając zawsze daleko od Paryża i dworu, nie mogłem opuścić sposobności pokazania się na takim jak te przyjęcia; lecz wierz mi, głównie dlatego przybyłem, żeby się z tobą rozmówić. Zdaje się, że cesarz dobrze cię przyjął i przeznaczył do swojej prywatnej służby. Poleciłem cię jego życzliwości i dałem do zrozumienia, że traktując cię z należytemi względami, skłoni może więcej synów emigrantów do powrócenia do Francji.

Przekonany byłem, że kłamał. Jednak ukloniłem się mrużąc parę banalnych słów podziękowania.

— Widzę, że nie zapomniałeś o naszym zajściu przed kilku dniami — zaczął — i masz do mnie urazę... Nie masz racji, kochany Ludwiku, gdyż ja tylko twego szczęścia pragnę. Nie jestem już ani zdrow, ani młody; zajmuję stanowisko niebezpieczne; więc majątek mój ofiaruję tobie, a co jeszcze więcej, córkę moją jedyną... Zaręczam, że Sybilla jest kobietą doskonałą. Żle ją osądziłeś ostatnim razem. Nie mogła powstrzymać przy tobie wybuchu gniewu, bardzo naturalnego

wreszcie, ponieważ dowiedziała się o aresztowaniu narzeczonego. Lecz powróć do Grosbois, odnowisz z nią znajomość, a niebawem zmienisz o niej zdanie.

— Nie mam żadnego zdania o Sybilli — odparłem obojętnie. — Proszę cię raz na zawsze, kochany wuju, nie mów więcej o projekcie, który mi się nie podoba.

Zamilkł; potem podniósłszy twarz swoją, napozór obojętną:

— A więc — rzekł z wielkim spokojem — niechże nie będzie już o tem mowy. W każdym razie nie będziesz się gniewał, że chciałem zrobić ciebie moim spadkobiercą? No, Ludwiku, bądź rozsądny! Przyznajesz, wszak prawda, że gdyby nie ja, byłby cię Toussac zadusił?...

— Miałeś w tem interes, żeby mi życie ocalić — odpowiedziałem.

— Być może, lecz niemniej jest prawdą, że cię ocaliłem. Dlaczego chowasz do mnie urazę?... Czy dlatego, że posiadam Grosbois?

— Nie, zaprawdę, nie to mam do wyrzucenia...

— A więc cóż takiego?

Czy mogłem mu powiedzieć, że ruinę mojego ojca, śmierć jego ojca, śmierć jego, zdrady i hypokryzję?

Nie, salon cesarza nie był miejscem właściwym do kłótni rodzinnych. Wzruszyłem tylko ramionami, bez odpowiedzi.

— Bardzo mi przykro! — westchnął. — Miałem najlepsze zamiary; mógłbym dopomóc ci w karierze. Mało ludzi we Francji posiada większy wpływ na cesarza, niż ja... A jednak, zanim się rozstaniemy, mam do ciebie prośbę.

— Jaką, wuju?

— Rzecz jest taka — mówił po chwilowem wahaniu — w Grosbois zaajduje się kilka przedmiotów, które należały osobiście do twojego ojca; spada, pieczęć, tabakierka, małe biurko pełne listów... sądzę, że będziesz szczęśliwy mając je u siebie.

Przytaknąłem głową.

— Proszę zatem, kochane dziecko, przyjedź do Grobois w tych dniach dla wybrania drobnostek jakie będziesz chciał zabrać. Nie odmawiaj, toby mi wielką przykrość sprawiło.

— Przyjadę, wuju.

— Kiedy? — zapytał.

Coś w brzmieniu jego głosu, w wyrazie siwych oczu, obudziło we mnie podejrzenie straszne. Przypomniałem sobie ostrzeżenie Sybilli.

— Skoro dowiem się, jakie będą moje obowiązki przy cesarzu — odpowiedziałem.

— Zatem, w przyszłym tygodniu? — rzekł niezadowolony. — Ah! Ludwiku, czekam cię z niecierpliwością... Wydaje mi się, że sumienie będę miał spokojniejsze, skoro zwrócę ci te przedmioty.

Uścisnął mi rękę i wsunął się w tłum, c... bardziej zwały.

Stałem, rozmyślając nad zaproszeniem wuja, gdy naraz usłyszałem wymówione moje nazwisko.

Podniosłem oczy i zobaczyłem pana de Caulincourt.

— Otóż pierwsze twoje ukazanie się na cesarskim dworze, panie de Laval!... — zawołał z wesołością, która odrazu wpływała dobrze na zaczepionego. — Wszystko jedno, nie będziesz wcale odosobniony dziś wieczór. Są tu starzy przyjaciele twojego ojca, którzy będą zachwyceni ze zrobienia znajomości z panem... Widziałeś już niektórych wysokich dostojników?...

— Tak, widziałem marszałków w sali obrad: Ney'a z twarzą boksera angielskiego, Lefebvre'a z ustami kaimana i Bernadotte'go, u którego nos dominuje.

Caulincourt uśmiechnął się.

— A więc — rzekł — oto jest Rapp, także z głową, okrągłą jak bania i Janot, ten śliczny chłopiec z czarnymi faworytami. Ci dzielni wojownicy, jacy oli nieszczęśliwi!

— Dlaczego ?

— Dlatego, że wszyscy są niskiego pochodzenia i że etykieta dworska ich przeraża. Wiesz pan, że dla nich to prawdziwe męczeństwo stać całymi godzinami w obramowaniu drzwi, z kapeluszem pod pachą, lub zaplątywać ostrogi w ogony sukni dam, albo też jeszcze krytykować obrazy Dawid'a i muzykę Passaniella. Cesarz każe im być żołnierzami w armji, a dworakami na dworze swoim; lecz to silniejsze od nich, biedaczyska są wszędzie żołnierzami. Patrz pan, Rapp, który uiliuje umizgać się do tej ładnej blondynki... Masz tobie, byłem tego pewny!... Powiedział jakiś żart z korderardy i dziewczyna ucieka do matki. On zaś drapie się w głowę i pyta się siebie, czem mógł ją obrazić ?

— Kto jest ta młoda kobieta, ubrana biało, z masą brylantów we włosach ?

— To jest pani Murat, siostra cesarza. Karolina Bonaparte jest bardzo piękna, lecz nie tak jeszcze, jak jej siostra Marja, która siedzi tam, na lewo. Niemłoda dama, z którą rozmawia w tej chwili, to matka Napoleona, kobieta, odznaczająca się wielką inteligencją. Rozumna, dzielna, nakazuje wszystkim szacunek. Nie jest to dla nikogo tajemnicą, że żyje tak samo w Paryżu, jak żyła na Korsyce, oszczędnie do skąpstwa, gdyż ma przekonanie, że gwiazda jej syna nie ciągle będzie jaśniała jednakowym blaskiem i że dawne czasy powrócą.

— Co mówi cesarz o złowrogich przeczuciach matki ?

— Może nie wie o nich... No, cóż ! Murat, kiedy będziesz galopował po przez plantacje chmielowe księcia Kent ?

Murat przyszedł właśnie i stanął przed nami.

Uściskał za rękę pana de Caulincourt. Postawa wyniosła, mina okazała i majestatyczna, wspaniale oczy tego posługacza, z oberży, wystarczały do zwrócenia na niego uwagi.

Bylby na swoim miejscu w każdym, dostojnym zebraniu europejskiem. Las czarnych, wijących się włosów, pełne, karminowe usta dodawały wdzięku męskiej jego piękności.

— Utrzymują — rzekł — że Kent jest bardzo złym terenem dla kawalerji. Drogi dobre, lecz poła niemożebne. Ah! mam nadzieję, że wyruszmy niedługo, panie de Caulincourt; w przeciwnym razie żołnierze nasi staną się ogrodnikami, nauczą się siać, kopać, grabić, polewać, lecz nie umieją już prawie robić szablą, a ociężali, jak worki z ołowiem, kiedy szaczą na siodło. Zdaje się, że armja wsiada na okręty jutro?..

— Tak; tylko żeby nie popełniono omyłki, jak za pierwszym razem!... — mruknął de Caulincourt. — Podług mnie, jeżeli de Villeneuve nie rozpedzi floty angielskiej, nie wiem doprawdy, z której strony możnaby wylądować w Anglii. Bonstant mówił mi, że dziś rano cesarz przy ubieraniu gwizdał „Malborougha“: to zwiastuje coś nowego.

— Sacrebleu! Constant ma szczęście, odgadł, że cesarz gwizdał „Malborougha“ — zawołał Murat ze śmiechem — jego cesarska moc niezmiennie gwizdże wszystko na nutę „Marsyljanki!“ Ah! panowie, oto cesarzowa... Zachwycająca jest dzisiaj!...

Wszyscy powstali; Józefina wchodziła, a za nią kilkanaście dam honorowych.

Miała na sobie suknię z różowego tiulu, usianą srebrnymi gwiazdami; toaleta trochę teatralna, lecz w której było jej cudownie. We włosach wpięta egreta brylantowa, kołysała się wdzięcznie za każdym krokiem cesarzowej.

Żadna z panujących lepiej od niej się nie przedstawiała. Przechadzała się wśród tłumu z uśmiechem na ustach, z uprzejmem słowem dla tych wszystkich, do których się zbliżała. Otaczała ją, jak cudna woń, jakaś radość, która rozjaśniała czoła, kazała milknąć urazom, uciszała ambicje.

— Jaka wykwintna, niezrównana kobieta! — zawołałem. — Nie można się oprzeć, żeby jej nie kochać.

— Tak... Jednej tylko rodziny nie może zdobyć wdziękiem i dobrocią — rzekł półgłosem pan de Caulincourt, przekonawszy się wprawdzie, że Murat nas nie słucha. — Przypatrz się pan siostrom Napoleona.

Oslupiałem, zobaczywszy wyraz nienawiści, z jakim księżna Karolina i Marja spoglądały na cesarzową. Co minutę nachylały się do siebie, aby szeptać i drwić złośliwie. Pani Murat obróciła się raz do matki, siedzącej za nią. Stara dama wzruszyła głową z pogardą.

— Nie mogą jej darować, że jest „jej cesarską mocią“ — zaczął de Caulincourt. — Nienawidzą jej wszyscy: Józef, Lucjan, Ludwik, Hieronim, wszyscy wreszcie!... W dzień koronacji, kiedy te damy trzymały tren jej sukni, próbowały tak zrobić, żeby upadła: cesarz musiał temu zapobiedz. Dla nich, Napoleon jest ich własnością, ich rzeczą; nie znoszą podziału. Ah! kochany de Laval, ci ludzie, to prawdziwi Korsykanie!...

Józefina, na złość kwaśnym spojrzeniem sióstr męzkowskich, nie przestawała krążyć po salonach, spokojna i pogodna.

Przy niej szedł mężczyzna z twarzą, słońcem spaloną i z dużymi wąsami. Od czasu do czasu cesarzowa brała go pod rękę ruchem pieśczośliwym.

— To syn jej, Eugenjusz Beauharnais — rzekł do mnie de Caulincourt.

— Jej syn?... Ależ on wydaje się starszy, niż ona!...

Towarzysz mój śmiał się po cichu.

— Bardzo młoda była, kiedy wyszła za generała Beauharnais — rzekł — miała zaledwie lat szesnaście.. W dodatku, kiedy ona spędzała dni, leżąc na sofie, syn jej bił się w Egipcie i w Syrii; praca, walka, trudy i zmęczenie, wyrównały różnicę wieku... Widzisz pan tę osobistość o twarzy

wygotonej, która całuje rękę cesarzowej?... To jest Talma, tragic. Zobowiązał kilka razy Napoleona, w trudnych dla niego chwilach. Cesarz nie zapomina dęgow, zaciągniętych przez Pierwszego Konsula. To także jest siłą pawa de Talleyrand. Pożyczył Bonapartemu sto tysięcy franków na kampanję egipską. Napoleon nie przebacza nieprzyjaciolom, ale za to nie opuszcza przyjaciół. Ci, co oddali mu usługę, mogą liczyć na jego wdzięczność. Ma jednego ze swoich stangretów, który pijany jest od rana do nocy; nigdy go nie polaje, ponieważ jest starym wiarusem, któremu sam przypiął medal pod Marengo.

Pan de Caulincourt oddalił się, a ja zatopilem się w myślach.

Twarz Napoleona prześladowała mnie. Nadzwyczajny ten człowiek, który raz unosił się jak cień bohatera nad polem walki, raz znów ukazywał się w majestacie Cezara i naraz znów, stawał się dzieckiem rozkapryszonym i hałaśliwym.

Niepodobna stworzyć sobie obrazu dokładnego, tej natury zmiennej i nie nadającej się do stałego określenia. Że był potrzebny dla Francji, nie było wątpliwości, lecz czy było zaszczytnie czy hańbiąco zaprzęgać się do jego rydwanu?

Wielki salon był pełny. Ukazywały się bezustannie nowe twarze, na których czytałeś wesolość, fałsz, zazdrość lub ciękawość.

Buduary na lewo i na prawo zapelnily się wojskowymi i członkami ciała prawodawczego... Zorganizowano stoliki wiata i gry w „dwadzieścia jeden“...

Podziwiałem piękne туаletы i haftowane złotem mundury, gole ramiona, na których brylanty błyszczały jak krople rosy i tych parweniuszów chwalały, wczoraj jeszcze parjasów, a dziś bohaterów.

Przedemną Ney, Lannes i Murat rozmawiali i śmiali się tak swobodnie, jak gdyby byli w obozie.

Niestety! z tych trzech ludzi tak szczęśliwych, tak o nic



się nie troszczących, dwóm przeznaczona była śmierć tragiczna.

O kilka kroków odemnie stał oparty o ścianę, mały człowieczek, z twarzą cierpiącą i biedną. Żal mi się zrobiło biedaka, podeszłem do niego i parę słów przemówiłem. Odpowiedział bardzo grzecznie, lecz szkaradnym francuskim językiem.

— Rozumie pan po angielsku? — zapytał — Nie mogę znaleźć nikogo we Francji, coby znalazł ten język.

Odpowiedziałem, że wychowany w Anglii, umiałem tak samo po angielsku, jak po francusku.

— Lecz zapewne pan nie jesteś Anglikiem, — dodałem gdyż obecnie nasi sąsiedzi z poza la Manche, nie odważyliby się pokazać w salonach cesarza.

— Nie, jestem Amerykaninem. Nazywam się Robert Fulton. Przyszedłem na przyjęcie cesarskie, ponieważ to jedyny sposób przypomnienia się jego cesarskiej mości. Przedstawiłem mu kilka moich wynalazków, tych, które odnoszą się do żeglugi i krótre przedzejczy później, mam nadzieję, przeciwczoją ją zupełnie.

Nie będąc czem innem zajęty, słuchałem mowy tego oryginalnego Amerykanina, który w ciągu kilkunastu minut przedstawił mi plan jak można sobie wyobrazić najdziwniejszy. Przekonany byłem, że mam do czynienia z warjatem.

Powziął myśl zbudowania okrętu, zdolnego iść przeciw wiatrom i przeciw fali, za pomocą pary.

Wyłożył mi także cały system pływających beczek z prochem, które przez samo zetknięcie się, wysadzą w powietrze największy okręt.

Od tego czasu myślałem często o nieszczęśliwym Fultonie i mówiłem sobie zawsze, że żaden ze zgromadzonych tego wieczoru w Pontde-Briques — nawet cesarz — nie wpłynął tyle co on, na historję całego świata.

Naraz przerwały się śmiechy i rozmowy, brzęk żetonów ustal. Dał się tylko słyszeć cichy szmer powstających z krzesel. Płomienie świec zachwiały się, cisza głucha zaległa. Drzwi się otworzyły i Napoleon czekał na progę. Błady był bar-dzo; z oczu strzelały stalowe blaski. Nie uspokoił się jeszcze po burzy południowej.

Wszystkie głowy teraz zwracały się ku tym drzwiom otwartym; wszystkie spojrzenia badały tę twarz zimną i zagadkową.

Co powie cesarz?... Co robi cesarz?... Takie zapytania czytałem wyraźnie we wszystkich twarzach nieruchomych, jak gdyby zahypnotyzowanych.

To djabełski człowiek, zdawało się, że się go zna do gruntu, on zaś zawsze prawie zawiódł przewidywania.

Czasami był rozmowny, żartował z jeannym, ciągnął za ucho drugiego; czasami zaś okazywał humor dzika rozjuszonego, napadał na wszystko, wymierzał okrutne ciosy...

Najczęściej był pochmurny, smutny i otwierał usta tylko dla zrobienia uwagi gryzącej i pogardliwej. Kiedy wychodził, wszystkich piersi podnosiło się jedno wielkie westchnienie ulgi.

Miałem szczęście znajdować się blisko drzwi. Napoleon wezwał mnie głosem rozkazującym:

— Zbiż się, panie de Laval.

Mała jego tłusta ręka spadła na moje ramię.

Następnie, zwracając się do mężczyzny chudego, złotego i bardzo uroczego:

— Chodźno, Cambacéres, przedstawię ci pana Ludwika de Laval, syna hrabiego de Laval, który walczył w Quiberon w roku 1795. Ten pan przybył z własnej woli ofiarować mi swoje usługi. Ty, który utrzymujesz, że rodziny arystokratów nie powrócą nigdy do Francji i że zamieszkają na zawsze w Anglii, jak Hugonoci po odwołaniu edyktu Nantejskiego, widzisz teraz, że nie wiesz, co mówisz. Jesteś tylko

glupcem!... Panie de Laval, mianuję cię moim przybocznym adjutantem, odtąd będziesz rai wszędzie towarzyszył.

Było to wyniesienie!... i jakie wyniesienie!...

Na balu cesarskim, wobec największych znakomitości europejskich!...

Pomimo to, zrozumiałem wybornie, że w ten sposób ze mną postąpił, aby zachęcić potomków starych emigrantów, do przyłączenia się do jego sprawy.

Nie wiem, co mi ścisnęło serce, kiedy szedłem tuż za Napoleonem. Był to wstyd, a może wściekłość. Robilem na sobie wrażenie jeńca, idącego za rydwanem zwycięzcy.

Jednak sumienie nic mi nie wyrzucało. Ofiarując moją szpadę nowemu władcy Francji, nie uległem powodom naganym, tylko miłości mojej drogiej ojczyzny.

Lecz niebawem postępowanie cesarza zwiększyło moje niezadowolenie. Okazał się oburzająco brutalnym, nie tylko dla swoich przybocznych, lecz nawet dla kobiet.

Przy swojej naturze zuchwalej i nieokielzanej, sądził, że wolny jest od małych ustępstw towarzyskich, przez które panujący zyskuje szacunek i przywiązanie.

Ludwik XIV. nie obawiał się poniżyć przed kobietą, którą kochał, Napoleon nigdy się na to nie zgodził.

Dość przyjemny ze swoimi oficerami, którym rzucił kilka żartów, do sióstr swoich odzywał się jak do pary rekrutów.

Lecz przedewszystkiem, kiedy zwrócił się do cesarzowej, wtedy żółć swoją wylał.

— Józefino — rzekł ostro — nie chcę, żebyś nosiła we włosach tej egrety; jeżeli raz ją jeszcze zobaczę, to rzucę w ogień. Kobiety zajmują się tylko strojami, a niezdolne są nawet ubrać się gustownie!...

— Boże mój, Napoleonie, trudno ci dogodzić — odparła cesarzowa łagodnie — jednego dnia lubisz to, czego nazajutrz znieść nie możesz. Lecz skoro ta egreta nie podoba ci się, już jej więcej nie włożę.

Cesarz posunął się naprzód wśród potrójnego szeregu ukłonów niskich, następnie zwrócił się znów do cesarzowej:

— Józefino, czy nie mówiłem, że nienawidzę tłustych kobiet?

— Rzeczywiście, Napoleonie.

— A więc dlaczego pani de Chevreuse jest tutaj?

— Ponieważ nie jest za tłusta, napewno.

— Oh! aż za nadto!.. Wolę nie spotykać jej w twoich salonach... A to kto? — rzekł patrząc na młodą pannę, ubraną w żłeganeką suknię z błękitnego tiulu.

— To jest panna de Bergerot — odpowiedziała Józefina.

— W jakim wieku jesteś pani?

— Dwadzieścia trzy lat, najjaśniejszy panie.

— Dwadzieścia trzy!.. I nie posłaś jeszcze za męża?.. W dwudziestu trzech latach wszystkie kobiety powinny być zamężne.

Panna de Bergerot, zmieszana nad wyraz, wysilała się na odpowiedź cesarzowi, lecz słowa więzły jej w gardle. Cesarzowa przysła jej z pomocą.

— Jeżeli młode panienki nie wychodzą za męża, to wina tych panów — rzekła, rzucając przyjazne spojrzenie na oficerów, którzy, wyciągnięci jak struny, stali w pierwszym rzędzie...

— Oh! niech to panią nie obchodzi! — zawołał cesarz. — Wyszukamy jej męża.

Zaczął szukać kogoś w tłumie i nagle wzrok jego na mnie się zatrzymał.

— Sądzę, panie de Laval — rzekł — że znaleźliśmy żonę dla ciebie.

Trochę dalej zwrócił się do osobistości czarno i bardzo przyzwyczajonej ubranej.

— Jak się pan nazywasz?

— Najjaśniejszy panie, jestem Gretry, muzyk.

— Ah! prawda. Widziałem pana mało sto razy, lecz nigdy nie pamiętam nazwiska...

— ... A pan?

— Jestem Józef Chernier.

— Tak, tak. Widziałem ostatnią puna tragedję... obrzydliwa. Napisałeś także parę poezji, prawda?

— Tak, najjaśniejszy panie. Pozwoliłeś, żebym ofiarował jeden tom waszej cesarskiej mości.

— Bardzo być może. Tylko, że ich nie czytałem, więc nie mogę powiedzieć, co o nich myślę... Szkoda, że nie mamy, już poetów we Francji, wypadki z mojego panowania mogłyby dać natchnienie takiemu Homerowi lub Wirgiljuszowi!.. Mam możność stworzenia królestw, ale nie pisarzy... Który jest największy poeta francuski, podług pana.

— Racine, najjaśniejszy panie.

— Głupi pan jesteś! Corneille stoi daleko wyżej od Racine'a. Nie wiem, co to jest rym, średniówka, półwiersz i wszystkie temu podobne głupstwa, ale co rozumiem, to ducha filozoficznego, panującego nad całym dziełem i dlatego stawię Corneille'a po nad Racine'a. Gdyby żył obecnie, zrobiłbym go moim ministrem... Co w nim podziwiam, to znajomość serca ludzkiego, głębokość uczucia... Piszesz pan cokolwiek obecnie?

— Piśzę tragedję o Henryku IV, najjaśniejszy panie.

— Złe robisz, mój panie. Nie pozwolę jej wystawić, nie chcę polityki w teatrze... Napisz pan lepiej sztukę a Aleksandra Macedońskim...

I zwróciwszy się plecami do Chenier'a:

— Kto pan jesteś? — rzekł do mężczyzny czarno ubranego, z którym już mówił.

— Najjaśniejszy panie, zawsze Gretry, muzyk — rzekł spokojnie ten ostatni.

Cesarz przygryzł usta i poszedł dalej.

Skierował się do grupy dam, które cofnęły się ku wejściu do jednego z salonów gry.

— No, cóż, pani — rzekł do pierwszej — lepiej się

prowadzisz?.. Opowiadano mi, że twoje awantury tej zimy, gorszyły całe przedmieście Saint-Germain.

— Błagam waszą cesarską mość, aby zechciał jasniej się tłómaczyć — odpowiedziała dama z żywością.

— Otóż utrzymują, że jesteś pani kochanką pułkownika Lassalle.

— Najjaśniejszy panie, to niegodne oszczerstwo!

— Zatem, nie masz pani szczęścia, gdyż oszczerstwa jak deszcz spadają na panią. Mówią także, że masz stosunek z adjutantem generała Rapp... Spodziewam się, że wszystko to się skończy.

— Nazwisko pani! — krzyknął do innej damy.

— Panaa de Perigord.

— Wiek?

— Dwadzieścia lat, najjaśniejszy panie.

— Za chuda jesteś, moja panienko!.. W dodatku masz ręce czerwone, to straszne!.. A ty, pani Boismaiton, czy nigdy nie ubierzesz się inaczej, tylko w tę suknię popielatą?

— Najjaśniejszy panie, pierwszy raz ją dziś włożyłam.

— Widocznie wszystkie pani suknie są popielate!..

W każdym razie nie kładź pani na siebie tej po raz drugi, jestem nią zmęczony... Panie de Remusat, co robisz z pieniędźmi, które ci dają?

— Wydaję je, najjaśniejszy panie.

— Kłamiesz pan! Zawiadomiono mnie, że sprzedałeś swoje ekwipaże... Jeżeli przeznaczyłem panu pensję tak dużą, to dlatego, żebyś mnie godnie reprezentował, a nie dla zwiększenia twojego majątku. Junot, jesteś fanfaron, grałeś znów i przegrałeś.

— Oh! najjaśniejszy panie, piekielna karta nieszczęście...

— Nie idzie o piekielną kartę, idzie o to, że zabroniłem i grać... Ile przegrałeś?

— Czterdzieści tysięcy franków, najjaśniejszy panie.

— Idź do Lebrun'a, zapłaci za ciebie.

I dodał pocichu :

— Zresztą, razem dokazywaliśmy w Tulonie.

Junot nie przestawał dziękować.

— Dobrze, dobrze!.. — przerwał cesarz. — Ty, Rapp i Lassale, jesteście pieszczołami w armji. Lecz wara od kart, słyszycie? Pani Picard, wstret mam do wyciętych staników, szczególnie dla kobiet brzydkich!.. A teraz, Józefino, wracaj do mego pokoju; przyjdź do mnie za pół godziny, będziesz mi czytała, żeby usnął... Byłem dziś wieczór cierpiący, lecz ponieważ obiecałem ci pomódz w przyjęciu twoich gości chciałem dotrzymać słowa... Panie de Laval, zostań tu, nie będziesz mi potrzebny... Przysłał ci rozkazy.

Drzwi się zamknęły za cesarzem począwszy od cesarsowej aż do lokajów poncz roznoszących, każdy odetchnął w głębi z wielką ulgą.

Mundury i fraki haftowane zaczęły krążyć i kierować się do salonów gry. Żetony zaczęły szczekać; rozpoczęły się rozmowy i śmiechy, tak jak przed przybyciem jego cesarskiej mości.

## XVI.

### Biblioteka w Grosbois.

Zbliża się koniec mojego opowiadania.

Może byłoby ono bardzo miernie zajmującym, gdybym nie był do niego wprowadził wielkiej postaci cesarza, tej postaci, która wszędzie, gdzie się ukaże, zaćmiewa inne, zupełnie jak słońce zaćmiewa gwiazdy.

Dziś jeszcze, w moim umyśle osłabionym wiekiem i chorobą, po nad wszystkim panuje cesarz.

Dopóki żył, nie miał rywala na świecie; po śmierci nie ma ich w pamięci ludzkiej.

Skoro porównyвам moje wypadki z jego wielkimi czynami, zdaje mi się, że to są zabawki pigmejczyków.

Jednak niech mi przebaczą czytelnicy, że je opowiedzia-

lem; posłużyły przynajmniej do dania wam poznać głębokiego i żywego wrażenia, jakie sprawił na mnie ten, którego słusznie uważać można jako jeden z najpotężniejszych genjuszów świata.

Zanim zakończę, powiem wam jeszcze, jak udaliśmy się do „Czerwonego Młyna” i co się stało w bibliotece w Grosbois.

Dwa dni po przyjęciu u cesarzowej, a jeden dzień tylko przed upływem terminu danego pannie Bernac dla utrzymania ulaskawienia narzeczonego, kuzynka Sybilla weszła do mojego małego pokoiku przy ulicy des Vents, razem z generałem Savary.

Po tryumfującym jej wyglądzie poznałem odrazu, że przysłała z dobrą wiadomością.

Mówiąc między nami, bardzo mało mnie obchodziło uratowanie „od śmierci Lesage’a, a wydanie Toussac’a lecz dla Sybilli czulem taki szacunek, a przedewszystkiem szczerze przywiązanie, iż gotów byłem zrobić wszystko, czego zażąda.

— A widzisz kuzynka Ludwiku — zawołała — powiedziała, że odnajdę Toussac’a!.. Czy zawsze gotów jesteś nie odmówić mi współdziałania?

— Ma się rozumieć siostrzyczko!

— Niech pan sobie wyobrazi, że pani nie chce wcale eskorty! — odezwał się generał Savary wzruszając ramionami.

— Nie, nie trzeba żołnierzy! — rzekła Sybilla tonem rozkazującym. — Musimy działać bardzo przezornie; widok mundurów ostrzegłby Toussac’a, a nasza wyprawa zanadto poważna, abyśmy się na to narażali.

— Słowo daję, ma pani rację — mruknął Savary. — Trzydziestu żołnierzy nie więcej robi, niż trzech inteligentnych ludzi. Kogo pani bierze oprócz pana de Laval?

— Porucznika Gérard’a od huzarów Berniszoskich.

— Wybornie. Gérard jest jednym z najświetniejszych oficerów w armji. On, pani kuzyn i ja jesteśmy zdolni stawić czoło całemu pułkowi. Cóż pan na to, panie de Laval?



- Generale, jestem na twoje rozkazy.
- Dobrze!.. Teraz, pani, musimy wiedzieć, gdzie się ukrywa Toussac?
- W „Czerwonym Młynie“.
- My tam przecie robiliśmy rewizję!.. Toussac'a ani na lekarstwo.
- Kiedy pan robił rewizję?
- Przedwczoraj.
- Toussac jest w „Czerwonym Młynie“ dopiero od wczoraj wieczór.
- Skąd pani wie o tem?
- A to w jaki sposób — rzekła Sybilla, zniżając głos, jak gdyby z obawy, żeby kto nie usłyszał — Toussac ma kochankę; ta kobieta mieszka w okolicy, nazywa się Joanna Portel. Kocha on ją szalenie. Byłam pewna, że nie oprze się chęci zobaczenia z nią... Na tej to miłości buduję moje baterje. Od sześciu dni każę szpiegować Joannę Portel. W końcu zawiadomiono mnie, że weszła ukradkiem do „Czerwonego Młyna“, z koszem prowiantów, i że dziś cały ranek chodziła po wzgórzach i przeglądała całą okolicę, blednąc za każdym razem, jak spostrzegła łask lnb bagnę. Toussac jest w „Czerwonym Młynie“, generale, jestem tego tak pewną, jak że pan i ja jesteśmy u kuzynka Ludwika.
- Do licha! nie mamy chwili do stracenia! — zawołał Savary. — Właśnie wzdłuż wybrzeża stoi kilka statków. Najmniejszy alarm i nędznik może uciec, a dzięki ciemności, dostać się do Anglii.
- A więc, generale, jak zrobimy? — zapytałem.
- Podług mnie, spotkamy się za godzinę w południowej granicy obozu — odparł Savary. Pan zostanie w tem samym ubraniu, panie de Laval, ażeby pana uważano za podróżującego szlachcica. Ja uprzedzę Gérard'a i naradzimy się z nim o przebraniu naszym.

Wyszedł zaraz za Sybillą.

— Nie zapomnij pan pistoletów! — krzyknął — mamy do czynienia z dzielnym osobnikiem... Koń będzie do pańskiego rozporządzenia.

Słońce krwawo zachodziło, wzgórze zakrywała do połowy mgła fioletowa, kiedy dochodziłem do okopów obozowych.

Szukałem Savary'ego i Gérard'a... nie było nikogo...

— To dziwne!.. — pomyślałem. — Czy odłożono na później wyprawę, lub Toussac nas uprzedził?..

Naraz ujrzałem mężczyznę ubranego jak bogaty fermer, w obszerny surdut z niebieskiego sukna, z mosiężnymi guzikami Podciągał właśnie popręgi na wspaniałym karym rumaku.

Dalej trochę, młody masztalerz trzymał dwa konie cięższej budowy i pospolitszej maści. Przypatrywałem się obydwom wierzchowcom.. Czy jeden z nich był tym, na którym jechałem z Grosbois de Boulogne nazajutrz po mojem dostaniu się na łąd stały?.. Ależ tak! W tej samej chwili masztalerz się uśmiechnął, a fermer zbliżył się do mnie. Poznałem Gérard'a i Savary'ego.

— Sądzę, że możemy wyruszyć — rzekł general — za chwilę będzie zapóźno... Zgarb-no się trochę, Gérard; wielki jesteś jak maszt okrętowy... A teraz, spieszmy się!..

Czem dalej zachodzi się w lata, z tem większą przyjemnością wywołuje się odległe wspomnienia.

Wrażenia owego czasu dalekiego na każdym zakręcie drogi odżywają razem z uciechami i smutkami, jakie im towarzyszyły. Widzę siebie galopującego pomiędzy Savarym i Gérardem po dzodze, na którą zmrok zapadł.

W oddaleniu z ponad sinego morza powstawała powoli mgła, zamieniająca się wyżej w chmury.

Nie wiem dlaczego, jadąc, zacząłem myśleć o Anglii.

Najpierw stanął mi przed oczyma duszy Ashford, jego ciche ulice, ceglane domy ze szpiczastymi dachami, mały ko-

ściólek z wieżyczką strzelającą w niebo, z dźwiękiem dzwo-  
nów; następnie salon, w którym po kolacji zbieraliśmy się  
na wspólną modlitwę, w końcu oberża pod „Zielonym czło-  
wiekiem” i jej znak kolyszający się ze zgrzytem na żelaznym  
pręcie. Jaki kontrast między tamtem życiem i tem jakie teraz  
rozpoczynałem!...

Ten pochód cichy podczas zapadającej nocy, był rzeczy-  
wistym początkiem mojej kariery.

Ując groźnego spiskowca, człowieka, który zaprzysiął  
śmierć cesarzowi, takie było nasze posłannictwo.

Czułem, że moja karjera zależała od zręczności i odwagi,  
jakich dam dowody w tej okoliczności.

Cały zapal i dzielność, drzemiące we mnie, obudziły się  
gwałtownie. Ścisnąłem silniej wierzchowca kolanami, gorączka  
energji uderzyła mi do głowy.

Skoro minęliśmy wzgórze opasujące Boulogne, jecha-  
liśmy ścieżką dokoła bagniska, które o mało mnie nie pochło-  
nęło owej pamiętnej nocy.

Zatrząsałem się, patrząc na powierzchnię błyszczą i taje-  
mniczą, poprzerzynaną szerokimi plamami białawemi.

Minęliśmy szybko ten krajobraz smutny i zapuścili się  
na wielką płaszczyznę, na której rosły swobodnie ciernie  
i paprocie.

Po dziesięciu minutach zarysowała się baszta Grosbois  
ze swemi strzelnicami, wyglądającemi jak oczy na pół przy-  
mknięte.

Zostawiliśmy ją na lewo i spuszczaaliśmy się rodzajem  
wąwozu między wzgórzami.

Nagle, przy skrócie ścieżki, ujrzeliśmy przed sobą młyn  
cichy, spokojny.

Okno na strychu oblane ostatnimi promieniami słońca,  
palilo się luną pożaru; na dole drzwi zasłonięte wozem peł-  
nym worków ze zbożem; koń wyprzężony pasł się w nieja-  
kiej odległości.

Kiedy podnieśliśmy głowy, zobaczyliśmy na szczycie wzgórza kobietę, z przysłoniętymi ręką oczami od blasku, przepatrującą okolicę.

— Baczość! — rzekł Savary. — Kobieta czuwa, zatem Toussac jest jeszcze w młynie!.. Posuwajmy się dalej dokoła doliny, nie oddalając się...

— Generale, możebyśmy szybciej puścili konie? — za-pytałem.

— Nie grunt jest zanadto nierówny. Wreszcie, lepiej nie zwracać uwagi.

Jechaliśmy tedy jak można spokojnie, gdy nagle rozległ się krzyk ostry, aż podskoczyliśmy na siodłach.

Kobieta na czatach odkryła nas. Patrzyła przez sekundę z nieufanością, potem, postawy wojskowe moich towarzyszków zmieniły prawdopodobnie podejrzenia jej w pewność; zerwała chustkę, którą była okryta i powiewała nią szybko na znak niebezpieczeństwa.

Savary zaklął i dawszy ostrogę koniowi, pomknął na-przód, a Gérard i ja za nim.

Sto kroków co najwyżej dzieliło nas jeszcze od młyna, kiedy wybiegł z niego człowiek... Nie było wątpliwości. Broda najeżona, postawa atlety, mogły tylko należeć do Toussac'a.

Rzucił na nas wściekle spojzenie, potem, poznawszy, że nie miał czasu na ucieczkę, wszedł z powrotem do młyna i drzwi za sobą zatrzasnął.

— Oknem! Gérard, oknem!... — krzyknął Savary.

Okno to było w niższej części młyna, zamknięte jedną szybą.

Huzar zeskoczył z konia i cofnąwszy się dla nabrania rozpędu, przebił sobą szybę, jak kłowna w cyrku kolo zalepione papierem.

Prawie natychmiast otworzył nam drzwi, z twarzą po-drapaną i rękami zakrwawionymi.

— Toussac uciekł na schody — rzekł.

— Zatem nie potrzebujemy się spieszyć — zauważył Savary — zuch chłop, do nas należy... Winszuję ci poruczniku, dobrze przebiłeś szeregi nieprzyjacielkie... Mam nadzieję, żeś się nie zranil?...

— Nie, generale, kilka draśnieć...

— Tem lepiej... Bierz pistolety Gérard, i ty także panie de Laval... A gdzie młynarz z tego młyńca?...

— Jestem! — odezwał się mężczyzna niski i gruby, zbliżając się ku nam. — Czego chcecie odemnie, zbójce, złodzieje, mordercy?...

— Powtóż-no, powtórz jeszcze! — przerwał Gérard.

— Tak, zbójce, tak, złodzieje, tak, mordercy!... Jakiem prawem w taki sposób wchodzić do mnie? Siedzę sobie spokojnie z fajką, tak jak zawsze o tej godzinie, a tu trzask... i pan wpada nie wiem z kąd oknem... patrzcie, jeszcze jestem osypany szkłem — i wprowadza drugich, jak gdyby dom do niego należał!... Nie dość miałem kłopotu z moim lokatorem, trzeba jeszcze, żeby takich trzech lotrów przybyło!...

— Masz u siebie w domu spiskowca, nazwiskiem Toussac — rzekł surowo general Savary.

— Toussac!... nie znam! W dodatku, nie przyjmuję do domu spiskowców... Mój lokator nazywa się Maurycy, jest kupcem towarów bławatnych...

— To ten sam. W imieniu prawa przychodzimy go arestować.

Hę? Co? Jak? — belkotal młynarz. — Nie badałem tego Maurycyego. Zapłacił dobrze za pokój... Rozumiecie, panowie, że w tych czasach nie można żądać świadectwa dobrego prowadzenia od lokatora. Lecz jeżeli ma zatargi z rządem, to co innego; nie mieszam się do tego! Jednak muszę powiedzieć, aby mu oddać sprawiedliwość, że to chłopiec spokojny... dopiero jak odebrał list...

— Jaki list? — zapytał Savary.

Młynarz spuścił głowę i nie odpowiadał.

— Mów, rozkazuję!

— Ależ ja... ja nic nie wiem, mój dobry panie!

— Uprzedzam, że teraz narażasz twoją głowę.

— A więc powiem panu, co widziałem!... Jakąś kobieta przyniosła mu list niedawno i odtąd jest jak warjat... Chodzi po pokoju, przewraca wszystko... i powtarza ciągle, że zabije kogoś... Będę okrutnie rad jak on sobie odejdzie.

— No, panowie, do ataku! — rzekł generał Savary wyjmując szablę. — Zostawmy konie przede drzwiami: nie ma obawy, żeby Toussac z tego skorzystał, ponieważ niema którejdy zemknąć. Pistolety nabite, wszak prawda!...

— Tak, generale.

Zapusciliśmy się na schody. Prawdziwa drabina!...

Wspinając się, mało dwadzieścia razy nie skręciliśmy karku.

Na pierwszym piętrze weszliśmy do pokoju, w którym by o posłanie ze słomy z odcisniętą formą ludzką. Ktoś tu sypiał... może Toussac.

— Gdzie jest to bydło? — mrucał pod nosem Savary.

— Zapewne wdrapał się wyżej — odezwał się Gérard.

Wydostaliśmy się na drugie piętro i zaczęliśmy tam wybijać drzwi.

— Poddaj się, Toussac! — krzyknął generał — i tak jesteś otoczony...

— Nie należę do tych, którzy się poddają — wymówił grubym głosem olbrzym... Jednak, zgadzam się na układy... Mam jeden rachunek do uregulowania... dług do spłacenia... Dziś dopiero dowiedziałem się o nazwisku wierzyciela. Zostawcie mnie w spokoju do jutra, a przyrzekam, sam przyjdę do obozu cesarza i oddam się jako więzień.

— Niepodobna na to pozwolić — odparł Savary.

— Żle robicie... No, namyślcie się...

— Niepodobna, mówię. Poddaj się, Toussac!...

— Nigdy!...

— Nigdy!...

— A więc weźmiemy cię przemocą...

— Dobrze, ale nie przyjdzie to łatwo! — zawył olbrzym.

— Panowie, ostatni szturm! — krzyknął Savary, rzucając się na drzwi, które podważyliśmy silnie plecami. Naraz usłyszałem koło zamku trzask odwodzonego kurka broni palnej.

Zanim zdążyłem uprzedzić towarzyszy, kula świsnęła koło naszych uszu i utkwiała w przeciwnej ścianie.

Rzuciliśmy się teraz z wściekłością na drzwi... Nie długo opierały się i wypadły z przerażającym loskotem...

Wpadliśmy do kniei dzikiego zwierza; zapóźno!... przepadł!...

— Gdzie on jest u diabła? — wrzasnął Savary.

Cała jedna strona izby zajęta była kupami zboża, druga pusta, żadnej więc kryjówki. Dymiący pistolet leżał w kącie.

Okno było otwarte. Gérard pobiegł i wychylając się na zewnątrz, krzyknął:

— Ah! do wszystkich djabłów!

— Co? co się stało? — zawołaliśmy razem.

— Spójrzcie... tam, na wozie!...

Toussac leżał nieruchomy, rozciągnięty, jak nieżywy.

Upadek choć zlagodzony workami ze zbożem, musiał być straszny, gdyż od okna do ziemi było więcej niż stóp czterdzieści.

Nasze okrzyki wyrwały herkulesa z martwoty.

Zerwał się jednym susem, pogroził nam pięścią z miną wzywającą, potem stoczył się z wozu i skoczył na konia generała Savary.

Gérard i ja strzeliliśmy jednocześnie, lecz bez skutku.

Koń, podniecony kulami, padającymi dookoła niego, rwał z kopyta jak strzala, podczas gdy Toussac, zgarbiony, z brodą rozwichrzoną wiatrem, siedział nieruchomy, jak kolos kamienny.

Stoczyliśmy się ze schodów jak kule, wybiegli z mlyna i przekonali się, że Toussac był już daleko.

Ukazywał się już tylko na horyzoncie jak czarny punkt galopujący ku wzgórzom piaszczystym.

Gérard i ja wskoczyliśmy na konie.

Zmrok gęstniał coraz bardziej, zwieszając się jak czarna krepą po nad strasznem bagniskiem...

Toussac pędził oddalając się ciągle od wybrzeża morskiego.

Zaczęło to mnie intrygować. Jaki on miał cel?... D'czego nie próbował raczej przybliżyć się do morza?... Łodzie uwiązane u wybrzeża dalyby mu wyborną sposobność do ucieczki... Lecz nie, zwracał odważnie w głąb ludu i przekonywałem się — teraz, kiedym go lepiej widział — że wcale się nie oglądał. Ani razu się nie zatrzymał, jechał przed siebie, jak człowiek pewny tego co robi.

Gérard i ja mieliśmy równie dobre jak on konie.

Bylibyśmy go dogonili, gdyby nagle nie znikł nam z oczu.

Wyobrazałem sobie, że Toussac zna dobrze wszystkie przesmyki w okolicy, to też przy każdej kępie drzew, przy każdym wzesieniu gruntu, który go zakrywał, wszystka krew bila mi do głowy, tak się obawiałem, że się nie ukaże; lecz niedługo potem zadrzałem z radości, skoro postać jego olbrzymia ukazała się znów na drodze lub na szczycie wzgrórze. I wciąż obawie, to znów nadziei, pędziliśmy co koń wyskoczy...

Jeszcze setka metrów, a dosięgniemy nieprzyjaciela!...

W miarę zmniejszania się odległości, czułem wzrastającą w sobie nienawiść.

Tak, nienawidziłem tego Toussac'a z całych sił; było to uczucie nieokreślone, złożone z patriotyzmu obrażonego i osobistego wrażenia.

Naraz stało się to, czego się obawiałem.

Toussac zapadł po za wzgórek i nie pokazał się więcej...



W pięć minut dotarliśmy do szczytu tego wzgórza, gdzie przekłety lotr się zaprzepścił... Nikogo!... Pzeszukaliśmy wzrokiem do kola... Nokogo!...

Straszny niepokój mną ogarnął. Łzy wściekłości w oczach poczułem.

— Naprzód! — wrzasnął Gérard, w którym krew gaskońska zawrzała. — Naprzód!... Tą drogą na prawo, może dogonimy zbiega!

I biegł już z dobytą szablą.

— Czekaj pan! — krzyknąłem — tu jest ścieżka na lewo...

— A więc jedźz nią, ja pojedę drogą... starajmy się znaleźć ślad.

W tej samej chwili, luźny koń przemknął koło nas... Był to czystej krwi rumak, z ogonem na wiatr, z wędzidłem białym od piany.

— Koń Savary'ego — krzyknąłem. — Zatem Toussac niedaleko!..

Gérard skoczył z konia i zaczął poszukiwania w gąszczu.

Zrobiłem tak samo. I oto chodziliśmy, pod osiiliśmy kamienie, przeglądali każdą rozpadlinę. W ten sposób doszliśmy do wrębu głębokiej kopalni kamieni, której wewnątrz kredwate odcinało się w szarym mroku... Ani śladu Toussac'a!..

— Do stu szatanów! to djabeł chyba nie człowiek — rzekł Gérard.

Ja się zastanawiałem; powolna praca odbywała się w moim mózgu. Czy ja już widziałem tę kopalnię?

Ależ tak, przypominałem sobie obecnie!.. Wnj Bernac, podziemie, Grosbois...

Teraz wszystko się wyjaśniało. Wściekłość Toussac'a po odebraniu listu, przyniesionego do „Czerwonego Młyna“ przez kobietę; układ, jaki proponował generalowi Savary, aż do tego biegu szalonego po przez piaszczyste wzgórza.

Kochanka doniosła mu o zdradzie starego Bernac'a. To

też opanowała go straszliwa chęć zemsty. Zabić szpiega, współnika wiarołomnego, taki był jego zamiar...

Przez sam nawet rodzaj stosunków z moim wujem, nie mógł nie wiedzieć o istnieniu tajemnego przejścia, które dochodziło do zamku Grosbois.

Pędził tam więc prosto, nie myśląc nawet o ucieczce.

W kilku słowach udzieliłem towarzyszom moich przypuszczeń.

— Do podziemia! — krzyknął porucznik, nie dawszy mi nawet dokończyć.

Nie dosyć powiedzieć; „do podziemia!“ — trzeba najpierw odnaleźć miejsce, co nio było rzeczą łatwą.

Pamiętamy zapewne, że wuj Bernac zmusił mnie do odwrócenia się, podczas gdy odsuwał rodzaj monolitu zasłaniającego przejście.

Opukiwałem skalę na całej długości, wkładałem szablę Gérard'a we wszystkie szpary, lecz dopiero po dwudziestu może nieudanych próbach, trafiłem na otwór tunelu. Podczas tego general Savary połączył się z nami. Wślizgnęliśmy się wszyscy trzej w kanał; wydał mi się jeszcze ciaśniejszy. Dochodziliśmy się do szerszej przestrzeni.

Wygodniej tu było, lecz, że nie mieliśmy światła, za każdym krokiem potykaliśmy się o kamienie.

Od czasu do czasu słyszałem poważny głos Savary'ego obok siebie.

— Powiedz-no, de Laval, czy długo tego będzie?... Duszę się tu!... Gdybyśmy mieli choć krzesiwo...

Dodawałem mu jak mogłem odwagi, lecz sam miałem jej niewiele... Czy to sprawiała ciemność, czy zmęczenie i zdenerwowanie?... Coby nie było, lecz ogarniał mnie smutek śmiertelny.

— Sza! — rzekł naraz Gérard — jest ktoś przed nami... Staaliśmy, powstrzymując oddech.

W oddaleniu drzwi skrzypnęły na zawiasach...

— Spieszmy się, spieszmy się!... — rzekł Savary. — Tym razem lotra mamy w rękach, uregulujemy z nim rachunek.

Nie podzielałem zaufania generała, wiedziałem bowiem że drzwi łączące tunel zamkiem miały zatrząsk sekretny... Jeżeli Toussac zamknął je za sobą, nie pozostawało nam jak cofnąć się i powrócić do obozu.

Dzięki Bogu, nie sprawdziły się obawy...

— Zwycięstwo! — zawolałem.

Linja złotego światła przecinała ciemność przed nami!...

Drzwi były otwarte!... Toussac oszalały pragnieniem zemsty, nie zastanowił się, że możemy go ścigać aż w tunelu.

Przebyliśmy strome schody, drzwi drugiej wydostaliśmy się do przedsionka w zamku Grosbois, tego wielkiego przedsionka, wyłożonego płytami marmurowymi, oświetconego jedną kopcającą lampką.

Usłyszeliśmy straszny krzyk przerażenia; następnie wybiegła na korytarz służąca, wołając:

— Ratujcie!.. Ratujcie!.. Mordują pana Bernac!

— Gdzie on jest? — zapytał Savary.

— Na górze, w bibliotece!

Rozległ się drugi krzyk, dłuższy silniejszy i skończył się rżężeniem... Kiedy zbliżaliśmy się, doszedł mnie trzask...

Zrozumiałem wszystko!.. Zimny pot wystąpił mi na skronie... Toussac dokonał swego okrutnego zamiaru!..

Gérard i Savary, którzy szli przedemną, cofnęli się nagle z przerażeniem.

— Oh! to straszne! — mruknął porucznik!

Mój wuj siedział przy biurku plecami do drzwi zwrócony, z twarzą pergaminową w tył pomiędzy łopatkami zwieszoną... Usta miał wykrzywione, oczy szkliste nieruchome zachowały wyraz przestrawu.

Pierwszy krzyk musiał wyrwać mu się z piersi na widok

wchodzącego Toussac'a, drugi, skoro poczuł szerokie ręce kolosa wijące się około szyi.

Sparaliżowany strachem, nie mógł wstać z krzesła, ani się poruszyć. Siedział martwy, z piórem w ręce, przed listem niedokończonym. Przy nim stał Toussac z rękami na pierśsiach skrzyżowanymi.

— Spóźniliście się, panowie — rzekł — dług mój już spleacony.

— Poddaj się, Toussac — rozkazał Savary.

Herkules odsłonił piersi kosmate i rzekł:

— Strzelajcie... Ależ strzelajcie, tchórze przekłeci!

A że nie poruszyliśmy się nawet:

— Ah! myślicie, że się poddam?.. A więc pobawimy się trochę...

Ujął duże krzesło rzeźbione, okręcił nim w powietrzu nad głową, ażeby cisnąć je na nas. Wszyscy trzej wystrzeliliśma razem z pistoletów.

Krzesło upadło na róg stołu i rozleciało się w kawałki.

Toussac zachwiał się, oczy mgłą mu zasłzy, z czterech ran krew tryskała... Lecz jeszcze z nim nie skończyliśmy.

Dzikim ruchem skoczył on do Savary'ego, przewrócił go na ziemię i oparł straszny swój wielki palec pod jego brodą.

Gérard i ja rzuciliśmy się i rozpoczęliśmy z nim rozpaczliwą walkę. Byliśmy jednak silni, lecz Toussac był silniejszy od nas trzech razem wziętych.

Uczepiliśmy się olbrzymia, jak psy czepiają się dzika.

Uplyw krwi osłabiał go jednak; mniej silnie się opierał. Czerwona piana wystąpiła mu na usta. Ostatnim wysiłkiem stanął presto na nogi, potem z głuchem „ha!“ osunął się na kolana...

Sztwywny już osunął nam się z rąk i rozciągnął na ziemi; usta miał otwarte, ręce skrzyżowane, długą brodę zwichrzoną.

Staliśmy chwilę pochyleni nad nim, obawiając się ostatniego zerwania. Lecz się nie poruszył...

Nie żył już...

Savary biały jak płótno, osunął się na fotel.

— Sacrebleu! — mruknął — możnaby rzec, że mnie niedźwiedź uścisnęła. Co za objęcie!.. Zdaje mi się, że kości mam pogruchothane!.. Panowie, cesarz uwolniony został od najstraszniejszego swojego wroga.

Popatrzył na wielkiego trupa Toussac'a i dodał:

— Wszystko jedno, to był dzielny człowiek.

— Tak — pomyślał Gérard — coby to był za żołnierz... co za kwatermistrz dla huzarów Berniszońskich!

Ja zaś oszłamiony byłem tą sceną morderczą. W głowie mi się mąciło, serce bilo na widok ubrania krwią zbrzyzanego.

Savary wlał mi w usta trochę koniaku; następnie zerwał frankę od okna i przykrył nią wuja Bernac.

— Zdaje mi się — rzekł — że nie mamy tu już nic do zrobienia. Pójdę przygotować raport. Lecz zabieram te papiery, mogą one zawierać drogocenne wskazówki.

Mówiąc to, zgarniał notatki i dokumenty rozrzucone na biurku. Wziął list przerwany wejściem Toussac'a.

— Oho! — zawołał po przeczytaniu listu — jeżeli sądzić po tem, co tu jest, pan Bernac nie więcej był wart niż inni. Posłuchajcie:

„Kochany mój Katulu!

„Proszę cię o przysłanie jak najprędzej tej trucizny bez smaku, której dostarczyłeś mi przed trzema laty. Wiesz, o czem mówię, ten wyskok z gorzkich migdałów, który żadnych śladów nie pozostawia. Potrzebna mi nieodmiennie przy końcu tego tygodnia, a najpóźniej w początku następnego. Rachuj na moją przyjaźń i gotowość...“ i t. d.

— Cóż wy na to? Jak wam się podoba?

— Do kogo list adresowany? — zapytał Gérard.

— Do aptekarza w Amiens. Szpieg, zdrajca, truciciel...

Bernac był człowiekiem wszechstronnym — drwił Savary. —

Dla kogo ta trucizna mogła być przeznaczona? Jestem prawdziwie ciekawy... Powiedz-no de Laval, ty, który byłeś jego kuzynem, nie domyślasz się?..

— Nie, słowo daję, generale.

Pomimo wszystko, Karol Bernac był moim wujem: oskarżać go nie do mnie należało...

## XVII.

### Zakończenie.

General Savary powrócił prosto do obozu dla zawiadomienia cesarza o udanej wyprawie. Gérard towarzyszył mi na ulicę des Vents.

Jedliśmy razem kolację, a posiliwszy się, długo jeszcze rozmawialiśmy przy kominku, popijając wino i paląc niezliczoną ilość fajek.

Przyznam się, że przybywszy do siebie, zdziwiłem się trochę, iż nie zastałem Sybilli, nie przysłała nawet po wiadomości.

Nie wiedząc, gdzie się znajduje, niepodobna mi było jej zawiadomić ani o śmierci ojca, ani o śmierci Toussac'a.

Nazajutrz rano, przy obudzeniu, ujrzałem w nogach łóżka koniuszego cesarskiego.

— Jego cesarska mość oczekuje pana — rzekł do mnie.

— Gdzie? — zapytałem siadając.

— W Pont-de-Briques.

Wiedziałem, że pośpiech był niezbędną zaletą w służbie Napoleona. W dziesięć minut byłem ubrany i w tej chwili skoczyłem na siodło.

W pół godziny zsiadłem z konia przed pałacem w Pont-de-Briques.

Zaprowadzono mnie na piętro, do pokoju, w którym byli oboje cesarsswo.

Józefina, otulona w zachwycający peniuar różowy ubrany gipiurą, leżała wygodnie na szeslongu.

Napoleon podług swego zwyczaju chodził po pokoju w dziwnym kostjumie, który nosił zawsze przed włożeniem munduru, a który składał się ze spodni i kurtki białej, z czerwonych tureckich pantofli i fularu jedwabnego, zawiązanego na głowie.

Podobny był do plantatora na Antylach.

Kąpał się przed chwilą i bił od niego silny zapach lawendy i wody kolońskiej; humor miał doskonały.

Nie mogłem pojąć doprawdy, patrząc na te usta uśmiechnięte, niebieskie oczy pogodne, takie spokojne, że to ten sam człowiek, który trzy dni temu, przeszedł jak huragan wśród swoich dworzan, pozostawiając za sobą oczy lez pełne, serca wezbrane goryczą.

Józefina, blade odbicie męża, wydawała się także bardzo wesola.

A więc dwie twarze życzliwe zwróciły się w moją stronę, kiedy zostałem wprowadzony przed oblicza ich cesarskich mości.

— Winszuję ci, panie de Laval — rzekł Napoleon — dobrze zaczęłaś... Savary opowiedział mi wszystko. Bardzo zrzęcznie rzecz cała była przeprowadzona. Ja nie mam czasu zajmować się temi historjami, w dodatku, mówiąc między nami, mają one dla mnie znaczenie drugorzędne... Moja żona tem się troszczy... Spodziewam się, że lepiej będzie spała, wiedząc, iż nie potrzebuje obawiać się Toussac'a.

— Oh! ten Toussac, to potwór! — zawołała cesarzowa drżąc cała. Pomyśl tylko, gdyby mu się udało dostać do ciebie!...

— Ba! a moja gwiazda — odpowiedział Napoleon — ona mnie nie zawiedzie... Nie, nie mi nie stanie przed czasem z góry napisanym. Jestem fatalistą, jak Arab...

— Więc na co te wszystkie wojny? — zapytała Józefina.

— Dlatego, że takie jest moje przeznaczenie. Przyszedłem na świat z umysłem zdolnym tworzyć olbrzymie proje-

jekty... Lecz buduję ciągle po za rusztowaniem i nikt nie zobaczy przed ukończeniem, gmachu, który wznoszę... Żyję zawsze dwa lata naprzód. Takim sposobem w tej chwili przygotowuję wypadki na rok 1807... Ale, ale, de Laval, twoja piękna kuzynka dobrze działała w sprawie Toussac'a... To jest bardzo dystygowana młoda panna. Jaka szkoda, że zakochała się w takim Lesage'u... głupcu, tchórze, który nie przestaje płakać i wołać: „Łaski!“ od rana do wieczoru!... Bardzo źle robi, chcąc wyjść za niego...

Bylem zupełnie zdania cesarza.

— Otóż to są kobiety — zaczął — egzaltowane, powodujące się wyobraźnią... One są jak ci ludzie na Wschodzie, którzy nie mogą przypuścić, aby mężczyzna był dobrym żołnierzem, jeżeli nie jest olbrzymem. To też miałem dużo kłopotu zanim wyperswadowałem Egipcjanom, że jestem lepszym generałem niż Kleber, choć tamten miał postawę tragarza a głowę fryzjera... Otóż wszystkie kobiety zrobią z Lesage'a bohatera, ponieważ ma oczy jak cielę, a pleć jak lalka z masy papierowej... Gdyby panna Bernac zobaczyła go we właściwym świetle, czy sądzisz, że trwałaby w zaślepieniu?

— Nie, najjaśniejszy panie, kuzynka moja, zanadto jest odważna, żeby nie brzydzić się tchórzostwem!

— He, he!... strasznie gorąco bronisz pannę Bernac... Czybyś ją kochał przypadkiem?

— Oh, najjaśniejszy panie, jak możesz podejrzewać?... Czy wasza cesarska mość nie wie o mojej miłości dla panny de Choiseul?

— Tak; lecz panna de Choiseul daleko... Pan jesteś młody... sposobność, zbliżenie. Zobaczymy wreszcie!

W tej chwili wszedł Constant, jak zawsze cichy i dyskretny.

— Co nowego, Constant?

— Najjaśniejszy panie, wezwana osoba jest tam...

— Dobrze! Panie de Laval, proszę, przejdźmy do są-



siedniego pokoju. Józefino, chodź także, ta rzecz obchodzi cię wyjątkowo.

Przeszliśmy do długiej wąskiej sali, oświetlonej dwoma oknami, przy których firanki zupełnie zapuszczone, przepuszczały słabe światło.

W końcu sali przy drzwiach stał mameluk Rustan, a obok niego ze spuszczoną głową, opadłemi rękami, Lucjan Lesage.

Zobaczywszy cesarza, młody człowiek wzdrygnął się ze strachu.

Napoleon z rękami w tył założonem, stanął przed nim i patrzył surowo na wylękłego więźnia.

— No, cóż, chłopcze — rzekł w końcu — przysmaliles sobie palce, co?... Kto u diabła popchnął cię do mieszania się w politykę?

— Najjaśniejszy panie, łaski — bełkotał Lesage — przysięgam, będę w przyszłości służył wiernie i uczciwie.

Napoleon wziął w dwa paice tabaki i rozsypał na białą kurtkę.

— Nie takie to głupie, coś powiedział — zauważył, gdyż „kto się na gorącym sparzy, na zimne dmucha.“ Tylko, uprzedzam, że jestem bardzo wymagający.

— Najjaśniejszy panie, rozkazuj, będę posłuszny.

— Otóż, skoro biorę kogo do siebie, bądź jako adjutanta, bądź jako sekretarza, musi się ożenić z kobietą, która mi się podoba. Czy gotów jesteś być posłusznym w tym względzie?

Lesage zbladł.

— Najjaśniejszy panie, pozwól zapytać, kto jest tą kobietą?

— Nie, na nic nie pozwalam!

— Jednak, najjaśniejszy panie...

— Dosyć!... — krzyknął cesarz ostro. — Ja się nie pytam, rozkazuję... Zrozumiałeś?... Szukam męża dla panny

Bergerot... Ożeń się z nią, ulaskawię cię... w przeciwnym razie, więzienie.

Lesage otarł grube krople potu, spływające z czoła.

— Nie odpowiadasz?... Wystarczy!... Rustan, przywołaj straż!

— Najjaśniejszy panie, zgadzam się... ożenię się z panną de Bergerot. Tak, ożenię; ale nie chcę więzienia, nie chcę więzienia... Najjaśniejszy panie, błagam!

— Nędznik!... — odezwał się głos kobiecy.

Obróciłem się... Pomiedzy rozsuniętą firanką stała Sybilla, trzęsąc się z gniewu, z oczyma siejącymi błyskawice. Zapomniała o wszystkim, nawet o obecności najjaśniejszych państwa.

— Dobrze mi powiedziano, że jesteś tylko tchórzem... nie chciałam wierzyć... A ja, dla ocalenia ciebie, pozwoliłam zamordować człowieka, który sto razy więcej był wart... Ah! Toussac pomszczony, gdyż Bóg ciężko mnie karze.

— No, dobrze, dobrze — rzekł cesarz obojętnie. — Constant, odprowadź pannę Bernac!...

Potem zwrócił się do Lesage'a:

— Mój panie, nie mogę skazać młodej panny należącej do mojego dworu, ażeby wyszła za męża za takiego jak pan człowieka... Wystarczy mi, żem pana zdemaskował i że panna Bernac wyleczona z miłości... Rustan, wyprowadź więźnia.

Skoro zostaliśmy sami sami, cesarz zatarł ręce z zadowoleniem.

— Zdaje się — rzekł — że dobrze użyliśmy czasu pomiędzy śniadaniem i obiadem... Tobie to Józefino przyszła myśl odegrania tej komedji; bardzo dobrze się udała!... Ah! panie de Laval, teraz z tobą muszę skończyć... należy ci się nagroda nie tylko za rolę, jaką odegrałeś tej nocy, lecz i za dobry przykład dany emigrantom.

— Najjaśniejszy panie, ja nic nie żądam! — odpowiedziałem.

Przeczuwałem, co mnie spotka i drżałem z obawy.

— Nic, wiem o tem. Lecz ja postanowiłem wynagrodzić cię, panie de Laval... W przyszłym tygodniu ożenisz się z jedną z dam honorowych cesarzowej.

— Lecz, najjaśniejszy panie, wiesz, że to niepodobieństwo... — jąkałem.

— Dlaczegoż to?... Panna z dobrego domu, ładna... Wreszcie postanowione, ślub odbędzie się od dziś za tydzień.

— Niepodobieństwo, najjaśniejszy panie! — powtarzałem tracąc głowę.

— Niepodobieństwo? Panie de Laval, nie znam tego słowa!

— Najjaśniejszy panie, dałem słowo i nigdy go nie złamię.

— Doprawdy? Zatem, panie de Laval, opuścisz moją służbę.

Niestety! wszystkie marzenia o przyszłości, wszystkie złudzenia pierzchały!... Lecz co zrobić? Uleść? Nigdy!...

Więcej przecierpiałem w tej chwili, niż w najboleśniej-szych okolicznościach całego życia.

— Najjaśniejszy panie — odparłem głosem przez lzy zdławionym — jeżeli trzeba przyjmę najtrudniejszą robotę, pójdę żebrac na drogach, lecz żoną moją będzie tylko panna de Choiseul!...

Cesarzowa się podniosła. Zbliżyła się do drugiego okna, ciągle zasłoniętego firanką.

— Panie de Laval — rzekła — zobacz-że przynajmniej tę, którą tak niegrzecznie odpychasz...

Jednocześnie usunęła trochę materję i ujrzałem w zagłębieniu okna rysującą się postać wdzięczną, profil delikatny.

— Pokaż się, kochane dziecko — przemówiła Józefina łagodnie.

Młoda panna wyszła z ukrycia.

— Eugenja! — wykrzyknąłem.

Rzuciła się w moje objęcia. Całowałem kolejno jej usta, włosy, oczy przecudne... to znów przestawiałem, żeby na nią patrzeć... Tak to była ona, moja piękna myślą, moja poważna i pełna gracji...

Nie wiedziałem nawet, co mówię: Więc to prawda, że tu jesteś?... Ah! jak ja cię Kocham!

I jak przez sen słyszałem, kiedy cesarzowa mówiła:

— Zostawmy ich, Napoleonie; smutek mnie ogarnia, gdy patrzę na szczęśliwych... Pamiętasz domek nasz przy ulicy Chantereine?

Ślub mój z Eugenią odbył się w tydzień potem.

Tak więc stało się zadość woli cesarza. Nic nie było w stanie oprzeć się jego władzy.

Ażebym zapewnić sobie moją wierność, aby ozdobić dwór swój jednym z najpiękniejszych nazwisk starej arystokracji francuskiej, nie wahał się przyzwać z głębi malej wiośki angielskiej pannę de Choiseul i nadać jej stanowisko, tak zazdrośczone, pierwszej damy honorowej cesarzowej Józefiny.

Opowiem może kiedyś, jak dzielny pozucznik Gérard ożenił się z moją kuzynką Sybillą i jak po świetnej karierze został mianowany generałem brygady.

Być może opowiem także, w jaki sposób wszedłem w posiadanie Grosbois, lecz na teraz dość już o sobie mówię, o swoim życiu i wypadkach.

Co do cesarza, wiecie, że opuścił obóz w Boulogne i że z tą ogromną armją, którą chciał zalać Anglę, zwyciężył Austrię i Prusy.

Wśród zgłębku wojny, wspinał się coraz wyżej na szczyt chwaly aż do dnia tragicznego upadku... aż do Waterloo... aż do świętej — Heleny!...

Nie odstępiałem go ani w dobrej, ani w złej doli... Sa-telita gwiazdy świetnej, wznosiłem się z nim razem...

Często w nocy nawiedza mnie twarz władcy, ta twarz zagadkowa, z bladym czołem, z oczyma gorejącymi dumą...

Staram się tedy przeniknąć tajemniczą jego duszę... badam go!...

O czym on marzył, ten żołnierz szczęśliwy, ten dorobkiewicz krwi i wojny?...

Dokąd on chciał się wznieść? Jakich szczytów dosięgnąć?...

Jaki to był szal ambicji, któremu poświęcił te miliony ludzi zagrzebanych dziś w palących piaskach Afryki i lodowych stepach Rosji?

Co bylbym zrobił, gdyby nie był skręcił karku w strasznym upadku?... To pozostało tajemnicą!...

Czy był mądry?... Czy był wspaniałomyślny?...

— Nie; lecz był Wielki!...

Jaka okrutna nauka dla ludzkości, kiedy się pomyśli, że ten, który kreslił granice Europy nowoczesnej i który kształtował Francję jak miękką glinę, który wywracał trony i przed którym drżały cesarstwa, zmuszony jest z kolei stanąć przed sądem ludów!...

Jednak nie wszystko z nim umarło.

Podczas kiedy on spoczywa pod wspaniałą kopułą inwalidów, duch jego panuje nad światem, imię jego rozbrzmiewa w historii.

Jedni pisali o nim z naganą, drudzy, aby go chwalać.

Ja próbowałem odmalować go takim, jakim mi się ukazał na najwyższym szczyblu potęgi: jak człowiek potężnego umysłu, zdolny wszystko przedsięwziąć, czynny, niezłomny podczas pokoju, tak samo jak podczas wojny, nie liczący nigdy na przypadek, zuchwały i czujny; godne podziwu narzędzie Boga, ażeby sprowadzić zbłąkany naród na drogę porządku i zmienić oblicze świata...



